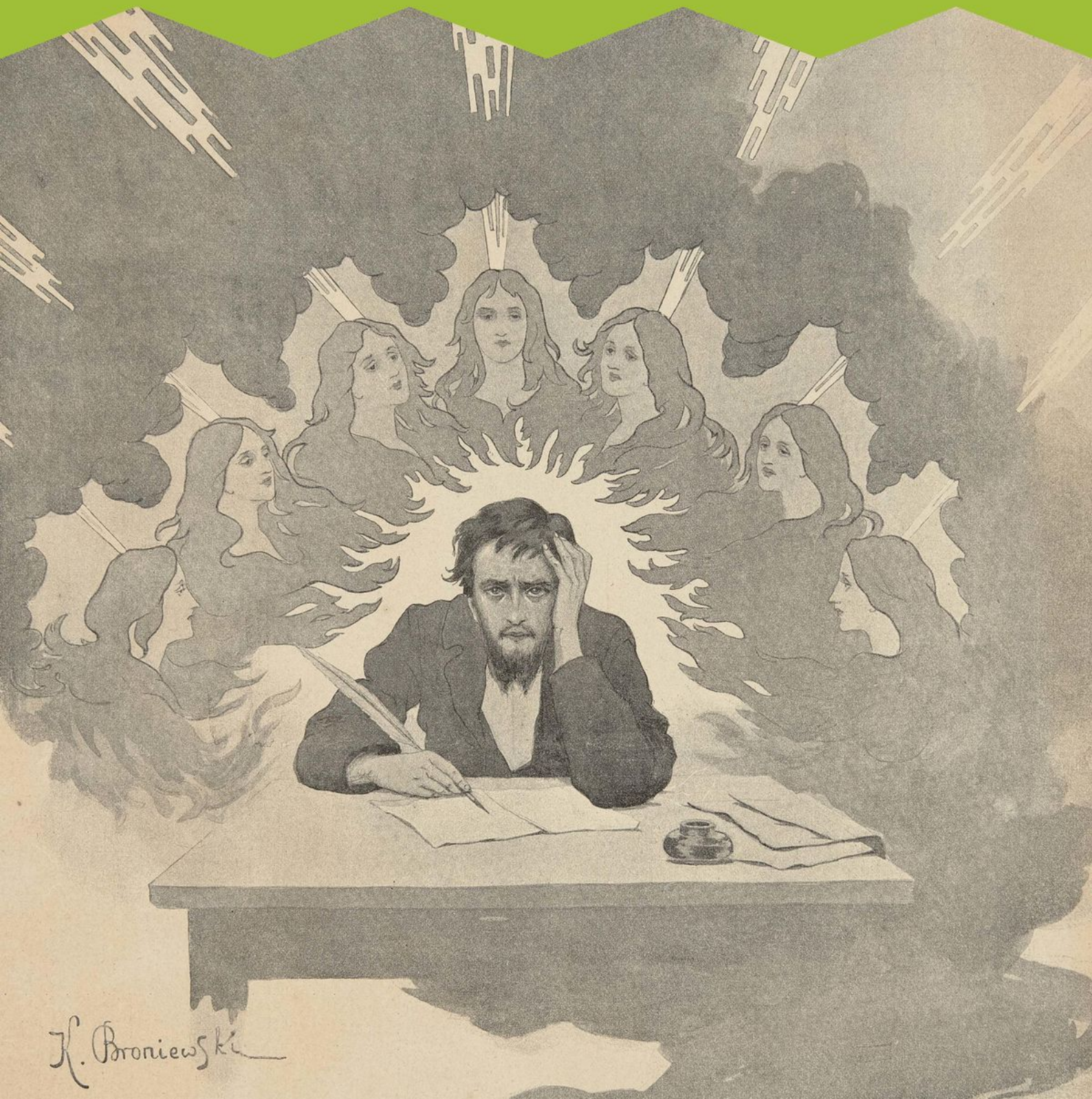


# Ludzie żywi





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# *Ludzie żywi*



# PRZYBYSZEWSKI

## BLASKI I NĘDZE MOWY POLSKIEJ

Umarł Stanisław Przybyszewski. Smutek, jaki towarzyszy każdej takiej śmierci, tym razem inne jeszcze ma zabarwienie. Raz dlatego, że w chwili zgonu ten niestary człowiek od dawna był cieniem samego siebie; żył w próżni; mówił — o ile się jeszcze odzywał — w pustkę. I jeszcze z drugiego powodu. Zazwyczaj, kiedy umiera wielki pisarz, umiera człowiek, żyje jego dzieło. Gdzie jest dzieło Przybyszewskiego? Linia jego twórczości jakże nierówną idzie koleją. Całe pierwsze bogactwo swej duszy zaklął zrazu w cudzej mowie; błysnął jak meteor w obcym piśmiennictwie i zniknął zeń. Powrócił do kraju. Stał się sztandarem walk. Wpływ jego osobisty był niemal większy niż wpływ jego utworów. Był zjawiskiem więcej jeszcze życiowym niż literackim. Potem wstrząsnął scenę polską swymi utworami scenicznymi, których dziś żaden teatr nie ma odwagi wznowić, tak wytały jest ich ogień. Potem zaczął pisać powieści! I te, niestety, są dziś jedyne na placu. Wszystko znikło, to zostało. Mało kto zna dziś poetę, którego rapsody są rzadkością antykwarską; niebawem zapomną może o pisarzu scenicznym: zostaną skrętnie a niechlujnie przedrukowywane powieści — powieścidla — te niezbyt godne odpadki jego twórczości. I mimo wszystkich żarów, jakimi rozgorączkował naszą mowę, nie zostawił może polskiego dzieła, w którym by dał swoją pełną miarę.

Bo oto wystarczy okiem rzucić bodaj na wspomnienia pośmiertne, aby spostrzec dziwne rozbieżności. Przybyszewski, mistrz formy, Przybyszewski, władca mowy polskiej — to najpotoczniejsze tytuły glorii pisarza, nawet dla tych, którzy walczyli z jego treścią. A oto czytamy numer pamiątkowy<sup>1</sup>: tu ktoś otrząsa się na wspomnienie „częstokroć niechlujnego języka autora *Synów ziemi*; tam znów drugi dobry pisarz mówi wręcz o jednej z książek Przybyszewskiego (*Il regno doloroso*): „Przerażać może tylko styl i język. Wygląda to chwilami jak liche tłumaczenie, pełne złej ortografii i błędów gramatycznych. Metafory są rozpaczliwe, dialogi jak z zeszytowych powieści. Okropność”.

Jak pojąć te bluźnierstwa, jak pogodzić te sprzeczności? Spróbujmy. Spróbujmy znaleźć klucz do sekretów tego, co jest najistotniejszą częścią każdego pisarza, do *języka* Przybyszewskiego, a może ten klucz otworzy nam i niektóre inne zakamarki jego udręczonej duszy.

Przybyszewski był fenomenem. Młody chłopak, rzucony na obcą ziemię, zaczyna pisać w obcym języku, staje się w nim mistrzem, zdobywa w nim sławę, osiąga pełnię rozwoju, daje wszystkie swoje zasadnicze nuty. Bo są w jego niemieckiej twórczości i owe wspaniałe krytyczne studia-poematy, i jego filozofia, i poezja, i powieść, i teatr. Jest już cały. Można powiedzieć, wbrew temu, co on sam chciał mniemać o swej twórczości, że do tego, co stworzył w pierwszych kilku latach, przydał w następnych trzydziestu bardzo niewiele. Zjeżdża do kraju, przetwarza swoje utwory niemieckie na polskie. Przeucza się. Potem zaczyna pisać oryginalnie po polsku. Ileż tu ciekawego materiału dla badań nad pisarzem, nad językiem! Nie zdaje mi się, aby im poświęcono wiele uwagi. Nie widzę, aby nasi germaniści zajęli się Przybyszewskim jako pisarzem niemieckim. Nie widzę, aby przeprowadzono porównanie tych samych utworów w języku niemieckim a polskim. Nie widzę, aby zajęto się ewolucją językową tego rodzącego się w tak niezwykle sposób polskiego twórcy. A przecież to są rzeczy jedyne, wyjątkowe; dojrzały, znakomity pisarz, który zaczyna się uczyć pisać rodzinnym językiem i na którego dziele na zawsze wyciskają się pewne właściwości tej bardzo osobliwej i niedokładnej nauki.

Wszystko to zbywano najczęściej ogólnikami. Dam tu poufnie jaskrawy przykład, jak niedbale krytyka nasza odnosiła się do tych rzeczy; do tego *języka*, o którym się tyle u nas gada. Kiedy Przybyszewski przybył do Polski, do Krakowa, pewien księgarz nabył u niego szereg jego utworów, które pisarz zobowiązał się przełożyć z niemieckiego. Poematy przełożył sam, z powieściami zaś załatwił się w osobliwy zaiste sposób. Patrzałem, jak się to odbywało. Na stole w saloniku stała flaszka wódki, obok leżała książka niemiecka i czysty papier. Ten i ów z młodych łazików pociągał z flaszki i tłumaczył kilka stron, potem luzował go inny; gdy brakło pomocników, a czas nagiął, zasiadał do sto-

Artysta, Literat, Sztuka,  
Zabawa, Alkohol

<sup>1</sup>numer pamiątkowy — „Wiadomości Literackie”, nr 226. [przypis autorski]

lika sam Przybyszewski. Kto tam głównie zawinił, nie wiem; dość, że powieści te roily się po polsku od okropności językowych: to trylogia *Homo sapiens* i *Dzieci szatana*. Otóż nie tylko krytyka — zajęta walką o moralność i niemoralność Przybyszewskiego — nie zwróciła na to uwagi, ale nawet jeden z najpoważniejszych krytyków, który po *Wigiliach* pisał, że „tyranem mowy polskiej jest Przybyszewski, ale jest i jej władcą”, po owym wydaniu *Homo sapiens* stwierdził... postęp w opanowaniu polskiego języka. Przybyszewski śmiał się tylko... Stał się w tych rzeczach dziwnie niedbały i obojętny. (Pamiętam takie zdarzenie z owych czasów; wydawano jakiś jego utwór po czesku; zobowiązał się napisać przedmowę, nie napisał. Doniesiono mu z Pragi, że jeżeli nie nadeśle jej na czas, będą zmuszeni zamieścić przedmowę innego pióra, a podpiszą jego! Przybyszewski śmiał się, bardzo go to bawiło: przedmowy nie nadesłał).

Później wydano na nowo te powieści. Reklama śpiewa: „...w transkrypcji polskiej — tłumaczeniem bowiem przetworzenia tego nazwać nie można — pojawia się obecnie po raz wtóry, jeszcze raz gruntownie opracowana...”.

Porównałem to nowe wydanie z pierwszym: to samo, te same okropności: „musimy usiąść przy wspólnym stole, inaczej pomyślą, że się odtrącamy...”, „dostanie się ochoty wypocząć przy matce...”, „był za zmęczony, nie miał energii przełamać jej opór...”. Nawet „obcasowo” zamiast „obcesowo” przetrwało!

To jest ta transkrypcja, to przetworzenie — ot, przekład, i to lichy, a sygnowany nazwiskiem wielkiego pisarza niby utwór oryginalny. O, biedny czytelniku polski, jak ty masz być mądry, kiedy cię tak tumania! Ale i w oryginalnych utworach Przybyszewskiego czegoś nieraz nie znajdziemy! Bo polski jego język to niby skrzydła: latał na nich nieraz wspaniale, ale chodzić nie nauczył się nigdy...

\*

Rozważania te pozwolę sobie zacząć od wspomnienia.

Pierwszym utworem, który Przybyszewski spolszczył, był jego poemat prozą *Wigilie*. Kiedy skończył, zawołał nas kilku z wiernej jego gromadki, aby nam je przeczytać dla porównania, najpierw po niemiecku, potem po polsku. Przybyszewski przepięknie czytał swoje utwory po niemiecku; niezwykle czar miał ten język w jego ustach. „*Um dein Haupt ein Kranz welker Blumen...*” — ta niemieczyzna stawała się dziwnie śpiewna, miękka. A kiedy powracało niby refren owo „*O Sehnsucht du!*”, miało to przejmującą wymowę, jakies bezmierne skupienie męskiego bólu, nostalgii wieczności. Bo też to był ów fragment, po którego przeczytaniu Dehmel pisał w Berlinie do Przybyszewskiego kartką pneumatyczną: „Ten poemat uprawnia cię do zabiegów o wieczność!”.

Potem czytał to samo po polsku. Słuchaliśmy pamiętam, z pewnym zakłopotaniem: to już nie było to! To samo, a nie to samo... I kiedy doszedł do owego „*Tęsknoto ty!*”, miałem uczucie, że coś padło na płask. I nic dziwnego: od tylu lat, a zwłaszcza w owej epoce, wierszyki polskie tak były przekarmione ową *tęsknotą*, *tęsknicą*, we wszystkich przypadkach i odmianach, że słowo to, spospolitowane, nie wyrażało już nic... Po niemiecku miało ono jeszcze swoją dziewiczość, swój wstyd. I zdaje mi się, że wszyscy, ilu nas było, odnieśliśmy wrażenie zawodu, ale tego nie można było Stachowi powiedzieć; ciężko by go obraził i zmartwił, kto by szepnął, że jego język niemiecki piękniejszy jest od polskiego. A jednak!

Kiedy dziś, po latach, kontroluję to moje wrażenie, utwierdzam się w tym, że było ono słuszne i nawet umiałbym wskazać retrospektywnie jego przyczyny.

Porównajmy tekst zaraz pierwszego zdania:

„*Um dein Haupt ein Kranz welker Blumen, wie ein Gurt erloschener Sterne...*” i po polsku: „Wokół twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów, gdyby korona czarnych słońc...”.

Co można by wyczytać w tych tekstach? „*Um dein Haupt*” jest wyrażeniem bardziej potocznym niż polskie „wokół”, które jest uroczystsze: potocznie by się tak nie powiedziało. Toż samo proste „wie” zmieniło się na rzadsze „gdyby”. „*Gurt*” (przepaska) awansowało na koronę; „gwiazdy” — na słońce... Nawet niemieckie „*Kranz*” może znaczyć po polsku wieniec, ale może znaczyć i skromniejszy wianek.

Ileż różnic w tych kilku słowach, i jak doniosłych, mimo że drobnych na pozór! Jak głęboko sięgają one w psychikę polskiego, a niemieckiego Przybyszewskiego. W polskim

języku Przybyszewski od początku wchodzi niebacznie na koturn „poetyckiej prozy”. Język niemiecki jest dlań bardzo czułym narzędziem, z którego lekkim dotknięciem wygrywa przedziwne melodie; zaczynając pisać po polsku, od pierwszej chwili czuje potrzebę wzmocnienia, przyciskania pedału, krzyku słów.

\*

Nie tylko nie zachwiało, ale raczej utwierdziło mnie w tej obserwacji uważne porównanie polskiego i niemieckiego tekstu paru utworów Przybyszewskiego. Biorę *De profundis*, biorę *W godzinie cudu*. Wszędzie w języku polskim uderza jedna cecha: wzmocnianie wyrażenia, wzmocnianie pozorne, bo często ta zmiana, banalizując, rozwadniając wyrażenie, osłabia je. *Horchte auf das Fieber* — „wsluchiwał się w szal gorączki”. *Sein Herz lief* — „serce latało jak przerażony ptak”. Zdawałoby się, że ze stąpieniem na ziemię polską Przybyszewskiego opada nagminna choroba naszych pisarzy: przymiotniki. *Traum* staje się „głębokim snem”; *er schlief sofort ein*<sup>2</sup> — „usnął snem kamiennym”; *er beehrte sie* (wyrażenie dość mocne, zwłaszcza gdy chodzi o siostrę) brzmi po polsku: „zaprażył jej dzikim, namiętym szałem”. Powtarzają się pewne słowa, stają się uprzykrzone, jak właśnie ów „szal”. *Grässliches Fieber*<sup>3</sup> staje się „szałem gorączki”. *Goss sich kochend über* — „rozlewało się w gorących warach”... Skromne: *sagte er erstaunt* zmienia się na „patrzył na nią długim przeciągłym wzrokiem”. Proste *Rubekissen* zmienia się na niezręczne „miękką poduszka spoczynku”. *Mädchen*<sup>4</sup> awansuje na „dziewicę”; *fabl* zmienia się na „upiorny”; „światlista luna upiornie rozświeca straszne uroki bagniska...”. Upiorne masło maślane! *Wieder*<sup>5</sup> zmienia się na poetyckie „od nowa”. Dużo martwych słów: „dziwnie”, „stanowczo”, „wysocę”; temu zaś przydawaniu zbędnych słów towarzyszy opuszczenie innych, istotniejszych; stąd deficyt podwójny...

Po niemiecku, nawet w gorączce, umiar, oszczędność, dbałość o słowo jedyne, swoje i celne; po polsku linia mniejszego oporu, powtarzanie się natrętnych słów; później zmieni się to nieraz w *fortissimo* tłumiące odcień i stępujące w końcu wrażliwość. Taki niepokój wywołuje w nas studiowanie tych pierwszych po polsku wydanych poematów. Jak ekonomista w pewnych objawach może zawczasu widzieć niebezpieczeństwo przyszłej inflacji, tak i tutaj w tych drobnych rysach znaczy się groza owej dewaluacji słowa, która później zaciąży nad stylem Przybyszewskiego. Spiętrzy on potem tyle przesady, tyle superlatywów, że nikt nie będzie mógł w końcu znieść tej hysterii słowa, tego tańca św. Wita<sup>6</sup>.

W świetle tych narzucających się spostrzeżeń tym ciekawsze jest to własne zeznanie Przybyszewskiego:

„Ja, mimo że język niemiecki do tego stopnia opanowałem jak żaden z Polaków przede mną — to mogę śmiało twierdzić — zrozumiałem nagle z wielkim zdumieniem, że nigdy nie doszedłem do tego, by po niemiecku *myśleć*: wszystko, co w niemieckim języku pisałem, było tylko niesłychanie szybkim *tłumaczeniem* polskiego tekstu — tego wszystkiego, com w polskim języku myślał — polska myśl przyoblekała się z zawrotną szybkością w obcą szatę. A ponieważ te przyobłóczyny odbywały się z tą niepojętą szybkością, miałem nawet sam wrażenie, że *piszę* po niemiecku, kiedy ja tylko na język niemiecki *tłumaczyłem*”.

Nie mamy prawa wątpić o szczerości tego wyznania (por. to, co Żeromski we wstępie do *Fantazji Almayera* pisze o angielszczyźnie Conrada); tym bardziej interesujący staje się fakt, że kiedy Przybyszewski te myśli „pomyślane po polsku a przełożone w duchu na niemieckie” stara się z powrotem z niemieckiego na polskie przywrócić, stają się one uboższe, obrazy bleidsze...

Porównajmy ten opis kwiatów z *Godziny cudu (Androgyne)*;

...er sah Orchideen auf heissgeöffneten Lippen lustbeischenden, giftigen Lippen, und Lilien mit weitgebreitetem Mutterschoss der keuschen Lüste, und Na-

<sup>2</sup>*er schlief sofort ein* (niem.) — usnął natychmiast. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*grässliches Fieber* (niem.) — okropna gorączka. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*Mädchen* (niem.) — dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>*wieder* (niem.) — znów. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*taniec św. Wita* (daw.) — epilepsja; atak epileptyczny. [przypis edytorski]

*rzissen und Bionen, Begonien und Kamelien — eine ganze Sintflut von beraus-  
schendem Farbgift berückendem saugenden Duft überströmte seine Seele.*

Po polsku:

...widział orchideje z otwartymi ustami, ziejące obezwładniającym czarem,  
i lilie z rozwartymi kielichami, pijące diamentową rosę, i narcyzy, i biony  
i begonie — całe powodzie różnobarwnego kwiecica upajającej woni spływały  
do jego duszy...

Widzimy tu zwłaszcza różnicę w przymiotnikach: każdy niemiecki przymiotnik jest tu  
doraźnie poczęty, drażniący niemal zmysłowo. Po polsku stają się te przymiotniki banalne:  
otwarty, rozwarty, diamentowy... Paleta niemiecka Przybyszewskiego o ileż jest bogatsza,  
subtelniejsza...

*Im weissen kalten Glanz tanzten um ihn die Tuberosen...* „Świetlistym blaskiem oko-  
liła go woń tuberozy”... Czyż błady pleonazm „świetlistego blasku” oddaje sugestywność  
pierwotnego obrazu?

Kiedy się czyta jeden z owych poematów Przybyszewskiego po polsku, myśli się:  
„to bardzo piękne”; ale po pewnym czasie ogarnia znużenie, obojętność. Porównywa się  
z niemieckim i widzi się tego przyczynę: brak po polsku owego ciągłego *dopingu* języ-  
ka, owych drapieżnych skoków słowa na słowo, elektryzującej perwersji przymiotników.  
Niemiecki język Przybyszewskiego — to upojenie walki, polszczyzna jego — ta najlep-  
sza — to po trosze dostojna emerytura. Język niemiecki brał Przybyszewski gwałtem, do  
polskiego się modlił; a język — jak czasem kobieta — woli tamto.

Ale jeżeli jest różnica w poetyckiej mowie Przybyszewskiego po polsku a po nie-  
miecku, tym bardziej jeszcze staje się ona dotkliwa w zwykłym stylu. Tego zwyczajnego  
języka Przybyszewski nigdy się właściwie nie nauczył. Nie nauczył się go za młodu, gdy  
w niemieckim gimnazjum czytał *Genesis z Ducha*<sup>7</sup> lub *Ojciec nasz* Cieszkowskiego; nie  
nauczył się go i później. Jego potoczny język — to żargon knajpy z jego trywialnościami,  
z jego uprzykrzonym powtarzaniem się słów („ohydny”, „zniechluić” itd.). Nigdy nie do-  
wiedział się Przybyszewski np., że istnieje słowo „niż”, zawsze używa „jak” („Wyczytano  
w tej książce co innego *jak* w niej było”). Bohaterowie jego dramatów i powieści nie znają  
„wołacza” („Tak, pamiętam, Łucja”, zamiast „Łucjo”). Zawsze niewyraźnie z gramatyką  
(„przeświadczony sił swoich skrzydeł” itp.), zawsze gotów zabrnąć w dziwne konstrukcje,  
które przyganiał mu słusznie Żeromski.

Aby zauważyć te różnice potocznego języka, wystarczy przeczytać list żony w *De  
profundis* po niemiecku i po polsku. W niemieczyźnie Przybyszewskiego nie ma tego kon-  
trastu między odświętnym a codziennym mówieniem; poezja ma prostotę, proza pewną  
elegancję. Po polsku odświętnemu słowu grozi bombastyczność, na potoczne czyha wciąż  
trywialność. Znałem pisarkę francuską polskiego pochodzenia, która mówiła dziwną pol-  
szczyzną, wyuczoną z czytania Słowackiego i z rozmów ze służbą. U Przybyszewskiego  
coś podobnego. *Genesis z Ducha* pomieszane z knajpą.

Sądzę, że wszystko to, co Przybyszewski sam mówi o stosunku swojej polszczyzny do  
niemieczyzny trzeba brać bardzo krytycznie, jak w ogóle wszystko to, co on mówi o so-  
bie. „Nie, panie Stefanie! — odpowiada w *Moich współczesnych* Żeromskiemu. — Jeżeli  
znajdują się w moich po polsku pisanych rzeczach »błędy i usterki«, to całkiem rozmyśl-  
ne. Nie ja językowi podlegam, ale język mnie podlegać musi”. Niestety, zbyt często jest  
inaczej.

Wróćmy do owej „inflacji języka”, którą pozwala stwierdzić pobieżne choćby zesta-  
wienie tekstów. W tych ciągle nowych emisjach słów bez pokrycia — skoro mamy  
już zostać na gruncie giełdowego porównania — tkwi przyczyna bankructwa. Nie da  
się czytać czasem Przybyszewskiego, tak drażni. Weźmy książkę *Szlakiem duszy polskiej*.  
Wszystko jest „ponad wszelką ludzką miarę bohaterskie, przedziwne, niedościgłe, prze-  
wspaniałe, niepojęta wielmożna siła”, tak całe stronicę. W końcu wszystko mu za słabe:  
mamy więc wyrażenia takie jak „rozmonarszy się w przeolbrzymim majestacie”, jak  
„tytaniczna Niagara potęgi”... wszystko oczywiście dusza polska. Przypomina to trochę

<sup>7</sup>*Genesis z Ducha* — Słowackiego. [przypis edytorski]

styl reklam kinowych. Groźne jest, że słowo i myśl są to rzeczy spojone tak ścisłymi a tajemniczymi węzłami, że przerost jednego powoduje puchlinę drugiego. Kiedy Przybyszewski tłumaczy się przed redakcją i czytelnikami „Wiadomości Literackich”, że nie napisał przyzrzonego artykułu o Kasprowiczu, pisze, iż spostrzegł się, że przyzrzenie dał lekkomyślnie, bo aby napisać ten artykuł,

„musiałby w obłąkanym szale wziąć się z Bogiem za bary, by za chwilę rzucić się w rozpacznej pokorze przed tron tego, który był razem z nami od początku...” itd., itd., *crescendo*.

To jedno zdanie wystarczy, aby wytłumaczyć, czemu czytelnicy opuścili Przybyszewskiego. Nie podobna żyć w tej atmosferze. Na wyżyny, na jakie Mickiewicz raz wzbil się w *Improwizacji*, Przybyszewski chciał chodzić co dzień spacerem. Nie wolno głądzić na górze Synaj. A wszystko ma to źródło, które wskazałem na początku: brak dyscypliny języka.

Słowo

\*

Kiedy Przybyszewski, dwudziestoparoletni chłopak *der geniale Pole*, jak go rychło zaczęto zwać w kołach artystycznych w Berlinie, zaczął być znany w Niemczech, był on w istocie niby kocioł kipiący genialnością. Młody student architektury modlący się do gotyku, rzuca ją rychło dla medycyny, aby się poświęcić badaniom systemu nerwowego i psychologii doświadczalnej. Fabrykuje tezy doktorskie dla zamożniejszych kolegów, aby zdobyć środki do życia. Chłonie niemiecką filozofię i literaturę, Stirnera, Nietzschego i Schopenhauera, i młodą poezję niemiecką, i skandynawską, i demonologię, i wiedzę tajemną, i wszystkie osobliwości historii, i malarstwo, i rzeźbę, roztapia się w muzyce, oszołamia Niemców swoim Szopenem, a potajemnie kryje w duszy wyniesioną z domu matki poezję polską i obraz rodzinnych pól, i muzykę organów wioskowego kościołka, i niezmożone poczucie polskiej odrębności. To był w istocie okres genialności; ówczesna temperatura mózgu młodego Przybyszewskiego, chłonność jego są czymś zadziwiającym. Ten opętany demonem płci poeta-filozof staje się wspaniałym prekursorem Freuda, złym duchem Weiningera, natchnieniem Schleicha, wynalazcy znieczulenia miejscowego; w studium o Oli Hanssonie przeczuwa niejako Prousta... Wszystko to topi się w tyglu na metal, z którego bić będzie — własnym stemplem — monetę swej wspaniałej niemieczyny.

Cóż za człowiek ten „Przybysz” w owej epoce, wobec której boje krakowskiego „Życia” robią wrażenie dziecinnych igraszek! Jakże oryginalna jest koncepcja pierwszego jego studium, które zwróciło nań uwagę: *Chopin und Nietzsche. A Totenmesse*, ten spazm rozśpiewanego mózgu! Na to, co chce wyrazić, musi sobie stworzyć własny język, w żaden gotowy by się nie pomieścił. Jednego ma chyba poprzednika: Nietzschego. Bo Nietzsche, którego polskie pochodzenie może przesadnie akcentuje Przybyszewski — to dlań pomost między mową polską a niemiecką. „Język Nietzschego w *Zarathustrze* — to język Krasieńskiego w przedmowie do *Irydiona* i w interludiach *Nie-Boskiej*” — pisze w *Moich współczesnych*.

Można sobie wyobrazić, w jakim napięciu musiał pisać pierwsze swoje utwory młody Polak zaczynający tworzyć po niemiecku w stolicy Niemiec, występujący ze swym dziełem przed publicznością wrogiego narodu. Cóż za droga, jaką ta słowiańska dusza, przepojona muzyką i tęsknotą, musiała sobie żłobić! Jaki gwałt musiał zadać niemieckiej mowie, aby język Lutra, Goethego, Kanta, Schopenhauera, Bismarcka śpiewał na jego gęślach, huczał w jego organach! Polski liryzm parzy się tu z najbardziej fachowymi terminami naukowymi, uczucie zapładnia się aż do rozpusty myśłą. Co za nowalie językowe, owe „*Gebärmuttergehirn*”, owe „*zukunftsgebrende Sauerteig des Lebens*”... Co za niezwykle wyznania miłosne:

*Um deine Augen war es wie Protuberanzenschein bei Sonnefinsternissen, wie eine Phosphoreszenz der Fäulnis, and sie glühten wie zwei liebe Sterne einer schwarzen Herbstnacht in den Abgrund meiner Seele hinein...*

albo:

*Du bist aus meinem Gehirn verschwunden, wie ein Blutextravasat wenn es von Phagocythen resorbt wird... Ich habe dich weggestossen, wie das Eichen die Polarkörperchen wegstößt, sobald es reif wird...*

Są w tym wspaniałym gwałcie poezji na nauce rzeczy, które czyta się dziś z uśmiechem, rzeczy nadto trącające młodym studentem biologii; ale daje to miarę owych gąszczów, przez które przedzierał się Przybyszewski, aby znaleźć — w tej samej *Totenmesse* — istne cuda niemieckiego języka.

To władztwo nie przyszło mu samo. Czytajmy *Moich współczesnych*, ten jakże piękny pamiętnik pierwszej epoki życia Przybyszewskiego, ile tam uwag poświęconych językowi. Jaka surowa analiza niemieckich „*Kraftgenies*”:

Nabrzmiałe napęczniałe, nadęte słowa, chorujące na *elephantiasis*, do potwornych rozmiarów opuchłe słowa, *hydropsja* słowa, potworna retoryka wrzaskliwa, wyjąca, huczająca...

Niestety, ileż z tej krytyki dałoby się później odnieść do polszczyzny Przybyszewskiego...

W pracy nad językiem niemieckim miał Przybyszewski nieocenionego przyjaciela, owego Richarda Dehmła, którego nauczył nas kochać i któremu w swoich *Współczesnych* tak piękne karty poświęca. Ten Dehmel, surowy sędzia, mający „chorobliwy wstręt do wszelkiego rodzaju frazesu lub płaskiego patosu”, był niezastąpionym przyjacielem dla swoich bliskich; oceniał, dyskutował, poprawiał ich utwory. „Lilienkron — pisze Przybyszewski — nie napisał jednego utworu, którego by nie przesłał Dehmelowi do oceny. Całe noce trawił na kreśleniu tych rzeczy, które nazywał *lirische Dummheiten*, a które się i największemu lirykowi zdarzają... Ile godzin spędziliśmy razem na cyzelowaniu, doskonaleniu i wykańczaniu moich utworów!... Dehmel wtajemniczył mnie w najskrytsze piękności języka niemieckiego, nie przepuszczał mi żadnego niedbalstwa, a podniecał mnie ciągle rozkoszną ostrogą: »To byś ty właśnie mógł daleko lepiej zrobić!«.

Trudno się oprzeć myśli, przy czytaniu wielu utworów Przybyszewskiego, że brakło mu owego Dehmła, że zapomniał jego doskonałych przestróg...

\*

W pełni rozgłosu, w zaraniu sławy, Przybyszewski rzuca Niemcy, przenosi się do kraju. Co go skłoniło do tego kroku? Tęsknota, znużenie? Wszystko po trosze. Pobyt w Berlinie był trudny, „Młode Niemcy” cierpiały srogą nędzę. Przybyszewski ożenił się, miał dzieci. Miesiące całe przebywać musiał w Norwegii. Z kraju zapraszano go serdecznymi listami. Zmiana miejsca nie przerażała tego cygana, dopiero co był w Hiszpanii, w Paryżu, w Pradze. Przybywa do Krakowa; entuzjastyczne przyjęcie, oddanie mu w ręce czasopisma młodych, wszystko to przywiązało go. Dojrzała decyzja, która kielkowała w nim już w Niemczech: zerwać z niemiecką mową, być polskim i tylko polskim pisarzem. Na początek zaczyna przetwarzać na polskie swoje dawne utwory.

Trzeba o tym pamiętać. Po niemiecku *tworzył* je, po polsku przetwarzał. Czy w tej samej temperaturze ducha? To rzecz nie do pomyślenia. Przybyszewski był zanadto impulsywną naturą, aby drugi raz mógł *rzecz* przeżyć w tym samym napięciu. To był, powiedzmy po prostu, przekład — często pośpieszny, w ostatnim momencie — dla czasopisma, dla owego krakowskiego „*Życia*”, którego objął redakcję. Tam młody Polak piszący po niemiecku stwarzał sobie każde słowo; tutaj namaszczony zagraniczną sławą mistrz rzucał je z nieomylną wiarą w siebie. Tam był w pełnym bojowym rynsztunku; tutaj, zmęczony po trosze, włożył szlafrok i pantofle. Tam czuł surowy krytycyzm i kontrolę, tutaj bezkrytycyzm zarówno w uwielbieniach jak w napaściach.

Powiedzmy przy tym, że przetworzenie tych utworów na polski było zadaniem niesłychanie trudnym. Ten język wyrosł z podłoża nauk przyrodniczych, filozofii, czerpiący swoje porównania ze wszystkich dziedzin nowoczesnej myśli, te właściwe niemieckiemu duchowi składane słowa, przymiotniki w których miesza się niby dwie farby na palecie, aby stworzyć nową, wszystko to jakże trudno mogło znaleźć odpowiednik w polskiej mowie.



Są przyczyny tej różnicy, niezależne może od większej lub mniejszej czujności językowej pisarza. W zetknięciu z Polską Przybyszewski uległ znamiennej przemianie. Odrzucił z siebie wiele rzeczy, które w nim stworzyło obce środowisko; rozlewny — z czasem nieco rozmazany — liryzm wziął górę w jego usposobieniu. Zbrakło owego płodnego kontrastu, owej cudownej kopulacji myśli z uczuciem, która wydała pierwszy rzut jego twórczości; brakło tego zderzenia się twardego dłuta z twardym materiałem, tego zło-bienia sobie ścieżek nietkniętych stopą ludzką. I nie mogło być inaczej. Nieść do Polski poezję tęsknoty, poezję ziemi polskiej — to było po trosze tyle co nieść wodę do Wisły. „Szopenizacja” języka w ojczyźnie Szopena nie mogła być tym samym co szopenizacja niemieczyny; poetycka proza, choćby najpiękniejsza, nie była w ojczyźnie *Anhellego*, *Ksiąg pielgrzymstwa*, *Irydiona* zdobyczą ani odkryciem. Tam był Przybyszewski śmiałym nowatorem, tu — mimo wszystko — epigonem. Tam buntuje się hardo i przeciwstawia wszystkiemu, tu wciąż korzy się i pielgrzymuje po „szlakach duszy polskiej”.

Już ten pierwszy okres spędzony w Polsce ma znamiona mniejszego wysiłku, rozluźnienia mięśni, znużenia. Z powrotem do kraju skończył się prawdziwie twórczy okres w życiu Przybyszewskiego; może to go bezwiednie skłoniło do powrotu, jak zranione zwierzę do matecznika? O ziemio polska, jakże bywasz niebezpieczna dla artysty! Brak umiaru, brak dyscypliny, brak kontroli samego siebie, miały się stać straszliwym niebezpieczeństwem.

\*

Jest w tym wszystkim przejmujący smutek. Pomyśleć, że aby Polak wiedział, jakiego Polska miała w Przybyszewskim poetę, musi sięgnąć do jego niemieckich utworów! Mówi się o tragicznej doli Conrada; ale o ileż boleśniejszy jest los Przybyszewskiego! Tamten jako artysta dał swoją pełną miarę w jednym kraju, w jednym języku. Przybyszewski błysnął w piśmiennictwie niemieckim, porzucił je przedwcześnie, przebiegł przez nie zbyt szybko, aby w nim — on, Polak — miał pozostać; jako zaś polski pisarz był bladym — mimo wszystko — odbłyskiem tamtego. Tak, jest w tym coś bardzo smutnego i stąd może ten głęboki smutek jego życia. Nikt go już naprawdę nie znał i umierając, nie zostawił swego dzieła! Znała go jedynie ta garstka Polaków, którzy go poznali jako niemieckiego pisarza. A te jego pierwsze, wszystką krwią i mózgiem tworzone utwory czy nie są — dosłownie — skazane na zagładę? Kto je wyda na nowo, kto je kiedy przedrukuje? Niemcy nie, Polacy też nie; — najwspanialsze jego utwory są jak gdyby niczyje. O melancholio!

\*

Zestawienie niemieckich i polskich tekstów Przybyszewskiego nastręcza poza tym niejedno spostrzeżenie dotyczące się metod jego tworzenia. Nie było człowieka mniej dbającego o swój utwór. Kiedy jego transkrypcje, czynione — zwykle pośpiesznie — dla „Życia”, wychodziły później w książce, nie wracał już do nich, nie korzystał z możliwości rewizji, dociągnięcia; nie dbał o to, nie miał cierpliwości, rzecz szła do druku w pierwotnym kształcie. Jest jeden przykład bardzo charakterystyczny tej obojętności. *De profundis* ukazało się po niemiecku jako *privatdruck* z obawy konfiskaty. Przekładając je dla „Życia” Przybyszewski wiele zmieniał przez wzgląd na cenzurę, łagodził; nie mówiąc o tym, iż bardzo często skracał dla pośpiechu, jakby z niecierpliwości, nieraz w sposób szkodliwy dla utworu. „Życie” skonfiskowano, ale *De profundis* wyszło po polsku, znów jako „druk prywatny”, w którym autor mógł utworowi prawdziwy jego kształt przywrócić. Gdzie tam! Wyszło nietknięte, po prostu jako odbitka w tej okrojonej postaci, a kiedy w szereg lat potem wydano je na nowo w dobie, gdy pojęcia cenzury były już zmienione, również nie uległ tekst żadnej rewizji.

Nawiasem wspomnę tutaj, że bardzo interesującą i potrzebną rzeczą byłoby sporządzenie bibliografii<sup>8</sup> polskich i niemieckich tekstów Przybyszewskiego. To np. co po niemiecku wyszło pt. *Androgyne*, po polsku nosiło w „Życiu” tytuł *W godzinie cudu*, pomnożone fragmentem zamieszczonym w nr 17–18 r. 1899; to natomiast, co ukazało się

<sup>8</sup>bibliografia polskich i niemieckich tekstów Przybyszewskiego — ogłosił ją w istocie, na razie niekompletną, p. Kazimierz Czechowski w „Ruchu Literackim” 1928, wrzesień, nr 7. [przypis autorski]

w „Życiu” jako *Androgyne* wcale nie weszło w utwór niemiecki pod tym tytułem. Zestawienie dat i kolejności (są bowiem i rzeczy najpierw pisane po polsku, a potem przełożone na niemieckie) byłoby również rzeczą pożądaną.

Zająłem się w tym szkicu głównie owym przejściowym okresem, w którym Przybyszewski z pisarza niemieckiego przeobrażał się w polskiego, gdyż moment ten wydał mi się szczególnie znamienity. Później tworzył już po polsku. I polski jego liryzm coraz bardziej nuży swoją lejącą się ciurkiem egzaltacją. Słowo jego kołysze jak muzyka, odurza tak, że zatracą swoje pojęciowe znaczenie, rzecz dla słowa zawsze niebezpieczna, bo w tej sferze nigdy nie wytrzyma konkurencji z prawdziwą muzyką. „(...) Ku tobie rwała się ma tęsknota, gdy spoczywałem w głuchych ciemnych jarach, wdzierała się myślą poprzez upłazy i stoki ku niebosiężnym szczytom i nagim postrzępionym turniom, hen aż na ostre granie, co swe kły w bezsilnej niemocy ku niebu szczyrzą (...)” itd. To bardzo pięknie powiedziane, ale takich stron kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt... Nie można cały dzień i cały tydzień śpiewać *Święty Boże*... Liryzm jego zautomatyzował się niejako, robił wrażenie przyrządu, który za naciśnięciem guzika gra znaną melodię.

Zresztą twórczość Przybyszewskiego w Polsce poszła niebawem inną drogą; nie jako liryk objawił się głównie, ale jako dramaturg, jako powieściopisarz. Nie mam tu dziś czasu mówić o teatrze Przybyszewskiego. Nie chcę zbyt wiele złego mówić o jego powieściach. Powieść człowieka, który nigdy nie chodził po ziemi, który nie miał pojęcia o świecie i jego mechanizmie, z potocznego zaś życia jedynie znał cygańską knajpę wszystkich krajów, towarzystwo, które się w niej zbiera i które mówi sobie wzajem nieprzyjemne rzeczy... to smutne. Odpadki jego liryzmu pomieszczone z kawiarnianym żargonem, w którym subtelne kobiety wymyślają mężczyznom od ordynarnych samców, a dystyngowani książęta prowadzą takie dialogi:

(...) Kelner zniecierpliwiony obchodził dyskretnie a równocześnie znacząco stolik.

Poraja to irytowało, wsunął mu do ręki kilka rubli.

Teraz mieli spokój.

— A co byś pan na to powiedział, gdybym była istotnie kochanką Bieleckiego? — Ada odsunęła nagle stół i spojrzała wyzywająco na Poraję.

— Zdziwiłbym się tylko, gdyby pani po tym, com dziś widział, chciała nią nadal pozostać... To by mnie zmusiło zmienić doszczętnie kąt widzenia, pod jakim od pierwszej chwili na panią patrzę...

albo:

— Rzadko z kim robiłam sobie „ty”; ale pan jesteś tak wytwornym, że bez obawy jakiegokolwiek nadużycia, mogę ci zaproponować, byśmy dla uproszczenia stosunku naszego zrobili sobie „ty”...

(...) Jakby go ktoś na nagniotek nadepnął (...) itd.

Nie mówiłbym o tych powieściach, których lektura jest czymś przykrym i denerwującym; jeżeli to czynię, to dla dwóch przyczyn. Po pierwsze, jak wspomniałem, one dziś jedne zostały na rynku księgarskim i one w oczach publiczności reprezentują wielkiego pisarza, z jakąż dla niego szkodą! Po wtóre, na domiar złego, sam Przybyszewski starał się to nieporozumienie<sup>9</sup> utrwalić i pogłębić. W licznych przedmowach i enuncjacjach silił się w cień zasunąć swe dawniejsze utwory, aby, wbrew oczywistej prawdzie, udowodnić, że linia jego twórczości konsekwentnie pięła się w górę i że właśnie w takich powieściach jak *Święty gaj* albo *Zmierch* doszła swego szczytu. Dlaczego tak postępował, z jakich — poza brakiem krytycyzmu autorskiego — czynił to pobudek, spróbuję wyjaśnić.

## KŁAMSTWO PRZYBYSZEWSKIEGO

Kończąc poprzedni szkic o Przybyszewskim, przyrzekłem w dalszym ciągu rozważyć przyczyny, dla których on sam komentarzem swoim mąci dzieje własnej twórczości, wysuwając na jej czoło słabsze nieraz utwory, zasuważąc w niepamięć najświetniejsze. Jest to

<sup>9</sup>Przybyszewski starał się to nieporozumienie utrwalić i pogłębić — niektórych swoich utworów wręcz nie pozwalał przedrukowywać ani wystawiać. [przypis autorski]

moment ważny<sup>10</sup>, tu bowiem kryje się po trosze zagadka owego długotrwałego nieporozumienia między Przybyszewskim a publicznością. On, odcięty od świata, ciągle w urojeniu swoim szedł wwyż, „rozszerzał i pogłębiał drogę, którą kroczył”, podczas gdy tej twórczości towarzyszyła coraz większa obojętność, gdy nawet dawni jego entuzjaści uważali ją za upadek. A oto drobny przykład, jakim niebezpieczeństwem grozi ta automatyzacja jego własnemu dziełu. W świeżo wydanej antologii *Młoda Polska*, przeznaczonej „dla szkół średnich i dla samouków”, cytowany jest obszerny ustęp z własnej jego książki *Szlakiem duszy polskiej*, uważanej — znowuż przez niego samego — za „najdojrzałą”. W ustępie tym komentuje Przybyszewski we wspomnianym wyżej duchu całą linię swej twórczości, przy czym szczególnie podnosi ostatnie swoje dwie powieści: „najpiękniejszy i najdojrzały poemat” *Zmierzch... Święty gaj*, „najczystszy wyraz”... itd. Wyobraźmy sobie, że młody czytelnik bierze do ręki te „najdojrzałe”, „najczystsze” i stwierdza, że to są irytujące i liche powieści, pisane często okropnym językiem. Wówczas mu to wystarczy, skończy z Przybyszewskim i więcej go do ręki nie weźmie; osądził go krótko i bez apelacji. A grozi to tym więcej, iż — jak zaznaczyłem poprzednio — powieści jego wciąż są, i pewno będą, na rynku księgarskim, gdy innych jego utworów trzeba szukać chyba w bibliotekach. Dlatego uważam za potrzebne położyć palec na istocie nieporozumienia oraz wyjaśnić przyczyny, dla których on sam w ocenie swej twórczości jest tak stronnym<sup>11</sup> i niepewnym sędzią. Trzeba go bronić przed nim samym.

Ale, aby to uczynić, konieczne jest dotknąć rzeczy dość drażliwej, osobistego życia pisarza. Osobiste życie pisarza, i to tak świeżo: czy to wolno, czy to się godzi? Nikt z pewnością nie odnosił się z większą niechęcią, nienawiścią wręcz, do tego rodzaju ciekawości co sam Przybyszewski:

(...) A krytyk, czy też tak zwany „historyk literatury” dzisiejszej doby, jest bezwstydniejszy od średniowiecznego kata, który golił czarownicę na całym ciele z każdego włoska... Głupie to, bezwstydne i bezcelowe, bo tajemnicy tworu nie dowiesz się skrzętny zbieracz anegdot, dat, życiowych przeżyć, choćbyś odnalazł w życiu Słowackiego jeszcze jakąś nieznaną miłośćkę lub w życiu Szopena jeszcze jakiś szczegółik, dla którego zerwał stosunek z panią George Sand... Jaką krzywdę te bezduszne hieny rozgrzebujące zewnętrzne życie artysty swymi niedorzecznymi komentarzami, jego utworowi przynoszą, wiem z doświadczenia (...).

Wszystko to pisze w r. 1917, w przedmowie do *Krzyku*<sup>12</sup>.

Zdawałoby się, że pisarz, mówiąc w ten sposób: „wara od mego prywatnego życia”, ma słuszną i jest po stokroć w swoim prawie... Zdawałoby się. Ale tylko na pozór. Bo ważmy, co robi często ów tak broniący swych tajemnic pisarz, właśnie ten sam Przybyszewski. Wprowadza je w swoje utwory, nieraz przejrzyście, na sposób pamfletu, pokazując palcem, miesząc szczegóły prawdziwe ze zmyśleniem, zacierając dowolnie tę różnicę. Ale Przybyszewski czyni więcej. W licznych przedmowach, którymi opatruje swoje utwory w drugiej fazie swojego życia, daje *wprost* komentarz do swej twórczości na tle życiowych zdarzeń. Czy i ten również, gdyby się mijał z rzeczywistością, nie podlegałby kontroli? W enuncjacjach w prasie, w wywiadach znów podaje chętnie komentarze, w których przekształcenie prawdy wkracza nieraz w dziedzinę faktów. Czyli że sam Przybyszewski — a czyni to z rozmysłem i celowo — wprowadza życie swoje nie tylko w literaturę, ale i w krytykę literacką; z tą chwilą przestaje być ono ściśle prywatne i mamy prawo — z zachowaniem oczywiście wszelkiej dyskrecji — je poruszyć.

Trzeba tedy powiedzieć tak. Działalność Przybyszewskiego rozpada się na dwa okresy. Pierwszy — to jego twórczość niemiecka i faza przejściowa, gdy przetwarza swe dawniejsze utwory na polskie. Drugi, to twórczość polska. W pierwszej fazie jest głównie poetą, w ostatniej dramaturgiem, powieściopisarzem. Otóż klucz do wielu zagadek: każdy z tych

<sup>10</sup>*Jest to moment ważny...* — artykuł niniejszy wywołał liczne komentarze, polemiki i bardzo interesujące rewelacje; patrz *Uzupełnienie*. [przypis autorski]

<sup>11</sup>*stronny* (daw.) — tu: stronnicy. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*w r. 1917, w przedmowie do „Krzyku”* — jak sam Przybyszewski odnosił się do tej słynnej przedmowy do *Krzyku*, patrz *Uzupełnienie*. [przypis autorski]

dwóch okresów związany jest z inną kobietą. W pierwszym — to pierwsza żona Przybyszewskiego Dagny, w drugim żona jego Jadwiga. Jak pierwsza faza prześlągnięta jest osobą Dagny, tak druga jest publicznym hołdem oddawanym raz po raz Jadwidze. Ale jest coś więcej. To drugie uczucie zazdrosne jest o przeszłość. Przybyszewski nie poprzestał na kadzidłach, jakie spalał na cześć Jadwigi. On, można by rzec, znieawidził wszystko, co było jego przeszłością, a z biegiem lat uczucie to rosło. Mówiąc o swej twórczości, zasuwwał w cień dawne utwory, nowe słał jako swoje szczyty. Cały jego niemal natrętnie ponawiany komentarz ma nas przekonać, co niejednokrotnie Przybyszewski powtarza, że dopiero od poznania Jadwigi zbudziła się jego twórczość. Wszystko, co mówi, mówi pod tym kątem, jak gdyby pod nakazem, jak gdyby pod dyktandem. On, który tak się broni przed wdzieraniem się w jego tajemnice, sam ciągle je odsłania: ostatni odczyt, jaki zapowiedział ten stary człowiek, a który uprzedziła śmierć, miał nosić tytuł: *Kobieta w mojej twórczości*. Wciąż życiowymi wydarzeniami komentuje tę twórczość. Nikt by słowa nie rzekł przeciw temu, gdyby to było tylko na czyjąś chwałę; ale to jest zarazem z czyjąś ciężką krzywdą; i — przede wszystkim — z krzywdą prawdy.

Oto co pisze w *Moich współczesnych*: „Z chwilą gdy ją (Jadwigę) poznałem, rozpoczyna się najpiękniejsza karta nie tylko w moim życiu, ale i w historii mego tworu”... itd. Korzysta ze sposobności, aby się wypowiedzieć jeszcze konkretniej w tej mierze. W ankiecie „Kuriera Czerwonego” pt. *Kobieta w życiu i twórczości artysty* pisze: „Aż do czasu, w którym moją żonę Jadwigę poznałem, nigdy żadna kobieta udziału w mojej twórczości nie brała. Istotny okres mojej dojrzałej twórczości rozpoczyna się z chwilą, gdy obecna moja żona Jadwiga wkroczyła w moje życie. Wtedy to powstały: poemat mój *Androgyne* (*W godzinie cudu*), wszystkie moje dramaty (a jest ich dwanaście z wyjątkiem *Dla szczęścia* pisanego w Berlinie), wszystkie moje powieści”.

Czyżby i tu, wobec tak wyraźnego mieszania życia osobistego do twórczości, krytyk miał mieć zamknięte usta, zwłaszcza gdy niemal każde słowo tutaj jest przeciwieństwem prawdy? I nie tylko jako sąd, co zawsze może być rzeczą sporną, ale jako *fakty*; i kiedy tego rodzaju oświetlenie przynosi szkodę samemu pisarzowi? Nie sądzę.

Powiedzmy tedy: Przybyszewski nie miał prawie poczucia rzeczywistości. Życie było dla niego snem, wizją. Fakt był zawsze tylko materiałem uczuciowym. „Dla duszy dwa razy dwa może być milion”. Kiedy żyłem z nim blisko, nieraz słyszałem, jak opowiadał to samo zdarzenie, nigdy dwa razy tak samo. Dlatego nie dziwny się, że w rzeczy, która go tak silnie uczuciowo obchodziła, musiał dojść do coraz wyraźniejszego przekształcenia faktów.

Weźmy ten wywiad. Mniejsza o lapsus w słowach „wszystkie moje powieści”, kiedy cztery jego powieści (trylogia *Homo sapiens* i *Dzieci szatana*) pisane były w okresie berlińskim po niemiecku. Znamiennejszy jest tu szczegół tyżący owej *Androgyne*. To kładzie „kropkę nad i” w rzeczy, którą można obserwować przez wiele lat działalności Przybyszewskiego: chęć przekreślenia swej przeszłości, przesunięcia walorów swego dzieła. Kłopot jest w tym, że okres, który pisarz chce przekreślić, jest w istocie najświetniejszy, jest jedyny prawdziwie twórczy w jego dziele; kobieta zaś, którą — choćby fałszując prawdę — chce wyrzucić ze swego życia, była z tym okresem najściślej związana, była jego mużą w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu.

Jestem w tym położeniu, że pierwsze — przełomowe — lata pobytu Przybyszewskiego w Polsce spędziłem z nim dzień po dniu, znam więc doskonale — mimo że nie o wszystkim chcę tu i mogę mówić — szereg okoliczności, które spowodowały przełom; pamiętam daty, nielitościwie prostujące omyłki pisarza. Wskażę tylko jedną, ale jakże znamioną: oto owo *W godzinie cudu* czyli *Androgyne*, o którym Przybyszewski pisze, że „kto wie, czy to nie jest najgłębsza jego książka”, a która ma być urodzona z natchnienia Jadwigi. Proszę mi wierzyć, że nie chęć grzebania się w cudzych sekretach powoduje mną, ale bardzo interesujące światło, jakie to rzuca na Przybyszewskiego.

Zatem daty. Przybyszewski zjechał do Krakowa z końcem lata 1898 r., wkrótce zaś potem przybywa żona jego Dagny z dziećmi. Przybyszewski obejmuje „Życie”. Poemat *Androgyne* zaczął się drukować w „Życiu” w nr 2 r. 1899, dnia 20 stycznia. Tuż po nim, w tym samym numerze, widzimy trzy drobne poemaciki Dagny Przybyszewskiej w przekładzie Przybyszewskiego, mimo że bez jego podpisu. W nr 10 z dn. 15 maja t. r. zaczęto drukować w „Życiu” utwór Przybyszewskiego pt. *W godzinie cudu*, który w niemieckim

wydaniu otrzymał później tytuł *Androgyne*. Zatem oba te utwory, zarówno *Androgyne* jak *W godzinie cudu*, pisane były, zanim Przybyszewski przysłą żonę Jadwigę widział na oczy i zanim wiedział o jej istnieniu. „Dusza nie zna interwałów...” — powiada gdzieś Przybyszewski. Nie dziwny się zbytnio, że po trzydziestu latach pomylił te daty. Ale czyżby i ich nie wolno było hienie-krytykowi ustalić?

Czy tylko to?... „Żadna kobieta w mojej twórczości udziału nie brała” — pisał we wspomnianej ankiecie. Każdy, kto patrzył, w Berlinie, czy w Krakowie, na poźycie Przybyszewskiego i Dagny, wie, jak niezgodne z prawdą jest to twierdzenie, inspirowane innym, zazdrosnym nawet o dawno zmarłą, uczuciem. Przypadkowo znalazłem w papierach moich dokument oświetlający poniekąd oba te zagadnienia, faktyczne i uczuciowe. Jest to list mego nieżyjącego przyjaciela, Ludwika Janikowskiego, do Dagny Przybyszewskiej, wówczas bawiącej w Zakopanem. Cały prawie list poświęcony jest owej *Godzinie cudu*. List pisany jest po niemiecku, w lipcu 1899 r.:

*Sobota.*

Najdroższa pani Dagny, posyłam pani ostatni numer „Życia”, który świeżo wyszedł. Koniec *W godzinie cudów* jest przepiękny — to jest nowy, inny ton, w tym stoi może Stach w istocie przed całkiem nową fazą twórczości. Zupełnie cudowny jest w ostatnich paru ustępach łącznik — przejście — do *Androgyne*, która stworzy dalszy ciąg *W godzinie cudu*. To jest tak jasne i przekonywujące, że każdy czytelnik sam z siebie musiałby to spostrzec — i co za uderzający przykład zupełnie podświadomego sposobu tworzenia u Stacha: początek *Androgyne* jest przecież od dawna gotowy, a pierwszą część *Godziny cudów* napisał mniej więcej przed dwoma miesiącami. Teraz powstaje — to jest właściwe wyrażenie — koniec *Godziny cudów*, i tworzy się nagle organiczna całość z *Androgyne*, a zarazem koniec *Androgyne*. To jest wyraźny przykład tego, co Stach twierdzi o życiu duszy, że nie ma w nim żadnego ciągu czasowego i przyczynowego.

Ton i dźwięk są w *Godzinie cudów* istotnie nowe — a uderzające jest potężnie wzmożone mistrzostwo słowa, zasuwające w cień pierwsze w Krakowie napisane rzeczy Stacha, np. przetworzenie *Wigilii*, które wszystkich właśnie wówczas swoim niepojętym i nieoczekiwanym mistrzostwem stylu oczarowało. Język *Godziny* jest jeszcze o wiele swobodniejszy, giętszy i zarazem potężniejszy.

W tekst jest wplecione owo cudowne zdanie — może najpiękniejsze, jakie Stach napisał — którego pochodzenie jest bardzo tajemnicze: Stach twierdzi, że ono jest pani, że je wziął z listu od pani, i tak jako cytat z podpisem „Dagny”, jest ono przytoczone w czeskim wydaniu *Nad morzem*. Ale pani Dagny, o ile mogę sobie przypomnieć, stanowczo przeczyła temu autorstwu. Zaraz potem następuje równie cudowny wariant na ten sam temat, który ja doprawdy zuchwałą ręką przewaliłem na niemieckie.

Posyłam pani przekład pierwszego artykułu, aby pani wiedziała o losach „Życia” i była spokojna — ton jest pełen nadziei i otuchy. „Życie” znalazło nowego szczęśliwego przyjaciela, tym razem w Ameryce. Wiersz Władysława Jarzębskiego z Waszyngtonu *Promień* jest bardzo, bardzo piękny — to jest poemat, który człowiek sobie natychmiast przyswaja, wchłania, asymiluje. Próbowałem go dla pani, jako jej przysięgły nadworny tłumacz, przetłumaczyć, ale będzie pani z tego miała, niestety, jedynie bardzo, bardzo dalekie pojęcie o jego piękności.

Sonet Brzozowskiego jest wspaniały: odwołuję i odszczekuję, jeśli go lekkomyślnie lekceważyłem, to jest artysta. Przekłady z Baudelaire’a są bardzo dobre, natomiast przekład z Verlaine’a uderzająco słaby.

Widziałem wczoraj popołudniu Stacha przez parę godzin u Szmida. Był bardzo szczęśliwy z numeru, który właśnie wyszedł, itd.



(Do listu dołącza Janikowski przekład wiersza Jarzębskiego i przekład słowa *Od redakcji* z dn. 5 lipca 1899 r.).

Przytoczony list Janikowskiego nie tylko świadczy, że *W godzinie cudu* należy w całości do owego pierwszego okresu życia i twórczości Przybyszewskiego (czy było pierwotnie pisane po niemiecku czy po polsku, nie wiem); świadczy on zarazem, jak żywo Dagny interesowała się wszystkim, co tyczyło nie tylko twórczości męża, ale i każdego artykułu, wiersza. Każdy prawie numer trzeba jej było tłumaczyć *à vista*. Daje to nam zarazem miarę, jak ostrożnym trzeba być w przyjmowaniu wszelkiej enuncjacji Przybyszewskiego, gdzie chodzi o kobietę; jest on zawsze, do końca, owym uwodzicielem ze swoich powieści, którego zakłęcia trzeba brać ostrożnie. Ofiarować kobiecie utwór poczęty z innej — to dosyć w stylu Eryka Falka. Historia literatury jest też żeńskiego rodzaju, niech się ma na baczności.

Znalazłem słowa owego listu, których Dagny, przez zrozumiałą delikatność, się wyprężyła: użył ich Przybyszewski i po polsku, jako motto do *Epipsychidiona* drukowanego w „*Życiu*” (jeszcze przed jego przybyciem do Polski); ów *Epipsychidion* zaś — to jest pierwsza część poematu *Nad morzem*. Oto owo motto:

...bo się pod taką gwiazdą urodziłam, że ja jedyna mogę położyć koniec  
twojej królewskiej potędze, — bom sama jak zbląkana gwiazda, co się w żarze  
twojego serca stopiła...

(*Ustęp z listu*).

To by może wystarczyło, aby ostrzec przed Przybyszewskim, jako przed stronnikiem i często najmniej wiarogodnym komentatorem swego dzieła. Ale jest i coś więcej, co przychodzi powiedzieć nie bez przykrości. Kiedy przyszła wiadomość z Kijowa o tragicznej śmierci Dagny, Przybyszewski odczuł ją bardzo boleśnie. Może miał poczucie odpowiedzialności za to młode życie, za tę kobietę, którą „wysłał na śmierć”, jak to nazwał ktoś znający tajemne okoliczności, towarzyszące temu splotowi dwóch samobójstw i zabójstwa. Może uprzytomnił sobie, czym była w jego życiu? W pierwszym wstrząsie napisał piękne wspomnienie, epitafium<sup>13</sup>. Ale później przyszły inne wpływy. Z czasem w utworach Przybyszewskiego pojawiają się reminiscencje pierwszego małżeństwa (*Odwieczna baśń* itd.) pełne jadu (*Powrót*), niesprawiedliwe, krzywdzące, brzydkie. Aż w przedmowie do *Krzyku*, pisanej w kilkanaście lat po śmierci Dagny, oświadcza wręcz (po co?!) że „(...) to, co w moim *Epitaphium* po jej śmierci napisałem, zrobiłem jedynie i wyłącznie dla jej dzieci, by je uchronić przed konsekwencjami błędów matki, w tym mniemaniu, że będą w polskim społeczeństwie chowane. I to tłumaczy całą tę nieszczerą, przesadną i w błąd wprowadzającą frazeologię, jakiej użyłem w tym pośmiertnym homagium”...

To było pisane w przedmowie do *Krzyku*, przepelnionej niedyskretnymi hymnami na cześć Jadwigi i sławiącej najlichsze utwory, jako „najdojrzałe, najczystsze, najgłębsze” itd. Trudno o coś przykrejszego z ust człowieka, który wiedział zbyt dobrze, że „błędy” były tu co najmniej zobopólne! Trudno o coś brzydszego, niż ta pośmiertna zniewaga, ten skalp zdarty z kochanej niegdyś głowy przez starego człowieka i obnoszony w jakimś historycznym tańcu. Potem czyni więcej: chce wymazać w ogóle tę kobietę ze świata, neguje jej istnienie w swoim życiu, odbiera jej — jak widzieliśmy — utwory, których każdą literę przeżywali razem, i niesie je innej kobiecie. Jest coś, co się buntuje przeciw

<sup>13</sup>*epitafium* — oto owo *epitaphium*, pomieszczone na wstępie do zbioru utworów Dagny Przybyszewskiej pt. *Kiedy słońce zachodzi*, w jego własnym przekładzie. „*Dzieciom moim Zenonowi i Iwci puściznę po matce przekazuję ojciec*. Wychowana w bogactwie i zbytku, zносиła mężnie i wytrwale kilkuletnią nędzę artysty, co się z trudem przez życie przebić musiał. Kobieta niezwykłej kultury i poczucia artystycznego, powierniczka najskrytszych moich intencji twórczych, jedyny człowiek, który znał mój twór aż do dna, który nieraz wyłowił z głębi mej duszy to, co dla mnie samego było nieświadome; oto czym była wasza matka. Jej tragedią było, że duszę miała zbyt szczerą, zbyt śmiałą i dumną, by mógł na nią paść najdrobniejszy cień fałszu i hipokryzji. Jej tragedią było, że była tym, czym jest jej sztuka: pięknoscią i zbytkiem. Nie była stworzona do tego świata: dusza jej, pełna naiwnej ufności, dziecięcej prostoty, doznała zbyt dużo rozczarowań, zbyt często była oszukiwana i zwodzona: musiała się w końcu przelamać. Tragedią jej była piękność, i szczerłość, i duma. Była przepięknym egzotycznym kwiatem, który rzadko wykwiła, a który tłum zdeptać musi — i nie dość że zdepcze, ale mści się na nim jeszcze po śmierci. Więc, dzieci moje, niech pamięć matki będzie dla was święta, jak dla mnie jest święta. Stanisław Przybyszewski. Warszawa, w czerwcu 1901”. [przypis autorski]

temu, aby to zostawić niesprostowane, niewyjaśnione, aby dać kosztnieć fałszywej legendzie. Obrażałoby to zarówno poczucie prawdy jak ludzkości. I zmarli mają prawo do życia. Dziś tedy, gdy po śmierci wielkiego pisarza ani jeden głos jej nie wspomniał, wolno chyba powiedzieć parę słów o tej, która była najściślej związana z Przybyszewskim, owym prawdziwym, a nie tym, który był własnym cieniem i karykaturą.

Kim była Dagny Przybyszewska? Norweżka, starannie wychowana, ale dusząca się w mieszczańskie ciasnocie Chrystianii, znalazła się w Niemczech, gdzie młoda Skandynawia była wówczas arystokracją w sztuce. Artystka w duszy, kształciła się w muzyce. Tam poznał ją i zaślubił Przybyszewski; zamieszkali w Berlinie. Życie to było oczywiście bardzo skromne, dla kobiety pełne wyrzeczeń; Przybyszewski nie zarabiał prawie nic, ona też nie była zamożna. Mimo to musiał mieć ten dom wdzięk i ciągnąć artystów, skoro po trzydziestu z górą latami tak wspomina go Johannes Schlaf:

Wielki ciemny pokój, oświetlony dwiema tkwiącymi we fiolkach świecami. Cudowna gra Dagny Przybyszewskiej. Innym razem znowu na dworze, u Dehmle, w słoneczne jesienne popołudnie. Wysoka, smukła, jasnowłosa Przybyszewska stoi koło męża przy sztachetach, przypiąwszy sobie — co za artystyczny pomysł! — olbrzymi, płomienisto-żółty słonecznik przy piersi.

Wspomina ten dom Przybyszewskich Julius Hart: „Ale nie brakło przy tym godzin najczystszych i najwyższego artystycznego skupienia — zwłaszcza gdy alkoholu nie stało. Kiedy „nasz Stachu” u siebie, we własnym domu, pod oczami swojej żony, pięknej Duchy, grał Chopina...”. Ci, którzy znali Przybyszewskiego w Berlinie, podnoszą dobroczynną rolę Dagny w jego życiu. Był to jedyny okres, gdy pracował nad sobą: kapitałem, jaki nabył wówczas, żył potem wszak całe życie. Pod wpływem Dagny alkoholizm jego trzymał się w pewnych granicach. Ona dystynkcją swoją dawała cechę godności temu cygańskiemu domowi i ratowała go nieraz z krytycznych sytuacji.

Przybyszewski przybył do Polski sam, jakby na zwiady. Zachwycony przyjęciem, jakiego doznał, i tym że jest między swymi, nie mógł się doczekać chwili przyjazdu żony. Krakowskie łaziki patrzyły z podziwem, jak Przybysz po którejś z pierwszych libacji poszedł, otoczony całą bandą, w nocy na pocztę, i słał do Norwegii pilne depesze tej treści: *Komm, liebe, komm, hier wirst du grenzenlos glücklich sein, komm, komm, komm...* („Przyjeżdżaj, najdroższa, przyjeżdżaj, tutaj będziesz szczęśliwa bez granic, przyjeżdżaj, przyjeżdżaj, przyjeżdżaj”... I telegrafista myślał sobie zapewne, że rzadko mu się zdarza nadawać tak zredagowane depesze „dringend”, o potrójnej taryfie...

Przyjechała z dwojgiem dzieci, Zenonem i Iwi. Chłopiec miał trzy lata, dziewczynka mało co więcej niż rok. Przybyszewscy zajęli ładne mieszkanie parterowe przy ulicy Siemiradzkiego na rogu Karmelickiej, z małym ogródkiem. (Dom stoi bez zmiany do dziś dnia). On przejął z rąk Sewera czasopismo „Życie”, które stało się szansem nowej sztuki. A życie w domu Przybyszewskich? Dom od wczesnego popołudnia do późnej nocy przepelniony gośćmi, zdawał się jakąś inną planetą, gdzie nie istnieje nic prócz sztuki. Ściany pokryły się sprowadzonymi obrazami Muncha, Goyi; niebawem Wyspiański, Weiss i inni pośpieszyli je przybrać swymi dziełami. Na głównym miejscu wisały tam *Skarby Szazamu* Wyspiańskiego, potem *Chopin* Weissa, na stołach pojawiły się najpiękniejsze niezbrane wprzód u nas artystyczne wydawnictwa. „Stach”, grający godzinami całymi Szopena, przetwarzający go zupełnie indywidualnie. A kiedy on się zmęczył, wówczas siadała do fortepianu Dagny i grała jakieś smutne melodie swego kraju, po których raz trzyletni Zenonek Przybyszewski podszedł do matki i rzekł po norwesku: „Mamo, jakimi ty łzami płakałaś?”. To znów obraz się zmieniał: Stach, wesoły — ową swoją niebezpieczną i jakże bliską rozpaczy wesołością! — siadał na kanapie i kazał sobie godzinami grać kujawiaki i krakowiaki: owo „Słońce i pogoda”, które później znalazło się w *Weselu* itp. Z niczym nie da się porównać owych nocy, na przemian rozpaczliwej i radosnej egzaltacji, owych nocy, które z tego mieszkania czyniły jakąś zaczarowaną, świetlną wyspę w cichym i zdumionym Krakowie.

Przybyszewscy zdawali się wówczas związani mocną spójnią duchową. Dzielili wszystkie wrażenia, chodzili po pracowniach, cieszyli się każdym spotkanym talentem — Duniowski, Markus, Weiss — młodziutkich wówczas artystów. Dagny uwielbiała Wyspiańskiego. *Ich liebe von ihm jede Zeile*, mówiła. Wyspiański bardzo lubił z nią rozmawiać;

nieraz, aby ją zabawić, rysował swoich „królów polskich” jedną kreską i inne koncepty. Grywała godzinami sonaty Beethovena z muzykalnym, jak Cygan biednym suchotnikiem Szyszką. Umiała być czarującą, gdy czuła się dobrze; umiała lodowatą impertynencją osadzić na miejscu natręta. Fizycznie była urocza. Smukłej jej linii nie zdołała zniekształcić ówczesna ohydna moda; z królewską dystynkcją donaszała stare suknie, przysyłane ze Stockholmu po bogatej siostrze, bo Przybyszewski nie miał nic zrozumienia dla potrzeb kobiecych i wszelki pieniądź nieprzepity wydawał mu się zmarnowany, łatwiej tedy było o flaszkę szampana, niż o parę pończoch. Przeszłość Dagny spowita była tajemnicą. Była — plotkowano — egerią bohemy skandynawskiej; legenda łączyła jej imię z nazwiskiem Strindberga; odnajdowało się jej rysy na rysunkach Muncha, jej linie w rzeźbach Wigelandy. Dla Przybyszewskiego miała uwielbienie, tkliwość niby starszej siostry (była o rok od niego starsza), interesowała się w jego twórczości wszystkim; kiedy on pisał, panował w domu religijny nastrój; kiedy skończył szczęśliwie jakiś utwór, dom napełniał się radością i gwarem. Pamiętam, jak raz męczył się szalenie, nie mogąc znaleźć logicznej spójni między jakimiś fragmentami i ona wybawiła go z kłopotu, tłumacząc mu porządek tych rzeczy. Bodaj że chodziło właśnie o ową *Androgynę*. Ducha, Dulinka, Dusia — polszczył to imię już w Niemczech na wszystkie sposoby.

Rola Dagny w twórczości Przybyszewskiego, wbrew jego późniejszym twierdzeniom, była ogromna. W epoce gdy wszystkie hołdy byłby chciał przenieść pod nogi innej, z podrażnieniem odpierał, gdy doszukiwano się w jego dawniejszym — mówiąc jego stylem — „tworze” kobiety, którą (jak pisze z irytacją z okazji *Nad morzem*) „nawet określić umiano”. Mam w ręku polskie *Nad morzem*, wydane przez samego Przybyszewskiego: na pierwszej stronie dedykacja: „Mojej żonie”, na następnej głowa Dagny rysunku Wyspiańskiego...

Jestem przekonany, że udział Dagny, obecność jej, niemało się przyczyniły do owego fantastycznego sukcesu Przybyszewskiego po przybyciu do Polski. To była żywa jego legenda, wdzięk, poezja tych pijackich nocy, które inaczej jakże łatwo osuwały się na poziom zbyt niski. To była dusza domu, na który przez chwilę zwrócone były oczy całej Polski.

Mimo to harmonia była zmacona. Nie ma potrzeby rozwodzić się nad przyczynami, które mogą zamącić pożycie mężczyzny i kobiety. W utworach Przybyszewskiego dość można znaleźć autobiograficznych — które jednak trzeba brać ze zrozumiałą ostrożnością — w tej mierze wynurzeń i fantazji na ten temat, począwszy od samych *Wigilii*. Zazdrość o przeszłość była w epoce owych sukien z buffami niemal obowiązująca. Potrzeba samoudręki tkwiła głęboko w naturze Przybyszewskiego. I trzeba powiedzieć jedno: o ile w Berlinie, na obcym gruncie, w przymusie pracy i zarobku, alkoholizm jego trzymał się w pewnej mierze, o tyle w Polsce, wśród rozlewności ziomek, w tym życiu fantastycznym, improwizowanym, przechodził wszelką miarę. Odwożenie go w stanie nieprzytomności do domu należało nieraz do codziennych czynności Dagny, z których wywiązywała się ze wzgardliwym nieco wdziękiem.

Było może i inne podłoże rozdźwięku. Przyjazd Przybyszewskiego do Polski mógł się stać w tym pożyciu poniekąd przełomem. W Niemczech, w tym obcym kraju, ojczyzną jego stała się młoda Skandynawia; Ola Hansson był jego chrzestnym ojcem literackim. Tam Dagny była mu najbliższą, niemal krajanką. Inna rzecz po przeniesieniu do Polski. On dopłynął do swoich. „Bliskich” miał aż zanadto; sfera jego zainteresowań stopniowo przeniosła się na polskie sprawy. Skoro zaczął pisać po polsku, rozluźnić się musiały ich spójnia artystyczna. Przybyszewski rad, że może nareszcie mówić i pisać po polsku, z niechęcią zmuszał się do mówienia po niemiecku; przedtem zaś, gdy był niemieckim pisarzem, nie czuł potrzeby nauczania jej swego języka. Wśród ciągłych rozmów, dysput polskich, Dagny była z nich niejako wyłączona; wytworzyły się dwa „dwory”: Dagny, gdzie mówiło się po niemiecku lub po francusku, i Stacha, gdzie mówiło się po polsku. To sprawiało niewątpliwie, że codzienne pożycie stawało się mniej bliskie, ona mniej nieodzowna. Może wreszcie, kiedy Przybyszewski przetworzył swoje poematy i całe swoje słownictwo na polskie, stało się dla niego paradoksem mówić czułe słowa po niemiecku, może miał podświadomą potrzebę wylądowania tych nowych zdobyczy. Musiał spotkać tę, do której mógłby mówić po polsku. Cudzoziemska „Iza” musiała się zmienić na polską

Hankę. Oto okoliczności, które mogły zaostrzyć wiekuisty strindbergowski antagonizm płci.

Był i inny konflikt, niejako rasowy. Ta Norweżka była z twardszego kruszcu niż słowiański. Nie rozumiała tych łatwych rozczuleń, tanich łez, obłudnych pocałunków szafowanych dokoła niej; Przybyszewski natomiast z rozkoszą poddawał się owym rozlewnym serdecznościom odnalezionej ojczyzny, których tak długo był pozbawiony. Na tle tych nastrojów głębokie uczucie Dagny zdawało się niemal chłodem. Przy tym on czuł się już po trosze zmęczony. Może sprawił to alkohol, może natura jego talentu, który rozbłysnął tak wcześnie i znużył się tak szybko. Przybycie jego do Polski — to jakby ciężenie do łatwiejszego, nie tak wytężonego artystycznie życia. Nagromadzony kapitał miał mu wystarczyć na parę dziesiątków lat; można powiedzieć, że nic do niego nie przydał. Nakarmiony w Polsce do syta bezkrytycznym uwielbieniem, ciążył może do odpoczynku, gdy ona wciąż była tą Loreley, dla której ginęli ludzie. To była towarzysząca dla szermierza, dla zwycięzcy.

Weszła w grę inna kobieta. Dagny bronila swego życia, ale czuła, że traci grunt pod nogami. Przypadkowo posiadam jej kartkę<sup>14</sup> pisaną do Przybyszewskiego po norwesku z Zakopanego dnia 2 lipca 1899 r.:

Najdroższy, najdroższy.

Błagam cię, nie bądź smutny i przyjedź do mnie jak tylko będziesz mógł.

Czekam cię z otwartymi ramionami, tęsknię za tobą i kocham cię.

*Tvoja Ducha.*

Ale gra Przybyszewskiego nie była szczerą. Życie ich stało się okropne, pełne niedomówień i dwuznaczności. W atmosferze nieznośnej, ciężkiej, w „malströmie” samoudręczeń, w jakich celowała owa smutna epoka, komplikująca i gniotąca na śmierć każdą sprawę — w oparach alkoholu wreszcie, zaczął się łańcuch powikłań, których tu nie będę opowiadał, a których ofiarą padły w końcu trzy istnienia: poeta Stanisław Brzozowski, który skończył samobójstwem, Emeryk, młody głuptas, który zastrzelił Dagny i siebie. Trudno jest omawiać tu tło tych wydarzeń, w każdym razie o wiele mniej prostych i brzydkich niż to Przybyszewski w swoich późniejszych pamfletach nasuwa. Rzecz szczególna, on sam mówił o Dagny, gdy mówił do tych, co ją znali, ze wzruszeniem: pisał — jakby pod dyktandem — coraz szpetniej, aż wreszcie — rzecz niesłychana! — „odwołał” swoje pozgonne, pod świeżym wrażeniem tragedii pisane wspomnienie<sup>15</sup>.

„Ożenek mój z Dagny był czystym przypadkiem, jaki się zdarza niejednemu młodemu artyście, któremu niebacznie noga się podwinie” — czytamy w Przybyszewskiego autobiografii. A tuż obok leży na stole niemieckie wydanie *De profundis* z tą dedykacją tak prostą, najpiękniejszą z tych, które napisał: *Meinem Freunde, Meiner Schwester, meinem Weibe Dagny* („Memu przyjacielowi, mojej siostrze, mojej żonie — Dagny”).

Przejdźmy do konkluzji. Wbrew wszelkim autobiograficznym wyznaniom w życiu i twórczości Stanisława Przybyszewskiego odegrały rolę nie jedna, ale dwie kobiety: Dagny i Jadwiga. Pierwsza jest muzą jego okresu twórczego, bohaterskiego; druga — towarzyszką jego długiego schyłku. Bo znowuż wbrew osobistym komentarzom Przybyszewskiego, twórczość jego szła zupełnie inną koleją niż on w to wierzył czy chciał wierzyć. Rozbłysła w pierwszych kilku latach, wówczas dał już z siebie wszystko; tliła smętnie i... kopcila często w dalszej fazie życia. Przybyszewski jest wręcz zadziwiającym fenomenem jako zjawisko wstrzymania rozwoju. Będąc np. na jego odczucie, słyszało się te same zwroty, te same zdania, co przed dwudziestu pięciu laty: miało się wrażenie, że przez ten czas najpiękniejszych lat męskich nie przybyło mu ani jednej myśli. Zastygł niby urzeczony przez jakiegoś Chochola. Raz jeszcze się ocknął: to kiedy pisał pierwszą część *Moich współczesnych*, jedną z najlepszych swoich książek. Bo wtedy wrócił duszą w ów pierwszy okres swego życia, swojej twórczości.

<sup>14</sup>przypadkowo posiadam jej kartkę (...) — dokumenty te posiadam stąd, że Ludwik Janikowski, który był ich depozytariuszem, znalazłszy się w zakładzie dla umysłowo chorych sam mi je stamtąd przesłał. [przypis autorski]

<sup>15</sup>pod świeżym wrażeniem tragedii pisane wspomnienie — co do tych szczegółów, obacz zdumiewające rewelacje w *Uzupełnieniu*. [przypis autorski]

Ślad, jaki Dagny wycisnęła na tym okresie, jest niezatarty. Fizjonomię jej taką, jak ją widział Przybyszewski, odnajdziemy wszędzie, w powieściach, w dramacie, w poematach. I jakby przez ironię wówczas, gdy przeczył jej istnieniu, hymny, jakie pisał później dla innej kobiety, były bladym odbiciem tamtych na gorąco poczętych obrazów. Klepał do końca pacierz, który był niegdyś żarem miłości i poezji.

I stopniowo całe życie Przybyszewskiego, cały jego stosunek do społeczeństwa — i nawzajem — staje się kłamstwem. W miarę jak zanikała twórczość i wpływ istotny, rosło oficjalne uznanie. Urządzano mu kłamliwe jubileusze, przy czym teatry łamały sobie głowę, którą z jego sztuk można by wznowić, nie wywołując uśmiechu zamiast grozy. Darzono go półlitosnym oklaskiem. Znano go coraz mniej i coraz gorzej. Oto był plon tego, co on nazywa swą najdojrzałą twórczością. Porównajmy to ze szczerością i ogniem wspomnień owych Niemców, którzy po czterdziestu blisko latach wspominają owe dawne dni.

Czy on w to wszystko wierzył? Któż zgadnie, z tą naturą tak boleśnie, tak konwulsyjnie pokręconą. W każdym razie jest coś niesamowitego w tym jego uporze, coś rozbijającego w tej jego naiwności.

„*Mściciela* — mówi w tej samej ankiecie »Kuriera Czerwonego« — tworzyłem w ogromnym napięciu, ale i w wielkim trudzie. Często już pryskały wiązadła, fatalnie rysowały się wzniesione już mury, ale tu w całej tej pracy okazała żona moja niezwykle hart i jednocześnie wielką wiarę w moje siły, wiarę, która jej nie pozwoliła cofnąć się nawet przed najostrzejszą krytyką”.

Kto widział na scenie lub czytał *Mściciela*, uśmiechnie się, czytając te słowa... I kiedy tych dwoje starych ludzi podpieierało „fatalnie rysujące się mury” niedoleżnej w istocie i nikomu niepotrzebnej budowy, kto wie, czy czasem przed oczami duszy Przybyszewskiego nie zjawiała się owa smukła, jasnowłosa kochanka jego lat młodych, muza jego najpiękniejszych pieśni, Androgyne. I patrzyła nań swymi zuchwałymi, poważnymi, mądrymi oczami, a on odpędzał ją może niedoleżną ręką i mruczał: „Precz! to nieprawda, ciebie nigdy nie było”... Ale na próżno. Bo ta ukochana niegdyś — to była cała jego młodość, namiętna i górna, to było całe jego życie...

Piszę to wszystko — jak rzekłem — w podwójnym celu. Raz, aby dać świadectwo prawdzie, do której umarli mają prawo. Po wtóre, aby wedle możliwości pomóc do rozeznania się w tej zawilej, skomplikowanej psychice. A wreszcie pragnąłbym przywrócić pisarzowi jego prawdziwą fizjonomię, tę, w której ma się utrwalić i pozostać. U pisarza, którego mało kto pamięta w jego rozkwicie, a wszyscy oglądali w długiej dobie zmierzchu, i tak jest to utrudnione; cóż dopiero gdy on sam przyczynia się do nieporozumień. A kiedy się podejmie to zadanie, niepodobna przeszkodzić, aby imię jego, wbrew ziemskim kolejom, nie zostało związane z imieniem tej, z którą w królestwie ducha złączone jest na zawsze, dla której występował najpiękniejsze swoje pieśni:

O jasna moja! —

Już tysiąc razy świat się przeobraził, odkąd Twe ostatnie spojrzenie wchłonęło gasnące blaski mej duszy, a wciąż jeszcze widzę Twą drobną twarz dziecka i złotą koronę jedwabnych włosów wokół Twej skroni, widzę, jak dwie łzy spłynęły w błąd uśmiech, co tlał na Twych ustach, i słyszę, jak Twój głos ciemną skargą się żali...

Ty, która mi rozrywasz pieczęcie wszelkich tajemnic i czytasz runy ukrytych sił, a po wszystkich szalach mego życia roztaczasz się tęczą łaski od jednego nieba do drugiego —

nigdy jeszcze nie wicherzyły się taką burzą gwiazdy moje, nigdy jeszcze nie promieniała jasność, co Twą skroń wieńczy tak krwawymi błyski, jak teraz, kiedym Cię już na zawsze utracił.

Przed Twe nogi rzucam gwiazdy moje; stopy Twe oplatom snów mych czarnym kirem, a w ręce Twoje wkładam moje serce — me serce...

Tak mówił wielki poeta. I kiedy się spojrzy na koleje Przybyszewskiego, dziwnie wróżebnego charakteru nabierają owe słowa jej listu:

...bo się pod taką gwiazdą urodziłam, że ja jedyna mogę położyć koniec twjej królewskiej potędze...



## SMUTNY SZATAN

„Kochankowie bogów umierają młodo”... Jak w każdej mądrości narodów, tak i w tym powiedzeniu jest tyleż fałszu, co prawdy. Byron umarł w śliczną porę dla swojej legendy. Słowacki niewątpliwie straciłby na tym, gdyby dożył naszej epoki i jako stuletni ramol był prezesem Straży Piśmiennictwa Polskiego. Ale, z drugiej strony, Molier, Rabelais, Montaigne, Beaumarchais i tylu innych, których twórczość rozwinęła się po czterdziestce, gdyby pomarli młodo, byłiby niczym. Bywa i tak, i tak, jak wszystko na świecie.

Bardziej interesuje mnie rzecz inna: mianowicie, czym się dzieje, że pisarz obleka dla potomności tę lub inną fizjonomię; że stawszy się *idea*, *rzeczą* — zdawałoby się — bez wieku, przybiera mimo to pewien określony wiek; oko potomności utrwała go chętniej w pewnym momencie jego rozwoju. Czy widzi kto Woltera inaczej niż jako pomarszczonego starca z sardonicznym uśmiechem na cienkich wargach? A przecie Wolter, mając dwadzieścia kilka lat, był już sławnym poetą, autorem oklaskiwanych tragedii. Przypuścimy, że u Woltera ta starcza fizys zgadza się z portretem duchowym: ale czemu np. Fredrę widzimy w postaci staruszka, gdy on wszystkie swoje komedie — te, które się liczą — pisał jako mężczyzna trzydziestokilkuletni? Musseta widzimy młodym, mimo że dożył pięćdziesiątki. Czasem decyduje o tym jakiś popularny wizerunek czy rzeźba, czasem nieuchwytny na pozór kaprys historii.

I oto świeżo po zgonie Przybyszewskiego mimo woli zastanawiałem się, w jakiej fizjonomii on się utrwali dla potomnych. Czy jako ten, którego znali wszyscy: potulny, zahukany staruszek, przykładny mąż, gorliwy Polak i obywatel, wciąż kajający się i uwielbiający, czy jako ów „uczeń szatana”, jakim go pamiętają niektórzy, rzucający zuchwałę wyzwanie życiu i śmierci, stwarzający dokoła siebie wir potępieńczy? Otóż tu pośmiertne losy pisarza są po trosze w naszych rękach, w rękach tych, którzy dziś mogą jeszcze ogarnąć całość jego twórczości i życia.

Stosunek opinii do Przybyszewskiego był w istocie dość pocieszny. W pośmiertnym numerze „Wiadomości Literackich” opowiada Jerzy Hulewicz, jak przed kilku laty dom jego w Poznaniu był przedmiotem bojkotu, ponieważ mieszkał tam Przybyszewski. „Sąsiedzi i krewni, bliscy i dalecy, zaczęli stronić od nas” — mówi Hulewicz. W parę lat potem pisarz staje się „chlubą Wielkopolski”. Co się stało? Czy się odmienił on albo jego czytelnicy? Czy wydał nowe dzieła, czy co nowego stworzył? Nic a nic. Po prostu zamilkł, był już stary, chory, przestano go czytać; stał się „nieszkodliwy”. Dojrzał, na parę lat przed śmiercią, do owej mumifikacji czy beatyfikacji, którą utrupia się u nas znakomitych pisarzy.

Opowiadał mi jeden z uczestników pogrzebu Przybyszewskiego następującą scenę. Dygnitarz państwowy, wysłany przez zwierzchność, aby wygłosił mowę na pogrzebie, odgadawszy z widocznym przymusem zdawkowe frazesy, zeszedł z mównicy i szepnął do kogoś z obecnych: „Pogrzeb pogrzebem, ale co tu gadać, to był demoralizator i tyle”. Nie wiedział szanowny dygnitarz, że w tej chwili właśnie wygłosił prawdziwą mowę pogrzebową, że położył palec na istocie czynu Przybyszewskiego, na tym, za co właśnie — też nie bardzo wiedząc o tym — składano mu wieńce. Demoralizator! Weźmy rzecz filologicznie: jeżeli słowo „moralizator” jest w literaturze pojęciem najbardziej okrzyczanym, w takim razie przeciwieństwo jego — *de-moralizator* — musi być pojęciem zaszczytnym. Coś tak jak *infekcja i dezynfekcja, maskować i demaskować*.

Kto znał Przybyszewskiego w ostatnich kilkunastu latach, niełatwo może sobie wytworzyć pojęcie o człowieku, jakim był w epoce pierwszego przybycia do Polski w r. 1898. W jednym z numerów wydawanego przezeń „Życia” znalazła się reprodukcja *Szatana* Wigelanda, fragment wielkiej płaskorzeźby. Szatana tego krakowska prokuratura skonfiskowała, nie wiem czemu. Jest to rosły, piękny mężczyzna, który siedzi z głową wspartą na rękach z wyrazem bezgranicznego smutku. Na płaskorzeźbie stanowi on centrum kompozycji; dokoła niego tłoczą się potępieńcy. Prawdziwy książę ciemności. Tym księciem ciemności zdawał mi się wówczas Przybyszewski, tymi potępieńcami byliśmy po trosze my wszyscy, którzyśmy się do niego garnęli. Bo jego wpływ osobisty był może większy jeszcze niż literacki; w każdym razie promieniowanie osobistego wpływu było źródłem wpływu literackiego. W innych warunkach Przybyszewski byłby z pewnością założycielem sekty. Kiedy sobie przypominam jego ówczesną gminę krakowską, zdaje

mi się, że dosyć niewiele troszczono się tam o „Życie”, o manifesty głoszące sztukę przez wielkie S; wszystko to zdawało się dość blade w stosunku do tego niesamowitego narkotycznego życia, jakie Przybyszewski sam stwarzał dokoła siebie. Tak, „przybyszewszczyzy” to była raczej sekta niż szkoła literacka. Zauważyć zresztą należy, że wśród ludzi, którzy się grupowali wówczas koło Przybyszewskiego, nie było ani jednego „firmowego” literata. Wszyscy, nawet ci, którzy go sprowadzili i witali pierwsi, rychło odsunęli się, urażeni jego arbitralnością, ekskluzywnością, obrazoburstwem. Dobór otoczenia odbywał się wedle całkiem innych kategorii: to były, jeżeli wolno tak powiedzieć, dzieci Szatana. Takie sobie niewinne dzieci, dzieciątka.

Książę ciemności! Aby rozumieć Przybyszewskiego z owej epoki, trzeba sobie uprzytomnić atmosferę tragedii, w której żył, w której się plawił. Miał dwadzieścia parę lat, kiedy ginie gwałtowną śmiercią kobieta, którą porzucił dla innej, dla wielkiej miłości swego życia; Przybyszewski dostaje się do więzienia<sup>16</sup>, podejrzany o udział w tej śmierci. W kilka lat ginie tragicznie owa druga, a towarzyszą tej śmierci dwa samobójstwa. Te dwa zdarzenia spinają jak klamrą najpłodniejszy okres jego życia; a nie są to przypadki, to wykwit atmosfery, w której żyje, którą tworzy i niesie ze sobą. Bez tej ramy, w którą jest ujęta, niepodobna rozumieć jego twórczości.

Człowiek nieszczęśliwy? Och, tak! Przybyszewski był człowiekiem głęboko nieszczęśliwym. Nie przez warunki życia: nieszczęście tkwiło w nim organicznie. Ale było coś więcej. On tej atmosfery nieszczęścia, tego ocierania się niemal o zbrodnię, potrzebował. Zapewne mimo całego egotyzmu twórczości Przybyszewskiego nie można go utożsamiać wprost z jego bohaterami, a jednak, gdy czytam pewien ustęp z *Homo sapiens*, zawsze widzę jego samego w tej sytuacji. To ta scena — nie bez odpowiedników w jego życiu, tragicznych i komicznych na przemian — gdy Falk skrada się za Grodzkim, wiedząc, że ten idzie się zabić:

Szedł długo za Grodzkim, aż wreszcie spostrzegł go, jak znikł w parku. Falk osłabł tak, że musiał się oprzeć o ścianę, aby nie paść. Wszystko w nim było tak naprężone, że najdelikatniejszy szmer sprawiał mu ból. Słyszał w dali turkot dorożki, posłyszał jakiś śmiech... drżał coraz silniej, zęby mu szczękały. Teraz musi się to wreszcie stać. Zamknął oczy, teraz... teraz... Serce się ścisnęło. Dławił się.

(...) Może Grodzki chciał tylko sobie z niego zakpić. — Naturalnie, że się nie zabije! — powtarzał wściekły.

W tej chwili posłyszał wystrzał.

(*Homo sapiens* . — *W Malströmie*).

Tak, ten głęboko dobry człowiek był straszliwym niszczycielem. Musiał żyć tragedią, musiał mieć ją na co dzień i od święta, jak teatr. Bo szatan, jak wszystkie sztuki, tak wymyślił i teatr, i maski. Przybyszewski był wielkim histrionem. Wciąż grał sobie jakąś komedię — tragedię — *dell'arte*. Obok smutku, czaiła się w nim nieuleczalna nuda — lęk — nieustanny głód podrażnień.

Czegóż on się nie chwycił, aby oszukać tę nudę, aby zakrzyczeć tę rozpacz, ten niepokój! Czynność, jaką rozwija Przybyszewski w pierwszym okresie swego działania, jest niesamowitą. Redaguje „Gazetę Robotniczą” i tuż potem „Metaphysische Rundschau”. Podrabia słynny *List księdza Ściegiennego* i pomaga — jego własne zeznanie — Strindbergowi przerabiać ołów na złoto (!). Sparza muzykę z filozofią, Chopina z Nietzschem — czegóż zresztą nie sparza z sobą: gotyk z fizjologią rdzenia pacierzowego, diabolologię z malarstwem i rzeźbą, wszystko to chłonie, przetwarza, stapia w indywidualną religię... I wciąż z tego arcy-logicznego chaosu wydzierają się te trzy rzeczy, z których jedna wystarczy, aby opętać człowieka: poezja, muzyka i frenetyczna miłość kobiety. Czy był człowiek, który by tak szalenie chłonął życie ducha jak ten dwudziestoparoletni Polak; który

<sup>16</sup> Przybyszewski dostaje się do więzienia — wspomnienie tego więzienia, o którym zresztą opowiadał czasem w chwilach zwierzeń, znajdują się w powieści *Synowie ziemi*. Szarski tłumaczy Czerkaskiemu, czemu musi pić: „Zbliżył się do Czerkaskiego i mówił prawie że szeptem: — Wiesz, siedziałem raz w więzieniu: posądzono mnie o to, że kobietę zatrąłem. Nie zatrąłem jej, bom za wielki tchórz — ale Bóg wie, może się dla mnie otrula... Siedziałem tam parę tygodni — Hu, to straszne, straszne...” [przypis autorski]

by zuchwalszą rękę ściągał ku niebu, tłukąc w nie, aby mu wydało wszystkie tajemnice i wszystkie dreszcze istnienia? Faust w ciszy swej pracowni zgłębiał pół wieku księgi, potem zaś, kiedy zawarł pakt z diabłem i rzucił się pić ze źródeł żywego życia, cisnął księgi w kąt; ale ten nasz młody Faust chciał wszystkiego naraz. Nie dziw, że strumieni alkoholu było trzeba, aby uspić nerwy rozszalałe takim szarpaniem, że ten mózg chodził krawędziami oblędu.

Taki był, kiedy zjechał do Polski. I w tej swojej nieugaszzonej męce Przybyszewski wypełnił jedną rolę. Obudził poczucie tragizmu życia, sztuki. O naszej przedromantycznej literaturze nie mówię, jej wszelki tragizm był obcy. Polem był w poezji tragizm cierpień narodowych, który „przeanielił” dusze naszych poetów. Ale ten książę ciemności był pierwszym, który pochylał się nad wszystkimi przepaściami życia, nad otchłanią nieszczęścia i zbrodni, nie jako pisarz, ale wręcz jako człowiek; który każde słowo płacił krwią swoją i — cudzą. I to jest arcyważne do zrozumienia wpływu Przybyszewskiego. Nie jego programy, nie jego „absoluty” i „nagie dusze” porywały; ale on sam, ten opar demonizmu, ten narkotyk, który sprzedawał. Mefistofeliczne było w nim wszystko. Rozmowa jego z młodym człowiekiem, który się doń zbliżał, zawsze mi przypominała ową scenę z *Fausta*, gdy Mefisto, przebrany w togę doktorską, udziela rad studentowi. Robi wrażenie człowieka, który wszystko wie, wszystko przemyślał, wszystko zna. Miał mnóstwo wiadomości, którymi umiał genialnie operować; skąd je miał, licho wie? Bo nikt go nie widział, aby co czytał. Umiał chytrze prowadzić i przecinać dyskusje. Miał olśniewające paradoksy, wybuchy. Był mistrzem szyderstwa, umiał prowadzić sokratycznie dialog, wywieść rozmówcę na manowce i zostawić go na nich, parsknąwszy śmiechem. W utworach wyzuty z humoru, w życiu miał piekielne poczucie dowcipu. Szyderstwem wypalał wszystko jak żrącym kwasem; rozkładał martwe związki, ścigał wszystkie narowy myślowe, niepokoił jakimś bolesnym cynizmem, a zarazem wiązał, przykuwał do siebie sekretną magią słów. Alkohol wypity z nim miał tajemniczy smak: nie darmo wypisywaliśmy wówczas na flaszkach wiśniówki: „*Eritis sicut Deus, scientes bonum et malum*”.

Nasycało to jakąś żywiołową potrzebę, jakiś głód niedokarmiony nigdy w Polsce od czasów Rzepichy i Piasta. Przybyszewski dał pokarm niedosyconemu demonizmowi duszy. Był w kraju łagodnych Słowian ambasadorem Arymana; w kraju, który umiał przetłumaczyć renesans na treny po Urszulce, rewolucję francuską na Trzeci Maj, a samego Byrona na miłość ojczyzny. On *Żywotowi człowieka poczciwego* przeciwstawił żywot człowieka szalonego; kazaniom Skargi — chichot sabatu czarownic; różnym synom nieba spreparowanym dla młodzieży — synów ziemi opitych rozpaczą i bluźnierstwem. A jego alkoholizm, pijaństwo oszalałego swym zuchwalstwem mózgu, czyż nie jest ekspiacją za kufy bezmyślnie wychlane przez starych polonusów? *Noch eine Stunde, dann ist Nacht — trinkt bis die Seele überläuft* — picie aż dusza wykipi — ileż razy powtarzało się za nim to motto ze wspaniałej *Pieśni pijackiej* Richarda Dehmela! A ta glossa: *Am Anfang war das Geschlecht* — „Na początku była chuć” — czyż nie jest zapłatą za wszystkie święte Kingi i Bolesławów Wstydlivych, z których utkana jest nasza historia? Potępiano jego „panseksualizm”; ale czy on nie jest późnym wyrównaniem konta za bezpłciowość tylu pokoleń? Jest w tym coś fatydycznego, że właśnie polskim ustom los kazał wypowiedzieć ów werset ewangelii płci. To coś niby starodawny obyczaj „odszczekania”: tak długo Polska zapierała się płci, aż wreszcie ten Polak w gorliwości swojej uczynił z niej alfę i omegę kosmosu. To szatan, mszcząc się, kazał za cały naród temu prostemu Kujawiakowi „odszczebrać”.

Bo to pewna, że bies wstąpił w tego człowieka. On był *nawiedzony*, przez szatana w wielkim stylu. I przez to stał się dla nas bezcennym skarbem. Bo zważcie: myśmy w Polsce nigdy nie mieli szatana; były tylko podrzędne rezydenty i pachołki piekielne: Kusy i Boruta. Przybyszewski spłacił za nas dług tej inkarnacji. Zjawienie się jego było potężnym uzdrowieniem, było rozwiązaniem zahamowanych wiekami kompleksów. On był freudowskim snem naszej duszy, a raczej freudowskim jej snów wykładem. Ale i on sam z dotknięciem gleby rodzinnej stracił swój demonizm, zmienił się w... diabła z pani Twardowskiej. „Jak baba diabła wyonacyła”... O ziemio polska!

Toteż „książę ciemności” kokietował później ze wszystkimi wiarami i liturgiami: z hinduską metempsychozą, katolicką ortodoksją, żydowską kabałą. I tym, co go znali dawniej, nieraz przychodziły na myśl Goethowskie słowa: „*Nichts abgeschmackteres weiss ich der Welt, ale einen Teufel der verzweifelt*”...

Tak, ten szatan dzwonił potem ogonem na wszystkie kazania. Ale to już nie miało znaczenia. Ten, który w *De profundis* uwiódł własną siostrę, w *Mścicielu* groził straszliwymi karami człowiekowi, który *uwiedzie* (słownictwo jego epoki) siostrę cudzą. Publiczność wołała „autor”, klaskała z uśmiechem, po czym każdy poszedł z czyjąś tam siostrą do Oazy. A jemu, autorowi, wyprawiano jubileuszowy obiad. Powieszono mu na diabelskich oblamanych rogach wysoki order Odrodzonej Ojczyzny. Ten sam order ma może prokurator, który konfiskował niegdyś jego „*Życie*”. I wszyscy się uśmiechali.

O losie pisarza! Gdybyż był przeszedł jak meteor — którym był w istocie — jak potężne zostawiłby wstrząśnienie, jak wspaniałą pamięć. Jak ożywczą smugą szedłby za nim zapach dobroczynnej smoły, tak zdrowej dla silnych płuc! On nie był z tych, którzy by mogli przejść do normalnej historii literatury. Przeżył samego siebie o parę dziesiątków lat. Wrócił do kraju, aby w nim powoli dogasać. Zniszczył własną legendę. Nie dla wszystkich. Dla Niemców — tych co go pamiętają, którzy pisali o nim po jego śmierci — pozostał owym światoburczym opętanym „Stachu”, o którym tak gorąco mówią Hart i Schlaf. I u nas trzeba by wydobyć jego prawdziwą twarz spod nalotów. Twarz smutnego szatana, twarz udręczonego bez miary człowieka, twarz wielkiego poety.

## POETA A PIENIĄDZ

Zdaje mi się, że my nie bardzo lubimy myśleć, nie lubimy zwłaszcza przemyśleć rzeczy do końca. Upraszczaamy rzeczy skomplikowane. Frazes czepia się wszystkiego, załatwia wszystko. I dlatego często, nawet gdy sprawa jest słuszna, argumenty trafiają jak kulą w płot.

Umarł niedawno Stanisław Przybyszewski. Umarł w biedzie, jeżeli nie w nędzy. To nieładnie, oczywiście. Nawymyślano też z tego powodu narodowi, nahańbowano. Hańba państwu, hańba ojczyźnie, hańba społeczeństwu.

Równocześnie, to samo pismo, na którego łamach rozbrzmiewają owe „hańby”, zamieszcza szereg fotografii. Fragment mieszkania Przybyszewskiego w pałacu Pod Blachą. Sypialnia Przybyszewskiego w pałacu Pod Blachą. Gabinet, jadalnia... razem z pięć pokoiów, miłych, z staroświecką urządzonych, wysłanych pięknymi kilimami, przytulnych. I niejeden sobie myśli: „Mój Boże, zgodziłbym się na taką nędzę”. Zasłużonemu pisarzowi prócz mieszkania przyznano pensję. Niewiele to było, jakieś pięćset złotych, ale zawsze coś.

Ojczyzna, sądzę, rozumuje tak: „Masz oto, mój zasłużony synu, dach nad głową i minimum egzystencji. Coś tam jeszcze piszesz, coś zarabiasz, jesteś sławny, masz za sobą sporo poczytnych książek, sztuk teatralnych które powinny coś przynosić, czasem urządzają ci odczyt, jubileusz, no i zwiążesz jakoś koniec z końcem”.

Przybyszewski końca z końcem nie wiązał. Należało się o to zatroszczyć, niewątpliwie. Wyjątkowym ludziom należą się wyjątkowe względy.

Ale teraz, dla równowagi, jedna anegdota. Pewnej nocy w Monachium Przybysz wraca z kawiarni do domu. Naraz słyszy w oddali śpiew; poznaje polski język, swojacką melodię. To robotnik polski szedł ulicą i śpiewał sobie coś z kujawska. Przybyszewski dogania robotnika, wdaje się z nim w rozmowę, ściska go i w rozczuleniu daje mu swój zegarek i wszystkie pieniądze, jakie miał przy duszy, jakieś osiemdziesiąt marek.

Chętnie wierzę w to zdarzenie, bo widziałem w życiu Przybyszewskiego wiele podobnych. To bardzo pięknie. Ale niech mi kto powie, jak sprawić, aby człowiek z takim usposobieniem nie był w kłopotach? Musiałby chyba minister skarbu chodzić za nim i wkładać mu do kieszeni nowe zegarki i nowe banknoty.

Bo ten satanista miał serce miękkie jak wosk i czułe na biedę ludzką. Stróż czy robotnik mógł zeń wydobyć wszystko, na chorobę żony, na opłatę szkolną dla dziecka. Nie podzielić się, nie oddać, kiedy miał, było dla Przybyszewskiego niemożliwością. Pod tym względem miał zawsze ekonomię czysto ewangeliczną: brać od tego, co ma, dawać temu, co nie ma, i nie troszczyć się o jutro. To wszystko nie sprzyjało „wiązaniu końca z końcem”.

Dodajmy jeszcze — można o tym mówić szczerze, bo i on sam pisał o tym w swoich *Wspomnieniach* po prostu — jego nałóg, alkoholizm. O ile ten nałóg bardzo sprzyja miękkości serca, o tyle nie ułatwia gospodarki.

Było nawet coś więcej. Przybyszewski — przynajmniej taki, jakim go znałem za jego najbujniejszych czasów — wręcz nienawidził pieniędzy. Pisał gdzieś, że są „wrogie twórczości”. Tępił je też z obrzydzeniem, jak śmiertelnego wroga. Po pijanemu wtykał nieraz banknoty obcemu włóczędze na ulicy, rozdawał, rozrzucał, przechulał je do ostatniego i następnego rana znajdował się wobec pytania: skąd brać?

Zapewne w ostatnich swoich latach Przybyszewski chory, znękany, musiał być inny. Ale i tak nie wierzę w jego talenty gospodarcze. Nie jest więc może państwo tak winne, jakby się zdawało.

A społeczeństwo? Chcę mówić tylko o tym, na co patrzałem z bliska.

Kiedy Przybyszewski przybył pierwszy raz do kraju do Krakowa z Niemiec, gdzie, jak sam opowiadał, cierpiał ciężką nędzę, nie miał w kieszeni, można rzec, ani grosza. Przyjechał, sprowadził z drugiego końca Europy żonę z dwojgiem dzieci; znaleziono mu mieszkanko, mile cztery pokoje w wybornym punkcie, na parterze, z werandą i z ogródkiem. Jeden entuzjasta mu je umeblował, drugi ofiarował fortepian, malarze pokryli ściany dziełami sztuki. Miał dwie służące. Codziennie paru łazików stanowiących dwór Przybyszewskiego żywiło się przy jego stole, codziennie w domu czy w kawiarni trunki płynął obficie. Lato spędził z rodziną w Zakopanem. Sądzę, że w pierwszym roku pobytu w Krakowie Przybyszewski wydał sumę równającą się co najmniej pensji dyrektora w poważnym banku. Z sumy tej zarobił nieborak maleńką cząstkę; nie było sposobu! Kto pokrył resztę? Kraków, ten najbiedniejszy na świecie, przysłowiowo goły Kraków. Rzucając przeto gromy, łatwo trafić gromem w płot. Nie było może przykładu takiej ofiarności „społeczeństwa” wobec artysty co wobec Przybyszewskiego. Święcie na to zasłużył, bo dawał sto razy więcej, niż brał, ale trzeba rzeczy postawić na właściwym miejscu. Gdyby móc uchwycić pozycję najnieuchwytniejszą pod słońcem, „obrót” Przybyszewskiego, okazałoby się, że przy całej jego biedzie przechodziły przez jego ręce znaczne sumy.

A oto jak. Mały przykład wśród mnóstwa. Jednym z pierwszych, którzy go w Krakowie powitali, był niejaki Zdzisław Gabryelski. Student filozofii niemieckich uniwersytetów, meloman, ekscentryk, trochę buffon, ale i entuzjasta, był on właścicielem pierwszorzędnego składu fortepianów. (Trudno, nawiasem mówiąc, wymarzyć bardziej niesamowitą i fantastyczną ramę dla „orgii”, niż ogromne sale, w których szczerzą słoniowe zęby szeregi czarnych fortepianów. Co tam za noce były w tym narożnym pałacu na rynku w Krzysztoforach!) Ów Gabryelski, mimo że uchodził za skąpego, bywał opatrnością cyganerii w drobnych kłopotach. Od dłuższego czasu toczyły się z nim pertraktacje o znaczniejszą kwotę niezbędną dla uzdrowienia schorzałych finansów „Stacha”. Ale Gabryelski, człowiek dość nieobliczalny, nerwowiec (skończył później samobójstwem) przedzierzgnął się nagle w zimnego handlowca. Tak znaczną sumę, powiadał (chodziło coś o sześćset koron), musi zaczerpnąć z kasy swego przedsiębiorstwa; może ją tedy dać jedynie na bardzo pewny Wechsel. Mimo iż podrażniony, Przybysz zgodził się na ten warunek. Co to był za Wechsel! Żyrowały go wszystkie łaziki krakowskie, cała cyganeria; było na nim ze dwadzieścia nazwisk. Stach wręczył Wechsel, zainkasował pieniądze, po czym zaczął się bawić z Gabryelskim jak kot z myszą, rozwijając całą złośliwość bohaterów własnych powieści. Zaczął go komplementować, że on, p. Zdzisław Gabryelski, ten wielki pan, ten subtelny człowiek, zrobił sobie doskonały żart z owym Wechselm; bawi się tym, iż ktoś mógł pomyśleć, że on jest taka świnia, aby od przyjaciela żądać Wechsła, a teraz ten Wechsel pańskim gestem podrze, etc. W istocie doprowadził do tego, że Gabryelski, smagany szyderstwem, przypiekany ironią, mieniając się na twarzy, wyjął Wechsel i podarł. Wtedy Przybysz, rozczulony, uściskał go i zaprosił całą kompanię do Turlińskiego. Kazał dać ze dwadzieścia flaszek szampana, zapłacił z góry (oczywiście z tych krwawo zdobytych pieniędzy), kazał wszystkie otworzyć, zerkając na bladego ze złości Gabryelskiego i bawiąc się sadystycznie jego męką.

Zaledwie kompania umoczyła usta w szampanie. Przybysz dał znak do „zmiany lokalu”, zostawiając pełne flaszki. Umyślnie; była to wyrafinowana zemsta za ów Wechsel. I wszyscy wyszli „do innego Żyda”, gdzie oczywiście dokonana się egzekucja na pozostałym kapitale. Tego już biedny Gabryelski nie mógł przemieścić; skinał na najgorliwszego moczymordę i zostali we dwóch, wysuszając otwarte butelki do rana, iżby się całkiem



nie zmarnowały. Rano znaleziono ich leżących jak trupy na podłodze, obok kilku jeszcze pełnych flaszek. A Przybysz, opowiadając o tym, zanosił się od śmiechu.

Takimi epizodami naszpikowane było jego codzienne życie w owej bohaterskiej epoce. Świat, życie, były dla niego to wściekłym scherzem, to patetyczną symfonią, ale nigdy rzeczywistością. Jeżeli Przybyszewski nie rozwiązał problemu jak „żyć z pióra”, to przede wszystkim dlatego, że nigdy go sobie naprawdę nie stawiał. Przez cały np. ów okres krakowski, budżet jego oparty był na tzw. „podatku narodowym” (wyrażenie jego własne), który wszyscy bliscy chętnie składali. Kiedy nie stało chwilowo podatku narodowego, Przybysz wychodził na miasto, zupełnie jak myśliwiec na łowy. I zawsze przynosił jakiś banknot, czasem większy, czasem mniejszy, ot jak z polowania. A niezależnie od tego przez dwa lata znajdowały się w Krakowie pieniądze na podtrzymywanie deficytowego najzupełniej czasopisma „Życie”. Oczywiście to się musiało wyczerpać. Wówczas Przybysz sprzedał za parę groszy meble i obrazy i przeniósł się do Lwowa, potem do Warszawy...

Dlatego, kiedy w jednym z artykułów pamiątkowego numeru Przybyszewskiego czytam te słowa: „Dla niego sztuka nie była pomostem do sławy, bo jej nie zaznał (!), nie środkiem zdobycia pieniędzy, bo o to, aby ich nie miał, postarała się wdzięczna ojczyzna<sup>17</sup>”... mimo woli zadaję sobie pytanie, dlaczego my się musimy ciągle tak załgiwać? Czemu musi być to ciągle biadkanie i jajczenie? Czemu musimy stosować szablony do rzeczy najmniej szablonowych w świecie?

Jakież będzie najogólniejszy wniosek? Ten, że są natury, organizacje, przy których niezmiernie trudno jest zapobiec, aby artysta nie był w biedzie. O ile mogą być wielcy poeci skrupulatni i gospodarni, o tyle zdarzają się inni, dla których prawa budżetu nie istnieją, dziurawe worki, których nie ma sposobu napęłnić. Takich by trzeba chyba brać pod kuratelę; a niech kto spróbuje: to są ludzie zazwyczaj najdrażliwsi, najbardziej arbitralni. Niedługo poeta żył na dworze jakiegoś księcia, wolny od trosk materialnych. Dziś egzystencja artysty bywa problemem bez wyjścia. Verlaine wyciągał po kilka franków od księgarzy, a przygodne kochanki wyciągały z niego po parę tysięcy. Jak, skąd? Licho to wie. Żył w szpitalu, umarł w nędzy, w bogatym Paryżu, otoczony zgrają snobów i wielbicieli.

Jaka więc rada? Byłaby może jedna: stworzyć coś w rodzaju dawnego greckiego prytaneum, gdzie zasłużeni ludzie mogliby się żywić na koszt państwa za okazaniem legitymacji. Traktiernia w Hotelu Europejskim ze swymi wygodnymi fotelami dość by się na ten cel nadawała.

## „NONSZALANCKI PAON”

Z okazji wspomnień o Przybyszewskim pisano teraz sporo o krakowskim *Paonie*. Historia ta pojawia się zresztą w prasie z racji różnych wspominków dość często; przy czym zwykle opowiadają o wielkim płótnie zdobiącym ściany kawiarni Turlieńskiego, cytują napisy z tego płótna, czasem reprodukuje się je, wszystko pod firmą *Paonu*. Otóż, dość ciekawym jest, że płótno to nie tylko nigdy nie znajdowało się w *Paonie*, ale że, przeciwnie, *Paon* był poniekąd opozycją przeciw temu płótnu, ucieczką. Było tak. Kiedy w roku 1897 Turlieński założył kawiarnię, była ona, już przez swoje położenie (naprzeciwko teatru), predestynowana na kawiarnię artystyczną. Może na wzór blejtramu, który Solski rozpiął w swojej garderobie i który pokryto malowidłami i podpisami, Turlieński kazał sporządzić wielkie płótno na całą ścianę jednej z sal kawiarni. Pomysł — tak nowy w Krakowie — spodobał się, posypały się napisy; pierwszy zjawił się na płótnie Lucjan Rydel, co dało powód do równoczesnych docinków w znanych wierszykach Wyspiańskiego i Kazimierza Tetmajera, skreślonych tuż obok<sup>18</sup>. W tym samym niemal czasie zjechał do Krakowa

<sup>17</sup>Dla niego sztuka nie była... — „Wiadomości Literackie”, nr 226. [przypis autorski]

<sup>18</sup>(...) pierwszy zjawil się na płótnie Lucjan Rydel, co dało powód do równoczesnych docinków w znanych wierszykach Wyspiańskiego i Kazimierza Tetmajera, skreślonych tuż obok — K. Tetmajer napisał uszczypliwie: „Zasłynie to przysłowie od Wisły po Kutno./ Spieszył się z swą osobą jak Rydel na płótno”. Wyspiański zaś, w odpowiedzi na triolet Rydla: „Niechże ciebie rymem wślawię,/ knajpno, gdzie przy czarnej kawie/ drogi czas na niczym trawię”, nakreślił czterowiersz: „Szkoła, panie Rydel, szkoda,/ drogi czas na niczym trawić,/ jest czas ponoś się poprawić,/ boś jest sława jeszcze młoda”; na co znów Rydel replikował: „Ty mnie nie wzywaj, Stasiu, do poprawy,/ i nie potępiaj surowym wyrokiem,/ ja czas mój topię w filizance kawy,/ a ty w sodowej ze sokiem”. [przypis autorski]

Przybyszewski, życie artystyczne ożywiło się, kawiarnia Turlińskiego stała się obozem cyganerii.

Plótno to miało jedną ujemną stronę. Było publiczne: kto chciał, ten je „zdobił”, bez ograniczenia. Dostyc naturalnym obrotem rzeczy, im większy pacykarz, tym chętniej pchał się na nie, tym więcej zajmował miejsca. Niebawem, upstrzone malowidłami bez harmonii i smaku, napisami często głupawymi, wielkie płótno stało się czymś dość szpetnym. Wściekało to malarza Jana Stanisławskiego, który miał w wysokim stopniu poczucie hierarchii i ekskluzywizmu w sztuce; wymyślał na to plótno, i on to najbardziej propagował potrzebę odseparowania się, tak samo jak wprzód odseparował się towarzystwem *Sztuka* od powszechności krakowskiej „Zachęty”.

Były i inne przyczyny. Nieprzyjemnie było towarzyskie życie „cyganerii”, niewinne, ale często wymagające pewnej dyskrecji, wystawiać na widok gawiedzi. Przybyszewski nie mógł żyć bez fortepianu, bodaj bez pianina; Stanisławski bez stolika z ulubionym wintem... Wszystko to sprawiło, że dojrzewała myśl stworzenia schroniska niedostępnego dla obcych, gdzie by można malować, muzykować, pić, śpiewać i dysputować do woli.

Po naradach z „Turlem”, uzyskano na ten cel małą oddzielną salkę. Chodziło o nazwę, o godło. Przybyszewski zawsze miał jakieś słowa, które go na przeciąg kilku dni lub dłużej upajały swoim dźwiękiem komicznym lub mistycznym; w owym czasie lubił powtarzać z wiersza Maeterlincka słowa: „*les paons blancs, les paons nonchalants*”; on też nazwał ten pokoiik „pod nonszalanckim paonem”, z czego w skróceniu zrobił się „Paon”.

Wprowadzono się z zapalem. Nie było tam żadnego plótna, tylko obfitość papieru rysunkowego i kredki. Ściany pokryły się rychło pastelami, akwarelami przyszpilanymi na ścianach. Świetny paw, nie pamiętam czyjej roboty, zablysnął nad drzwiami. W jaki sposób w tej maleńkiej salce bez okna znalazło się miejsce i na pianino, i na stół jadalny, i na stolik do kart, i na przybory malarskie, tego nie podejmuję się wytłumaczyć, ale wszystko to było. Życie wrzało we wszystkich formach, zwłaszcza z początku; tamto wielkie plótno było zdane ludowi.

„Paon” był bardzo zamknięty. Nie jakimś regulaminem, ale faktem despotycznej władzy, jaką wykonywał Stanisławski. Ten olbrzym, ten brzuchacz pąsowiejący w momentach furii, budził taki postrach, że nikt, kto by nie miał jego milczącej aprobaty, nie byłby się tam pojawił. Ale nie były to zgoła hierarchie wyłącznie artystyczne; te nie byłyby do utrzymania przy usposobieniu Stacha Przybyszewskiego. Do gromady „Przybysza” nie należał prawie nikt z uznanych literatów; ci rychło odsunęli się od niego, odstraszeni jego ekskluzywizmem, jego napięciem desperacko-ekstатыcznym, jego dotkliwą ironią. Łatwiej było wytrzymać tę atmosferę ludziom, niezaangażowanym swymi ambicjami literackimi i których po prostu łączył ze „Stachem” kult dla maga, sympatia do człowieka, pewne nieokreślone powinowactwo.

Aby kogoś dopuścić do siebie, Przybyszewski nie żądał żadnych legitymacji artystycznych. To go niewiele obchodziło. On potrzebował mieć swoją zgrają „dzieci szatana”, nad którymi panował jak ów Gordon z jego powieści, mniej groźnie zresztą dla społeczeństwa. W każdym widział tragedię; czasem ją w nim stwarzał, częściej wyczuwał, stylizował, wyolbrzymiał. „Drzazga w sercu”, to było jedno z jego ulubionych wówczas wyrażeń; kto miał tę „drzazgę” (a kto tam jakiejś nie ma, zwłaszcza po dziesiątym kieliszku?), ten zyskiwał prawo obywatelstwa w jego gminie. Było to coś jak ów *bal des victimes* za Terroru, gdzie na taneczną salę miał prawo wstępu tylko ten, kto się wylegitymował śmiercią na gilotynie co najmniej brata. Przybyszewski potrzebował atmosfery desperacji, owej desperacji, która była dla niego w mazurkach Szopena i bez której nie było dla niego sztuki. Stylizował też w tym duchu każdego ze swojej zgrai, aby mu nadać niejako patenty duchowego szlachectwa. Kiedy już nie mógł znaleźć w przygodnym kompanie czegoś bardziej interesującego, wówczas kiwał głową i mówił szeptem: „Taka ci go żre przepotężna, prapolska kiła”... Nie zawsze zresztą chybiał.

Wszystko to sprawiło, że „Paon” był oryginalną mieszanką ludzi bardzo wybitnych i zgrai „pętaków”, jak np. niżej podpisany, będący wówczas opieszalym studentem medycyny. Było w „Paonie” coś podobnego jak w klasztorze, gdzie istnieją ojcowie i bracia niżsi. Zarazem sprawiło to, że atmosfera była tam dość ciężka. Za dużo było autorytetu i za dużo komparsów. Zeszły się trzy tak despotyczne indywidualności jak Przybyszewski,

Wyspiański i Stanisławski; dodajmy do tego czwartego tyranka, Tadeusza Pawlikowskiego. Było tam kilka odrębnych światów, niestopionych z sobą. Co do mnie, wolałem atmosferę domu Przybyszewskich przy ulicy Siemiradzkiego. W *Paonie* obierałem zwykle najlepszą cząstkę, szedłem do ogólnej sali na bilard z Dagny Przybyszewską, którą wuczyłem tej gry<sup>19</sup>. Kobieta grająca w bilard to było dosyć, aby zgorszyć ówczesny Kraków, i niemało przyczyniło się do legend o „orgiach” *Paonu*.

Może będę miał sposobność powrócić do tych wspomnień; tutaj chciałem jeszcze przytoczyć pewne wydarzenie, niezmiernie charakterystyczne dla Wyspiańskiego. Bywał on często w *Paonie*, siadywał do późna, zwykle przysłuchiwał się w milczeniu rozmowom, czasem — choć nie pijał na ogół — wypijał duszkiem kilka kieliszków wódki. Było zwykle późno, kiedy brał papier i kredki i zaczynał rysować. Rysował przeważnie portrety obecnych, bez różnicy. Były one może troszeczkę odmienne od innych jego portretów, bardziej idące w kierunku „charakterystycznym”, bliskie karykatury. Portrety te po jakimś czasie zabрал do siebie do domu. W kilka lat potem — *Paon* był już dawno rozbity — Wyspiański wezwał do siebie Konrada Rakowskiego, dziennikarza, bywalca *Paonu*. Przyjął go bardzo urzędownie, niemal surowo i oświadczył co następuje: że mianowicie robił w *Paonie* portrety, w nadziei utrwalenia rysów ludzi wybitnych; widzi jednak po kilku latach (było to, o ile pamiętam, gdzieś w roku 1904), iż została mu w rękach jedynie galeria osób prywatnych, której nie widzi powodu przechowywać. Prosi zatem, aby Rakowski i sam odebrał swój portret, i zawiadomił interesowanych, że mogą się zgłosić po swoje podobizny. Jakoż wszyscy, wpół śmiejąc się, wpół zażenowani, poszli odebrać swoje portrety, i ja w ten sposób doszedłem do mojego, mniej może pohańbiony od innych, jako że w owym czasie byłem w istocie jednostką na wskroś prywatną. Ale trudno w bardziej pański sposób uczynić ludziom wymówkę, że okazali się niegodni jego ołówka! Odbija się w tym owa charakterystyczna cecha Wyspiańskiego: ciągle budzenie, ciągła czujność, ciągle *żądanie* od ludzi, potrzeba wydobywania z nich *najwięcej*, która tak odbija się w listach Wyspiańskiego do przyjaciół. Cudowny człowiek!

## UZUPEŁNIENIE DO ROZDZIAŁU *Przybyszewski*

Artykuł mój pt. *Kłamstwo Przybyszewskiego* wywołał cały szereg odzewów, polemik i dokumentów, niektórych wręcz rewelacyjnych. Nadesłano mi sporo listów Przybyszewskiego. Najznamienniejsze w swoim zestawieniu są dwa listy ogłoszone w „Wiadomościach Literackich” przez Antoniego Wysockiego, w artykule pt. *Prawda Przybyszewskiego*. Przytaczam go w całości:

Prawda Przybyszewskiego

Boy-Żeleński w artykule *Kłamstwo Przybyszewskiego* („Wiadomości Literackie”, nr 247) podjął trud pokazania stosunku Przybyszewskiego do własnych dzieł w świetle uczuciowych przeżyć wielkiego pisarza. Czemu Przybyszewski konsekwentnie zacierał ślady swej przeszłości, czemu twórczość swoją raz po raz opatrywał komentarzem często odbiegającym od prawdy?

Wątpliwości tej kabaly wyjaśniają dwa listy Przybyszewskiego, pisane prawie wyłącznie na ten temat. Listy te — to niby splot nerwów wydartych z tego dziwnego trójkąta, konfliktu rodzinnego między nim, żoną i żoną zmarłą.

A było tak.

W r. 1911 we Lwowie zostałem wybrany prezesem stowarzyszenia p. n. „Koło Dramatyczne”. Zamierzałem urządzić przedstawienie teatralne Koła w Zakopanem. Przebywała tam Gabriela Zapolska i na moją prośbę przyrzekła zająć się próbami.

Wybrałem dramat Dagny Przybyszewskiej *Krucze gniazdo*. Dramat ten, warty jak pajęczyna, ale łśni iskrami uczuć, uczuć niedomówionych, nie-

<sup>19</sup>szedłem do ogólnej sali na bilard z Dagny Przybyszewską — ten bilard Turlińskiego odnajdziemy w *Powrocie*: „Ukazywała mu się wtedy w ciemnym stęchłym labiryncie jego pamięci jakaś wysoka, pyszna pani, z papierosem w ustach, z kijem bilardowym w ręku, kuszącymi wyblakłymi oczyma...”. [przypis autorski]

śmiały. Nastrojowy. Tajemniczy. Tajemniczość i nastrojowość były wtedy bardzo w modzie.

Zapolska ucieszyła się z wyboru.

Sympatyzowała z Dagny. Nazwała ją „kobietą z morskimi oczami”. Zaczęła chesać się jak ona, oryginalnie, w „nioby”.

— Jaka ona powiewna! — mówiła. — Można by się nią owinąć jak syreną... Czemu taka smutna? Jak męczennica...

W kilka lat później interesowały ją okoliczności towarzyszące śmierci Dagny. Nie poprzestała też na reżyserii *Kruczego gniazda*, ale chciała przedstawieniu nadać cechy uroczystości, hołdu, przez wypowiedzenie odpowiedniego odczytu. W tym celu napisała do Przybyszewskiego do Monachium z prośbą o dostarczenie szczegółów z życia zmarłej. Stała się rzecz niespodziewana.

W odpowiedzi otrzymała taki list:

Szanowna Pani

Dziś wysłałem pod adresem Koła Dramatycznego lwowskiego w Zakopanem na ręce Szanownej Pani następujący telegram:

„Stanowczo zabraniam grania *Kruczego gniazda* i urządzania jakiegokolwiek wieczorku, w którym by było związane z imieniem tej pani, która nazwisko to hańbiła”.

Gdy otrzymał list Pani, drżałem z wzburzenia. Wyglądało to na krwawą ironię, bym ja dawał pozwolenie i niejako uczestniczył w wieczorku urządzanym na cześć tej pani, która mi ustawicznie krzywdy wyrządzała.

Nazwała ją Pani *grande amoureuse* — strasznie się Pani pomyliła. To nie była ta odważna *amoureuse*, która całemu światu rękawicę pod nogi rzuca, ale ta mała dusza, która się wszystkimi siłami swego męża czepia i puścić go nie chce, by zachować pozory i mieć parawan, za którym razem z wszystkimi kochankami wygodnie ukryć się można.

O nie! Szanowna Pani — tego za wiele, by się na cześć takiej pani wieczorki z moją wiedzą i przyzwoleniem odbywały.

Skąd po tym wszystkim to mniemanie Pani, że byłem jej najbliższym?

Między nami nie było najmniejszego kontaktu duchowego. To, co było dla niej we mnie zrozumiałe — to tylko to, co było na samym wierzchu: plewy, które z mego mózgu zgarniałem. W całym moim tworze nie ma jej ani śladu, ani cienia jednego, jest tylko jedna tęsknota, a Pani chyba wie, że się przy boku ukochanego człowieka nie tęskni, bo wtedy tęsknota przez miłość wypełniona zostaje.

I niech się Pani nie powołuje na moją przedmowę jako wstęp do jakiegoś jej dramaciku. Pani jest zbyt inteligentna, by nie widzieć w niej nic innego prócz biednego i naiwnego kłamstwa, którym chciałem bronić honoru własnego nazwiska i obronić dzieci od wstydu, że taką matkę miały.

Ile mnie to kosztowało, by wyrwać z siebie czcze i kłamliwe frazesy, jak „piękna dusza” — he, he — „piękny kwiat” itd., ten tylko zrozumie, który się znalazł w moim położeniu i rozpaczonym kłamstwem bronił czci swego i dzieci swych nazwiska.

Utwory jej uważałem za wypływ ambicyjki i próżności, by być też „drukowaną”, i nadmieniam przy tym, że nie ja je tłumaczyłem, ale ś.p. Stanisław Lack<sup>20</sup>.

Wystawienie dramatu *Krucze gniazdo* oraz urządzenie wieczorku na jej cześć uważałbym za policzek mnie wymierzony, a przede wszystkim za ciężką zniewagę mojego stosunku z moją obecną żoną.

Za cóż Wy mnie macie, za co uważacie? Czy wam się zdaje, że ja dla zabawki potargałem najsilniejsze węzły, jakie mężczyznę z mężczyzną wiążą, i przyjaźń?

<sup>20</sup>nie ja je tłumaczyłem, ale ś.p. Stanisław Lack — zbiór utworów Dagny Przybyszewskiej *Kiedy słońce zachodzi* opatrzony jest sygnaturą: „Przełożył z norweskiego i wydał Stanisław Przybyszewski”. [przypis autorski]

Przecież musiało być we mnie coś silniejszego nad wszystkie inne uczucia, prawa i obowiązki.

Czyżby i Pani miała należeć do tych ciasnych i zakamieniałych ludzi, którzy nas potępiają i związku naszego nie uznają dlatego, żeśmy się odważyli prawo społeczne przekroczyć, bo miłość nasza była silniejsza od niego?

Zapomniała Pani, że ja mam żonę, połączoną ze mną w najgłębszej miłości, żonę, która razem ze mną myśli i pracuje, i ciężkie moje losy dzieli?

Nie myślałem, żeby właśnie Pani mogła mnie tak dotkliwie i boleśnie urazić w moich najgłębszych uczuciach.

Ale dosyć tego.

Jako spadkobierca zmarłej Dagny i pruski poddany, a więc ochroniony ustawami literackiej konwencji, pozwolenia na wystawienie *Kruczego gniazda* nie daję i grać go nie pozwalam.

Stanowczo zabraniam wieczorku na cześć zmarłej, bo przysługuje mi prawo obrony mego nazwiska.

Nie będąc jednak pewien, czy lwowskie Koło Dramatyczne do mego wyraźnego zakazu się zastosuje, oddałem całą tę sprawę memu adwokatowi, by moich praw strzegł i pilnie na to baczył, by się coś w tym względzie bez mojej woli i zezwolenia w Galicji nie stało, w danym razie przedstawienie zerwę, a towarzystwo poniesie przez to ciężkie straty i będzie skazane na wysoką karę konwencjonalną.

Upraszam Szanowną Panią o telegraficzną odpowiedź, czy mimo wszystko trwa Pani w zamiarze grać *Krucze gniazdo* i odbyć wieczorek lub nie? Jest to dla mnie ważne, bo jeżeli otrzymam odpowiedź, że nie, będę miał czas cofnąć kroki, które już dziś rano u mego adwokata poczyniłem.

*Z głębokim szacunkiem*

*Stanisław Przybyszewski*

PS

Nie rozumiem tylko, jak Szanowna Pani — poza Jej twórczością tak bystry i wytrawny krytyk — chciała wystawiać tak słaby plód jak *Krucze gniazdo*, najlichszy epigonizm dramatów Gunara Heiberga?

*Monachium, Ansbacherstr. 3, 19 czerwca 1911.*

*Godzinę później*

Już zapieczętowałem list, gdy nagle zaczął się zastanawiać nad szczególnym pietyzmem, jakim Pani Dagny otacza, a stanowiskiem, jakie Dagny od pierwszej chwili wobec Pani zajęła. Długo się wahałem napisać to Pani, ale nierównomierność zobopólnego stosunku wydała mi się tak groteskowo dziwna, że jednak ten dodatkowy list piszę.

Dagny wyśmiewała i krytykowała wszystkie kobiety w Krakowie, ale nie było żadnej, na którą by się tak zawzięła jak właśnie na Panią.

Przypomina sobie Pani, gdy krótko przed wystawieniem *Dla szczęścia* Pani mnie zaprosiła do dorożki — była słota, a ja szedłem do redakcji. Prosiła mnie Pani o rolę Olgi, ja byłbym ją chętnie dał, bo wiedziałem, że Pani w Paryżu z wielkim powodzeniem Ibsenowskie role grała — Dagny intrygą swoją zrobiła to, że Pani jej nie otrzymała, a zamiast Pani zwołano Siennicką<sup>21</sup>.

---

<sup>21</sup>*Dagny intrygą swoją zrobiła to, że (...) zamiast Pani zwołano Siennicką* — zauważyć tu należy, że Natalia Siennicka była w owych czasach najświetniejszą może polską aktorką, w pełni młodości, urody i talentu i że gdy chodziło o obsadę tej roli, nikt życzliwy Przybyszewskiemu nie mógł się wahać między Siennicką a Zapolską. I sam Przybyszewski wiedział o tym doskonale. [przypis autorski]



I mógłbym tysiące innych szczegółów przytoczyć — ale właściwie po co? Dla niej Pani była pośmiewiskiem, a Pani jej ołtarze stawia, i to nie wydaje się poniżeniem siebie samej.

I to mnie w tym wszystkim gniewa.

I tylko jedynie dlatego to piszę, bo Pani wie aż nadto dobrze, że mam inną drogę, by nie pozwolić na wystawienie *Kruczego gniazda* i zaniechanie wieczorku.

W Krakowie chciałem nawiązać bliższe stosunki towarzyskie z Szanowną Panią — nie mogłem, bo miłsze jej było towarzystwo holdowników, smarkaczów i darmozjadów.

A szkoda!

Może by Pani teraz całkiem inaczej na wszystko patrzyła i wszystko by się Pani w odmiennym nieco świetle przedstawiło.

Tyle jeszcze słów musiałem dorzucić do już i tak zbyt obszernego listu.

S. P.

Pani Zapolska tak zdenerwowała się tą aferą, że nie miała sił powiadomić mnie, ale z jej polecenia uczynił to p. Edward Osmólski, utalentowany aktor-amator Koła. Przesyłając list Przybyszewskiego, pisał: „Kochany (...) Pani Zapolska radzi Ci wysłać imieniem Koła list następującej treści: »Nie znając zwrotu w uczuciach Pana względem Zmarłej, mieliśmy zamiar wystawić sztukę, jednak grać nie będziemy, szanując prawa pruskiego poddanego«.”.

Nie.

Nie napisałem tak.

Napisałem per „Mistrzu” i z należną jego geniuszowi, randze i zasługom rewerencją, ale z gorzkim przytykiem, że nas, polskie stowarzyszenie artystyczne, straszy pruską policją.

Przybyszewski odpisał.

List ten, jak i poprzedni, nadane były jako pospieszny, ekspres.

*Hotel und Café-Restaurant. — Münchner Hof „Apollo-Theater”*

B. Petrolt.

Drogi Panie.

Gdy list Pański przeczytał, miałem to wrażenie, że mam z dobrym i rozumnym człowiekiem do czynienia.

Dlatego jedynie powierzam Panu krwawą tajemnicę mego zakazu grania *Kruczego gniazda* mej zmarłej żony.

Obecna moja żona jest wprost obłąkana, gdy chodzi o zmarłą. Zdaje jej się, że nikt nie uważa jej za moją żonę, że tylko tamta istnieje i że wciąż tamtą tylko kocham.

To ją doprowadziło do tego stanu, który już z obłądem graniczy, i aby ją z tego ratować, piszę listy tego rodzaju, jak do pani Zapolskiej, wysyłam zakazy i na każdym kroku gotuję sobie tysiące nieporozumień i przykrości.

Listy i zakazy nie ja wysyłam, tylko człowiek, który rozpacznie od kilku lat czuwa nad ciężko chorą kobietą.

Z strasznym trudem wyrzucałem sobie całą prawdę z serca, ale mam zaufanie do Pana — inaczej tego wszystkiego nie byłbym zeznał.

Gdzieżbym ja się na pruskie prawo powoływał, gdyby nie rozpaczny krzyk mej żony: „A jednak będą grali!”.

Ciężkimi ofiarami zdobywam sobie spokój do pracy i raczcie to uszanować. Zaklinam Was, nie grajcie! Inaczej nie powstrzymam dalszego i, Bóg wie, bardzo tragicznego rozwoju choroby mej żony.

Ja całym sercem Wasz, ja bym wszystko dla Was zrobił — jak Was tak gorąco ukochałem — dlategoście we mnie na chwilę wątpili i nic rozumieli,

że jeżeli cośkolwiek takiego pisałem, co w moim liście do pani Zapolskiej stało, to byłem zmuszony pisać, by dwa życia od katastrofy chronić?

Przepraszam za nieskładność listu, ale jestem cały roztrzęsiony.

Powiedziałem Panu to, czego nikomu nie mówię — kiedyś — niezadługo, obszerniej do Pana napiszę. Tylko zaklinam Was, nie grajcie *Kruczego gniazda*.

Z całego serca i duszy Wam oddany

*Stanisław Przybyszewski.*

Takie są listy i taka prawda Przybyszewskiego.

Pytanie, czy dyskrecja listowa obowiązuje adresata po wielu latach, teraz, gdy wszystkie osoby tego tragicznego tercetu, Dagny, on i Jadwiga, nie żyją, a chodzi o cześć kobiety niewinnej? Aby samemu nie decydować, oddałem tę kwestię do zaopiniowania kilku moim znajomym, literatom i prawnikom.

Tymczasem co się okazało?

Listów znieślawiających było więcej, a następnie w skrytości, strachu, pod dyskrecją, odwoływanie oszczerstw, z tym, że poprzednia oficjalna epistoła pisana była pod przymusem. Toteż — gdyby było rzeczą do pomyślenia, że Duch jego jest między nami i czuje — to pozostaje wniosek, że tak jak za życia starał się wyrządną krzywdę naprawić, tak samo dziś pragnąłby i byłby wdzięczny za ogłoszenie tego odwołania, za przywrócenie czci kobiecie, którą kochał.

*Antoni Wysocki.*

---

W związku z artykułem A. Wysockiego napisał do redakcji „Wiadomości Literackich” p. W. Buchner co następuje:

Do artykułu p. Antoniego Wysockiego *Prawda Przybyszewskiego* pragnę dorzucić słów parę.

Stanisław Przybyszewski w pewnym momencie nie był przeciwny wystawieniu na scenie prac dramatycznych zmarłej swej żony Dagny, czego dowodem niech służą dwa dokumenty, których oryginały znajdują się u mnie:

Sprzedalem dyrekcji Teatru Wodewil w Warszawie na wyłączną własność sztukę 3-aktową ś.p. żony mojej, Dagny Przybyszewskiej, p.t. *Krucze gniazdo* i nie wolno nikomu, bez pozwolenia rzeczonyj dyrekcji, sztuki tej wystawiać w Warszawie lub na prowincji. Należność za powyższą sprzedaż otrzymałem i z odbioru niniejszym kwituję.

*Warszawa, dn. 18 marca 1902 r.*

*Stanisław Przybyszewski.*

Wszystkie dramaty mojej żony, zmarłej Dagny Przybyszewskiej, oddałem p. Arturowi Zawadzkiemu, dyrektorowi Teatru Wodewil, na wyłączną własność i jemu jedynie daję pozwolenie na granie tych dramatów na jakiegokolwiek bądź scenie, rosyjskiej czy polskiej.

*Warszawa, dn. 19 marca 1902 r.*

*Stanisław Przybyszewski.*

Dokument pierwszy jest napisany ręką obcą i podpisany przez Stanisława Przybyszewskiego, dokument drugi jest napisany w całości przez niego.

Poprzestaję na podaniu do wiadomości publicznej powyższych dwóch, że je tak nazwę, zobowiązań Przybyszewskiego, wnioski zaś z nich niechaj wysnują ci, którzy zajmują się rozbiorem życia zmarłego Mistrza.

---

Po moim artykule *Klamstwo Przybyszewskiego* otrzymałem od znakomitego uczonego, prof. Michała Siedleckiego, następujący list:

Kraków, 25 września 1928

Drogi Panie Tadeuszu.

Proszę mi wybaczyć ten nagłówek listu; nie mogę użyć innego w chwili, kiedy w myśli staje mi tyle lat znajomości, rozpoczętej niemal pół wieku temu. Ale też powodem głównym, dlaczego list ten piszę z całą serdecznością i głębokim uczuciem, jest to, że przeczytałem właśnie Pańskie krótkie, a tak bardzo prawdziwe studium o pani Dagny Przybyszewskiej, zamieszczone w „Wiadomościach Literackich”.

Doprawdy, drogi Panie Tadeuszu, zrobił Pan dobry i piękny uczynek, broniąc tej ślicznej, tak bardzo świetlanej istoty, o której formułowano sądy niesłuszne, często krzywdzące, a niesłuchanie płytkie i powierzchowne. Bardzo wiele Pańskich uwag o stosunku p. Dagny do biednego „Stacha”, a także i o stosunku jego dzieł do jego życia — jest jak gdyby wyrwanych z moich własnych myśli, których nigdy zresztą nie głosiłem, choć nieraz mnie dręczyły.

Znałem doskonale p. Dagny w czasie, kiedy z Przybyszewskim bardzo się zbliżyłem podczas jego pobytu w Paryżu. Przyjechali oni wówczas z Hiszpanii, jak się to mówiło — „od Lutosławskiego”. „Stach” był wówczas naprawdę poetą, w tym najświetniejszym okresie, w którym na najwyższe granice ducha spozierał. Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości że prowadziła go do tych wyżyn p. Dagny, istota o tak bystrym i przenikliwym umyśle, o tak prostym, a tak czułym i wrażliwym sercu, jak mogą być tylko ci, którzy urodzili się na to, by odczuć i zrozumieć pełnię uczuć ludzkich. Towarzystwo, w którym Przybyszewscy się znaleźli, nie było byle jakie. Pamiętam takie zebranie, które odbyło się w pracowni u mego brata. Franciszka, na którym był Reymont ze swą zwichrzoną czupryną, jego kompanion z owych czasów Lorentowicz, Miriam-Przesmycki, właśnie zgłębiający odnalezione przez siebie skarby Hoene-Wrońskiego, Munch — długi, czarny Norweg, Hettner — Niemiec, filozof i syn filozofa, a z zawodu malarz i rzeźbiarz zarazem, Ślewiński w sabotach z nieodstępną Fifi, irlandzką terrierką — no i cała gromada innych przepysznych typów ludzkich, z nich zaś wielu dziś dobrze znanych. Ja sam byłem tylko przyczepką w tym świecie, patrząc okiem niemal dziecięcym na jasność, którą oni razem tworzyli.

Nie ma dla mnie wątpliwości, że centrum i źródło cudów myśli, jakimi przerzucano i bawiono się w tym gronie, była p. Dagny.

Jej sąd, jej sformułowanie i ujęcie zagadnień było często objawieniem nawet dla „wygów” takich jak Miriam...

To było lat temu trzydzieści. Tyle czasu minęło, tyle zmian, tyle przeżyć zatarło poezję z czasów *Wigilii*.

Pan, drogi Panie Tadeuszu, teraz wydobył sylwetę p. Dagny taką, jak była. Dobrze Pan zrobił! Piszę te słowa... bo muszę podziękować, bo nie mogłem milczeć...

Serdecznie Pana pozdrawiam, dawny, choć mało znajomy

Michał Siedlecki

Pojawiły się inne głosy, występujące przeciw „profanacji grobów” etc. Na niektóre z nich uważałem za potrzebne odpowiadać. I tak, na artykuł w „Słowie Polskim” umieściłem następującą replikę w „Wiadomościach literackich”:

W związku z artykułem moim *Kłamstwo Przybyszewskiego* pojawił się w dodatku literackim „Słowa Polskiego” felieton *Prawda Boya*, pisany zjadliwie, a niezupełnie orientujący się w tym, o co chodzi. Autor felietonu zarzuca mi bezcelowe wygrzebanie kwestii od dawna „zamkniętej i umarłej”. Otóż autor myli się: kwestia ta jest ciągle żywa, żyje na kartach wielu książek i enuncjacji Przybyszewskiego, które przecież są i będą czytane. Listy samego Przybyszewskiego (do Gabrieli Zapolskiej i do Antoniego Wysokiego), dostatecznie oświetlają nastrój, w jakim enuncjacje te były pisane. Z bolesną szczerością prostował je Przybyszewski o tyle, o ile odnosiło się to do listów prywatnych; czyż nie jest o wiele donioślejszą rzeczą — wręcz wobec pamięci samego pisarza — dopełnić tego sprostowania w zakresie jego oświadczeń publicznych, wyjaśniając zarazem ich pobudki? Na pozór razić może to, że porusza się — wbrew przyjętym zwyczajom — stosunki rodzinne tak rychło po jego śmierci; ależ tutaj zachodzi splot okoliczności zupełnie wyjątkowy! Te sprawy, wiadome zresztą wielu osobom stojącym bliżej, musiały być wyświetlone zaraz albo nie byłyby wyświetlone nigdy. Jest jeszcze jedna okoliczność: nikt z osób tego dramatu nie żyje, prócz — dzieci Przybyszewskiego, które mają prawo wiedzieć, czemu ich ojciec przez szereg lat dementował owo piękne *epitafium* zaadresowane do nich, a poświęcone pamięci ich matki. Przytoczony list p. Michała Siedleckiego dostatecznie objaśni może, jak odnoszą się do mego artykułu ludzie świadomi rzeczy, żywiący równie serdeczny kult dla Przybyszewskiego, jak dobrą pamięć o Dagny. Takich świadectw miałem wiele; toteż na wszystkie osobiste wycieczki, jakimi autor artykułik swój naszpikował, mogę jedynie wzruszyć ramionami. A jako ostatni dowód, jak zbyteczne jest branie w obronę przede mną wielkiego pisarza oraz mieszanie się z małymi dokuczliwościami w sprawy, których się nie zna, przytoczę jeszcze ten list Przybyszewskiego pisany do mnie w r. 1922, kiedy po jego apelu do wydawców przesłałem mu trochę książek dla gimnazjum gdańskiego:

25 kwietnia 1922

Niezmiernie mi drogi i sercu najbliższy Tadeuszu.

Ogromną radość sprawiłeś mi Twoim listem — pierwszym, jaki w ogóle od ciebie odebrałem. Nigdyśmy o tym nie mówili, co nas tak bardzo łączy, — a właśnie „to”, nigdy niewypowiedziane, w najgłębsze milczenie spowite, okazuje się silniejsze nad wszelkie węzły zwykłej przyjaźni, choćby nawet tak serdecznej, jaką żywię dla Jasia Kleczyńskiego.

Bardzo mi drogi ten Twój list, więcej niż „bardzo” — ale milczmy.

Za Twój piękny dar dla *mojego* gimnazjum — niech nikt prócz nas dwóch nawet nie przypuszcza, że ono jest moje — serdecznie Ci dziękuję.

Swoją drogą nie myślałem, gdy tworzyłem *Złote runo*, jak głęboko tkwi we mnie Ruszczyc — zdumiewające to intuicyjne spojrzenie w najciemniejsze zakamarki mej duszy, o których istnieniu wtedy nic jeszcze nie wiedziałem.

Ruszczyc budował szpitale — ja stworzyłem to gimnazjum, ale to drobność — teraz nie spocznię, póki nie stworzę *Ons Huys* — „Nasz Dom” tu w Gdańsku.

Stare serce Ruszczycy bardzo zmęczone, ale dość silne jeszcze, by na wspomnienie o Tobie zabić gorącą miłością.

*Twój Stach Przybyszewski*

*Adres: Gdańsk, Dyrekcja Kolei.*

---

Niebawem pojawiła się cała broszura pióra p. Geszwinda. I na nią też musiałem odpowiedzieć w artykulu p.t. *O „kłamstwo” i prawdę Przybyszewskiego* („Wiadomości Literackie”):

Ukazała się broszura p. Jakuba Geszwinda p.t. *Kłamstwo Przybyszewskiego i kłamstwa o Przybyszewskim*, pisana, jak głosi karta tytułowa, „z powodu artykułu Boya-Żeleńskiego”. Autor broszury spędził ostatnich kilkanaście lat w zażyłości z wielkim pisarzem, posiada, jak pisze, „kilkadziesiąt jego listów-spowiedzi”, co więcej, Przybyszewski powierzył mu *testament literacki*, upoważniając go do opublikowania pewnych tajemnic jego życia oraz do sprostowania pewnych jego wypowiedzi, niezgodnych z prawdą i pisanych niejako pod moralnym przymusem.

I p. Geszwind odsłania nam nowe szczegóły dramatu, jaki przez parę dziesiątków lat rozgrywał się między Przybyszewskim, żoną jego Jadwigą a nieżyjącą Dagny Przybyszewską.

Wychodząc z założenia, że skoro raz pewne sprawy zostały poruszone, trzeba powiedzieć *wszystko*, gdyż omijanie prawdy przyniosłoby krzywdę pamięci pisarza, p. Geszwind omawia tajemnice jego drugiego małżeństwa, które tak zaciążyło na losach i twórczości pisarza. Ponury to obraz. Małżeństwo to, tak gloryfikowane przez pisarza w licznych utworach, przedmowach i wywiadach dziennikarskich, było „nieszczęściem dla obojga”; p. Jadwiga wniosła w życie Przybyszewskiego „dużą, uzasadnioną może, ale wielce szkodliwą nerwowość”; stała się „cenzorem jego twórczości, surowym, ale i niepożądanym, pragnąc go urobić na bardziej lukratywnego autora”, kreśliła mu i zniekształcała bruliony. Przybyszewski „składał na ołtarzu spokoju domowego największe ofiary w ewangelicznej dobroci i łagodności”. Żona nie pozwalała mu widywać się z dziećmi z pierwszego małżeństwa, nawet korespondencja musiała odbywać się ukradkiem. Zazdrość o zmarłą Dagny stała się jej zmorą; ale nie tylko o nią: była zazdrosna o każdą przyjaźń Przybyszewskiego, odsunęła od niego wszystkich wybitnych ludzi. „Człowiek i artysta męczył się w Przybyszewskim w tym związku”, a on sam uważał „te męczarnie za krwawą ofiarę”. Twórczość jego w tej epoce „wegetowała marnie”, a on powoli zamierał. Był okres, że odebrała mu fortepian, który był dla Przybyszewskiego całym życiem. On znosił to wszystko; ożenił się z nią, powodując się „litością dla jej ciężkich przeżyć”; życie późniejsze uważał „za pokutę w poczuciu głębokiej winy wobec Dagny — za ciężką zasłużoną pokutę”. Jadwiga, pragnąc być jego egerią czy muzą, wymuszała na mężu kompromitujące występy, enuncjacje, kreśliła w jego utworach to, w czym widziała choćby cień reminiscencji Dagny. Wreszcie kazała mu *odwołać* jego słowa napisane po śmierci Dagny. I Przybyszewski napisał ową przedmowę do *Krzyku*, którą p. Geszwind nazywa „haniebną”, a o której sam pisarz pisze w liście do niego: „Zhańbiłem duszę *Krzykiem*. To była najkrwawsza ofiara”...

W ten sposób przedstawia p. Geszwind dzieje pisarza, po czym maluje przejmującą scenę, jaka rozegrała się w jego mieszkaniu. „Przybyszewski — opowiada p. Geszwind — znalazł się pewnego wieczoru w moim domu sam i zażądał egzemplarza *Krzyku*. Gdy mu go wręczyłem, w moich oczach przekreślił z pasją całą stronicę wstępu, prosząc, bym po jego śmierci podał to do wiadomości... Na str. 28<sup>22</sup> przekreślił nerwowo od słów: „A dopełniło się to wtedy”... do końca i na marginesie napisał własnoręcznie:

»*Falschspieler*, by odrobinę spokoju zdobyć«.

Str. 29 przekreślił całą i dopisał:

»Biedny *Falschspieler*, by jedną sekundę spokoju sobie w krwawym trudzie wywalczyć«.

---

<sup>22</sup>na str. 28 — paginacja dotyczy się widocznie pierwszego wydania *Krzyku*. Chodziło tu o ustępy pisane na chwałę Jadwigi, a poniżające Dagny. [przypis autorski]

Również następane dwie stronicie przekreślone w całości, na str. 30 dopisane:

»Czasem kłamstwo najwyższą cnotą, by się ratować«.

Na str. zaś 31:

»O, Jezu! Jezu! Jaka krwawa ofiara!«

Potem — pisze p. Geszwind — Przybyszewski fałszował już fakty z widoczną pasją, nieraz jakby na ironię, jakby na złość wszystko przypisując drugiej żonie, i doprowadzał tym samym owe »natrętnie ponawiane« komentarze do absurdu!

A potem już milczał i odbywając milowe spacerunki w pokoju dookoła stołu, cytował często swoim zbolalym głosem dwa — ulubione ongiś przez Dagnę — fragmenty utworów powstałych za ich czasów berlińskich<sup>23</sup>... A gdy kończył, nieraz przystępował do ś.p. Jadwigi i — całował ją w ręce...”

\*

Fakty podane przez p. Geszwinda są niezmiernie interesujące i potwierdzają w całej osnowie artykuł mój *Kłamstwo Przybyszewskiego*, z tą różnicą, że sprawy, które ja uważałem za możliwe jedynie potrącić, p. Geszwind, posiadając dokumenty i upoważnienie, a nawet nakaz pisarza, ukazuje bez osłonek. Czemu więc broszura p. Geszwinda, potwierdzająca wszystko istotne w moim artykule, wymierzona jest przeciw mnie i pisana w tonie napastliwym, a nie zawsze przyzwoitym, trudno mi pojąć. Ponieważ jednak tchnie ona kultem zmarłego pisarza, którego pamięć jest mi nie mniej droga, spróbuję w kilku słowach spokojnie odpowiedzieć p. Geszwindowi na jego zarzuty.

Chodzi głównie o te punkty: p. Geszwind zarzuca mi brak pietyzmu dla Przybyszewskiego; zarazem ma mi za złe, że niedostatecznie wyświełając rolę żony Jadwigi w jego niektórych poczynaniach, przedstawiłem samego pisarza w ujemnym świetle, gdy on był tutaj jedynie cierpiącą ofiarą.

Co do pierwszego punktu, muszę powiedzieć, iż p. Geszwind popełnia... nieściskość, traktując mój artykuł *Kłamstwo Przybyszewskiego* jakby to było jedyne, co napisałem o Przybyszewskim. Wręcz przeciwnie, jest to ogniwo (nieukończonego zresztą) cyklu artykułów, poświęconych Przybyszewskiemu. Że rozważając twórczość pisarza, natrafiłem w niej na moment tak zasadniczy, który musiałem oświetlić, to zupełnie naturalne. Ale od śmierci Przybyszewskiego pisałem o nim kilka razy; pod świeżym wrażeniem straty poświęciłem mu najgorętsze wspomnienie. Żegnałem tam „jednego z najczystszych artystów, poetę w każdym włóknie duszy, człowieka, który cały żył sztuką, cały był sztuką, spalał się w niej, który życiem swoim, każdą jego godziną płacił prawdę i powagę tego, co głosił słowem, człowieka, który, już uwieńczony sławą na szerokich drogach świata, party wewnętrznym musiem wrócił do nas, aby dzielić jakże biedną i smutną naszą ówczesną dolę, który płomieniem swej duszy rozpałił i rozświetlił polskie życie, przyczyniając się jak mało kto do jego wspaniałej odnowy”...

Zarzut „przekreślania całego Przybyszewskiego”, który mi czyni p. Geszwind, brzmi wobec tego cokolwiek dziwnie.

W felietonie *Poeta a pieniądz* podnosiłem, tak samo jak p. Geszwind, *głębką dobroć* Przybyszewskiego. Ale właśnie z tej dobroci, przez którą nieraz obcemu człowiekowi na ulicy oddał wszystko, co miał w kieszeni, wynikało nieodzownie, że nazajutrz mogło mu braknąć pieniędzy na najpilniejsze potrzeby rodziny, na co zresztą patrzałem własnymi oczami.

Artykuł *Kłamstwo Przybyszewskiego* poprzedziłem innym artykułem, omawiającym jego język, przeprowadzając porównanie jego twórczości niemieckiej i polskiej i wskazując, gdzie czytelnik ma szukać wielkiego poety, którym był Przybyszewski. Zarzut więc p. Geszwinda, że o „pisarzu Przybyszewskim” ani słowa nie powiedziałem, jest znowuż dziwny.

Oburza p. Geszwinda, że wspominam o „alkoholizmie Przybyszewskiego”. Przybyszewski sam mówi o swoim nałogu ze szczerością i prostotą, po cóż tedy, wbrew prawdzie,

<sup>23</sup>fragmenty utworów powstałych za ich czasów berlińskich — Conradiego i Dehmela. [przypis autorski]

wybielać go w tej mierze? Pan Geszwind chce położyć koniec tej „legendzie”, tym „alkoholowym bredniom” i przysięga, że „nie wypił z Przybyszewskim ani kieliszka”. Pan Geszwind obcował z pisarzem w ostatnich latach jego życia. Ja przed laty trzydziestu, i o tej epoce mówiłem; on nie wypił z nim ani kieliszka, ja wypilem parę beczek; czy to znaczy, że jeden z nas koniecznie „mówi brednie”?

Pan Geszwind stwierdza, że w okresie drugiego małżeństwa „talent Przybyszewskiego wcale się nie rozwijał”; powiada, że „ze śmiercią Dagny skończyło się twórcze życie Przybyszewskiego”. Ale oburza się na mnie, gdy się ujemnie wyrażę o utworach z tego okresu upadku. O cóż chodzi, skoro obaj mówimy to samo?

To, że nie tylko Przybyszewski, ale każdy prawie pisarz wprowadza w swoje utwory własne przeżycia, wiem bardzo dobrze; ale chodzi o to, jak to robi i z jakich pobudek. Sam p. Geszwind stwierdza, że Przybyszewski czynił to często nie z pobudek artystycznych, ale dla dogodzenia chorobliwej zazdrości i nienawiści żony, równocześnie zaś oburza się, kiedy ja to nazywam „pamfletem”. Jeżeli p. Geszwind i sam Przybyszewski nazywają przedmowę do *Krzyku* „haniebną”, dlaczegoż nie wolno nazwać pamfletem zupełnie analogicznej enuncjacji np. w *Powrocie*? Tym bardziej, że dowiadujemy się od p. Geszwind, iż bruliony Przybyszewskiego bywały kreślane i zmieniane obcą ręką.

Pana Geszwind a raz w moim artykule wszystko, poczynawszy od tytułu *Kłamstwo Przybyszewskiego*, użytego przeze mnie w szerszym, symbolicznym niemal, nie zaś drobiazgowym znaczeniu. Woła z ironią: „Boy uczynił naprawdę prawdziwe odkrycie: Przybyszewski kłamał!”. Natomiast sam raz po raz używa tego określenia: „konieczność wiecznego zakłamywania się” (str. 26), „falszował fakty” (str. 34) itd.

W artykule moim starałem się trzymać na gruncie tego, co znajduje się w pismach Przybyszewskiego, jak najmniej zaś wdawać się w wątpliwe zawsze psychologizowanie. Ostatecznie, pisarz sam odpowiada za to, co podpisał swoim nazwiskiem.

A wreszcie rzecz ostatnia, zasadnicza. Można rolę p. Jadwigi objaśnić pewne postęпки w życiu Przybyszewskiego, ale nie można ich całkowicie usprawiedliwić. Jeżeli Przybyszewski, dla dogodzenia jej chorobliwej zazdrości, a zwłaszcza — jak sam wyznaje — dla „kupienia sobie chwili spokoju” pisze „haniebne” paszkwile na zmarłą od dawna i kochaną żonę i matkę swoich dzieci, można współczuć ze stanem, do jakiego ciężkie przejścia doprowadziły wielkiego pisarza, ale nazywać to, jak czyni p. Geszwind, „aktem ewangelicznej dobroci” wydaje mi się niezdrową przesadą. To, że Przybyszewski stworzył sobie mistycyzm swojej słabości, że brnął z obłądną perwersją w to, co uważał za swoje spodlenie, że uważał życie z Jadwigą za pokutę za Dagny, przy czym pokuta ta wyrażała się w obrzucaniu przez szereg lat pamięci Dagny błotem, to można by objaśnić komentarzem ze sfery psychopatologii, przywodzącej na myśl jakieś ciemne sekty; ale nie może p. Geszwind żądać, aby ktoś przed tą dobrowolną „hańbą”, popełnianą dla kupienia spokoju, przed tą ponurą mistyką i przed pojętą w ten sposób „ewangeliczną dobrocią” na twarz upadał. Do tego największy pietyzm dla pisarza nie obowiązuje. Pan Geszwind uległ tu widocznie sugestii atmosfery, jaką stwarzał dokoła siebie Przybyszewski.

I jeszcze jedno, najbardziej zasadnicze. Zdaje mi się, że p. Geszwind zbyt upraszcza te zawile i bolesne sprawy, obciążając wszystkim konto Jadwigi Przybyszewskiej. Ona wniosła w pożycie „nerwowość”. Dobrze. Ale nie zapominajmy, że Przybyszewski miał „nerwowość” dosyć tam w sobie, że *malström* męki i szaleństwa towarzyszył mu przez całe życie wszędzie. Niepodobna tłumaczyć tu wszystkiego despotyzmem Jadwigi, również niepodobna jedną formułką wyczerpać tego pożycia, które trwało przecież ćwierć wieku i które musiało mieć różne fazy. I uczucie jego dla Jadwigi, i stosunek jego do pamięci Dagny (mam na to dowody) przechodziły niewątpliwie ewolucje, że ambitna kobieta może wymusić na artyście pochwalne dedykacje, pochlebstwa, wykreślenie niemiłych jej ustępów, nawet pewne enuncjacje, to zrozumiałe; ale niepodobna przez ćwierć wieku wymuszać szeregu dzieł pisanych w przejrzystych aluzjach ku jej chwale. Niepodobna zmusić pisarza, aby napisał *Odwieczną baśń* czy *Zmierzb*. A przecież cała ćwierćwiekowa twórczość Przybyszewskiego przeniknięta jest Jadwigą, jest holdem dla niej. Pierwszy zaś utwór przepojony czułością dla Jadwigi, a zawierający wrogie echa pierwszego małżeństwa (*Synowie ziemi*), pisany był w r. 1901, prawie równocześnie z *Epitaphium* dla Dagny.

Kilkowerszowy ustęp, że „potem Przybyszewski fałszował już fakty, z widoczną pasją, nieraz jakby na ironię” — to też nowa zagadka, a nie jej wyjaśnienie.

Jest to więc sprawa o wiele bardziej skomplikowana, niżby się nawet po rewelacyjnych faktach, ujawnionych przez p. Geszwinda, mogło zdawać. Jest to niezmiernie zawiły kompleks psyche Przybyszewskiego, psyche przepastnej i ciemnej. I dodać należy, że nawet osobiste, najbardziej poufne zwierzenia Przybyszewskiego — zwłaszcza sięgające wstecz — nie mają rozstrzygającego znaczenia<sup>24</sup> Gdzie była jego „prawda” — któż to przeniknie. I czy ona w ogóle dla takich natur istnieje?

I nie o to chodzi, aby „plotkować”, nie o to, aby czernić czy bielić, aby się czynić adwokatem którejś strony. Nie o to też chodzi, aby sobie stwarzać jakiś monopol prawdy o pisarzu i wymyślać tym, którzy tej prawdy szukają; ale o to, aby zrozumieć i rozświetlić tajemnice twórczości jednego z naszych wielkich pisarzy. Czemu więc, podając swój cenny przyczynek faktów, p. Geszwind uważał za potrzebne przypieprzyć go bałamutną i nierzeczoną polemiką i ubrać go w formę napaści na mnie, nie bardzo pojmuję. Ale się też zbytnio tym nie przejmuję. Sądzę tylko, iż nieco lojalności ułatwiłoby dyskusje literackie.

---

Pan minister Alfred Wysocki, jeden z najdawniejszych przyjaciół Przybyszewskiego, udzielił mi kilku listów znakomitego pisarza.

Oto one:

I.

*(Berlin 1896, Kantstrasse)*

Kochający.

Więc jeżeli przyjdiesz do domu, czego się naturalnie nie spodziewam, to przyjdź do winiarni Tanengienstr. 1L. A ponieważ nie przyjdiesz, więc spodziewam się ciebie z pewnością jutro w „Monopolu” o 1-ej godzinie. Pójdziemy do Berkana, z którym wszystko już załatwiłem, tylko się weksle podpisze. *All right!* jakiś ty głupi robaku, nie lepiej to było teraz ze mną siedzieć i pić — pić!

O Jezu, Jezu!

Dawniej bez serca, dziś bez rozumu,  
O luba moja, nim zginę,  
Tobie wśród głuchych pamiątek szumu,  
Ofelii wianek uwinę.

*Stasinek.*

II.

*(na stemplu Kongsvinger, 19 maja 1897)*

Mój złoty, kochany Fredzinek.

Z całego serca dziękuję Ci za Twój piękny list. I ja często myślę o tych chwilach i godzinach, któreśmy razem na Katnstr. spędzili. Co to za pyszny czas. Już pewno nie wróci. Ty teraz pójdziesz inną drogą, Bóg wie dokąd idziesz, ja Bogiem a prawdą nic dobrego się nie spodziewam. Zawiązujesz sobie życie i albo się zniszczysz w jarzmie pracy jak wół roboczy, albo —

---

<sup>24</sup>nawet osobiste, najbardziej poufne zwierzenia Przybyszewskiego (...) nie mają rozstrzygającego znaczenia — ktoś żyjący blisko z Przybyszewskim w Niemczech opowiadał mi, jak raz bardzo dramatyczne zwierzenia Przybyszewskiego okazały się mistyfikacją. Zwierzał się mianowicie, że musi pisać powieść w podwójnym brzmieniu: jedną „oficjalną”, dla kontroli domowej, drugą dla siebie, prawdziwą. Rękopis tej prawdziwej starannie chował do pieca; otóż kiedy raz przyjaciele przez ciekawość zajrzeli do pieca, znaleźli tylko plik starych gazet. Znajomy ów, lekarz, uważa Przybyszewskiego za typowego „mitomana”. [przypis autorski]



no! cóż o tym więcej gadać. Dostyc ci naperswadowałem. Sam też nie jesteś ślepy. Mój złoty Fredziu, jeżeli pozwalam sobie Ci na Twój krok, który zrobić zamýślasz, uwagę zwrócić, to jedynie, że mam dla Ciebie gorące braterskie przywiązanie, a potem sam jestem poniekąd temu winien. Gdyby nie moje sugestie, może by nigdy się to nie stało, co się stało.

Ja teraz zupełnie szczęśliwy. Za niczym nie tęsknię, niczego nie pragnę, bo mam wszystko przy sobie. Tak się w sercu moim i miłość, i szacunek, i podziw dla Duchy powiązały, że najchętniej bym jej nogi całował i na rękach nosił.

Pracuję wiele. Zdaje mi się, że napiszę tu to wszystko, do czego jeszcze przed kwartałem nie byłem dojrzały — napiszę najlepsze rzeczy, to wszystko, co chciałem napisać, a nie mogłem, bo dusza była za mętna. Teraz mam spokój i pogodę.

Mój romans o trzech opętanych zakonnicach zabiera mi niesłychanie wiele czasu. Muszę najdrobniejszy *détail* studiować, a ponieważ tu biblioteki nie ma, więc trzeba sobie książki sprowadzać i kupować.

Dramat mój Pawlikowski definitywnie w Krakowie przyjął i będzie na jesień grany. Tak mi pisze Szukiewicz. Spotkałem w Krystianii Andersena. Straszliwie wygląda, bo wciąż pijany, przy tym żyje w strasznej nędzy, bo tu mu naturalnie tak samo o pieniądze trudno jak w Berlinie.

Tylko pisz mi, mój najdroższy, jak najczęściej, ja Ci regularnie odpisywać będę, chociaż niewiele Ci napiszę, ale zawsze w ścisłych stosunkach pozostaniemy.

Ty nie masz wyobrażenia, jak oboje, Ducha i ja serdecznie i bratersko do Ciebie jesteśmy przywiązani, jak szczerze i głęboko losy Twoje nas obchodzą.

Ściskamy cię oboje po tysiąc razy.

*Ducha i Stach.*

Nie wspominaj nic o M., bo Dusia twoje listy czyta, a chętnie jej daję do czytania, bo wiem, jak bardzo cię lubi.

Mój złoty Fredziu, nadeślij mi natychmiast odbitkę Twego portretu, chyba nie wątpisz, jak to mnie ucieszy. Ja Ci też na przyszyły tydzień fotografię Dusi i moją nadeślę.

Adres mój: Kongsvinger, Norwegien.

W Kongsvinger zostaną prawdopodobnie do listopada. Cieszyłbym się niezmiernie, gdybym Cię tu mógł spotkać.

Zenon lata jak najęty po podwórzu, śliczne dziecko, i tak kochane, że by go zjeść można. Nowele Twoje pošlij do „Dziennika Krakowskiego”, plac Mariacki. Tam dotąd adresuj też listy do Daszyńskiej.

Pisz mi tylko często i wybacz plamy obrzydliwe na moim liście, temu atrament winien.

Czy masz te dwa numera „Krytyki”, gdzie mój artykuł o powstaniu Kościoła Szatana stoi?

Jeżeli nie, to Ci nadeślę.

Postaram się o to, żeby Ci wszystko nadesłano, co w tym roku wyjdzie. Jeszcze raz tysiąc uścisków od

*Stacha.*

III.

*(na stemplu Berlin, 10 lipca 1897)*

Mój drogi, kochany Fredzinku.

Ale cóż znowu piszesz za niestworzone rzeczy. Ja Ciebie miałbym w trąbę puszczać? Nie, nie, mój drogi, ja jestem bardzo do Ciebie przywiązany i bardzo Cię kocham. Nie pisałem, bo żyłem w strasznych tarapatach i niepokoju, ale gorąco Ci dziękuję za Twój ostatni list. Z całego serca Ci dziękuję.

Objąłem redakcję „Metaphysische Rundschau”, pismo poświęcone mistyce i magii. Szalenie wiele na początku do pracy, a przy tym nieznośna, wściekła tęsknota, dochodząca do manii, za Dusią. Jezus Maria, jak ja za nią tęsknię, jak tęsknię!

Mają widziałem przez parę godzin w Krystianii. Byłem z nią w towarzystwie późnym wieczorem, ale z nią nie rozmawiał, bo byłem pijany i usnąłem. Na drugi dzień, przed jej wyjazdem, widziałem ją pół godzinki. Wygląda źle, chuda bardzo i — jednym słowem wygląda niedobrze. Cóż Ci mam o niej powiedzieć? Dobre dziewczę, jak zawsze, ale ona dla mnie teraz zupełnie obca. Lubię ją i życzę jej z całego serca wszystkiego dobrego, ale innej wspólności pomiędzy nami nie ma.

*Sic transit* itd. Ducha, Ducha, i wiecznie Ducha, jedynie Ducha, królowa niebios i ziemi.

Fotografię naszą niedługo dostaniesz. Również wyślę Ci później parę książek, jak tylko się w Berlinie zagospodaruję. Mój złoty Fredziutek, pisz mi tylko często, jak najczęściej, nie masz wyobrażenia, jak głęboko jestem do Ciebie przywiązany i jak ustawicznie o tobie myślę.

Ściskam Cię z całego serca

*Twój Stach.*

Adres: Berlin, W. Ansbacherstr. 9.

IV.

(marka<sup>25</sup> na liście hiszpańska, 1898)

Mój drogi, kochany Fredziu. Bóg zapłać za Twój list, piórunko długo kazałeś na niego czekać. Ale teraz więc wszystko w porządku. Ale co do Twojej prośby — w żaden sposób *nie można* tak zrobić, jak byś sobie życzył.

*Nad morzem*, *Epipsychidion*, jeden długi poemat i rzecz, którą obecnie kończę, są częściami tylko *jednej* nierozdzielnej całości pod ogólnym tytułem *Nad morzem*.

Cała rzecz obejmująca jakie 80 stron druku, trochę większa jak *Vigilie*, napisana równocześnie po polsku i po niemiecku. Mogłem się zdecydować drukować poszczególne części w czasopismach, ale tylko w czasopismach. *Nad morzem* jako książkowe wydanie musi być drukowane jako całość. *In hac lacrymarum valle* na razie jeszcze po polsku nie wydaję. Piszę to odnowa po polsku, tzn. że nie tłumaczę, tylko wręcz piszę po polsku, wskutek czego będzie to zupełnie inaczej wyglądało jak w niemieckim.

Staram się obecnie o polskiego nakładcę — bo o Szczepańskim nie wiem, co mam myśleć. Pisałem do niego kilka razy — nie odpisywał; pisałem tu stąd, co się dzieje z moim *Epipsychidionem* — ani słowa odpowiedzi. Doprawdy, nie wiem, co mam myśleć. Oczywiście byłoby to dla mnie niesłychanie miłą rzeczą, gdyby moja polska książka mogła wyjść w tak ozdobnym wydaniu, i zrobiłbyś mi rzeczywistą przysługę, gdybyś się w tej mierze zniósł ze Szczepańskim. *In hac lacrymarum valle* ma czas, napiszę kilka drobniejszych rzeczy mniej więcej tego samego rodzaju i będzie nowa książka. Ale najwięcej mi zależy na wydaniu *Nad morzem*.

Zresztą piszę teraz przeważnie po polsku, tj. zdecydowałem się zdychać z głodu, bo oczywiście pieniędzy za to, co po polsku wydaję, nie dostaję, chyba cud się stał.

<sup>25</sup>marka (daw.) — tu: znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

W Hiszpanii zostaniemy jaki miesiąc, przez koniec marca, i cały kwiecień w Paryżu — a potem *quien lo saba?* Pracuję mało, łażę nad brzegiem morza, patrzę na kwiaty i wspaniałe drzewa, kąpię się i odpoczywam, bom się tej zimy mocno picciem zmachał!

Odpisz mi czym prędzej. Ducha pozdrawia Cię z całego serca.

Ściskam cię i kocham po staremu.

*Twój Stach.*

V.

Drogi Fredziu.

Słuchaj, drogi chłopie, jeżeli chcesz mnie wyrwać z strasznie przykrego położenia, to pożycz mi do 1-go października sto guldenów. Zostałem przez niemieckiego nakładcę, który mnie tu do Monachium zwabił, haniebnie oszukany i jestem teraz na lodzie.

Pomóż mi, jeśli możesz, a pod słowem honoru na 1-go października z długu się uiszczę.

Piszę wielką rzecz o Szopenie, to mi paręset guldenów przyniesie i wtedy natychmiast ci oddam.

Zrób mi tę wielką przysługę, a dali Bóg, nigdy ci tego nie zapomnę.

Jedna jeszcze rzecz.

Masz moje listy pisane do Dagny. Jesteś dżentelmenem, więc ani na sekundę nie byłem o nie niespokojny, bo wiedziałem, że żadnego użytku z nich nie zrobisz — teraz proszę cię, zniszcz je, ani ty, ani ja nie jesteśmy długowiecznymi, a ja byłbym szczęśliw, żeby śladu po mnie nie zostało.

Do tego stopnia ci ufam i wierzę, że wiem, iż ich nawet nie czytałeś.

*Wszystko spal.*

Gdybyś nie mógł mi sto guldenów przysłać albo gdybyś mi tej sumy teraz nie mógł zawierzyć, to przyślij choć połowę, bo bardzo bardzo źle ze mną. Bez winy po trzeźwemu dostałem się w piekielne położenie.

Tyle przyjaźni jeszcze chyba dla mnie masz, by mi odwrotną pocztą napisać.

Twój artykuł o *Odwiecznej Baśni* w „Gazecie Lwowskiej” był rzeczywiście piękny i będę ci wdzięczny, gdy mi go przyślesz, bo to jedyna porządna rzecz, którą w Lwowie o *Baśni* napisano.

Serdecznie cię całuję

*Twój Stach Przybyszewski*

13 lipca 1906

Adres: Munchen, Hohenzollernstr. 15.

VI.

Drogi Fredziu!

Nie odbierając tak długo listu od ciebie, myślałem już, że sprawę całą chcesz milczeniem załatwić, tym więcej się cieszę, że się na tobie nie zawiódł.

Z wekslem wątpię, czy będziesz mógł co zrobić, ja nie mam nikogo, ale to literalnie nikogo w Lwowie, do kogo mógłbym się zwrócić w razie, gdy nasze podpisy nie wystarczą. A te sto guldenów mogłyby mnie z krwawego położenia wydobyć.

Jedno atoli mógłbyś zrobić, a mianowicie wyjednać mi zaliczkę w kwocie 25 guldenów w „Gazecie Lwowskiej” na felieton, który wam *pod słowem* nadesłę w sierpniu: *Obecny stan literatury niemieckiej*.

Pieniądze te, najdroższy, wyślesz wprost do mojej żony:

Jadwiga Przybyszewska

u W.P.P. Gąsowskich  
Poronin  
dom Agnieszki Polakowej  
a na odcinku napiszesz: „Gazeta Lwowska” z polecenia St. Przyb[yszewskiego].

Zrób mi to, najdroższy, żona pojechała tam, by się z dziećmi zobaczyć i pozostała bez centa, a ja jej teraz nic posłać nie mogę, bo często gęsto na obiad nie mam, a już wszystko co mogłem pozostawiałem.

Jak tylko ten list otrzymasz, to nie żałuj te 50 centów na telegram i zatelegrafuj mi „Mogę” albo „niestety” — to starczy, bo nic straszniejszego nad wyczekiwanie.

Co do tych listów, to mi się pewno przywidziało, teraz, gdym się o Dagny bardzo przykrych rzeczy dowiedział, nie chciałbym, aby jedno słowo moje do niej istniało.

O Mai dowiedziałem się tu od Scharfa, poety niemieckiego, który ją często spotykał w Paryżu, gdzie żyła z doktorem Oskarem Panizzą (obecnie w domu obłąkanych, słyszałeś pewno o tym pornografie) — nie wiem, o ile w tym prawdy, a krótko potem wyszła za mąż za Rosjanina, doktora czy chemika w Tyflisie — to jedno jest faktem, bo mi też o tym pisano z Krystianii.

Tyflis! dziwny zbieg okoliczności — obydwie przyjaciółki po burzliwym życiu wyładowały w Tyflisie.

Ale *de mortuis nil nisi bene*... A i Maja pewno dla ciebie umarła.

Mój drogi Fredku, na naszą przyjaźń, która tyle lat przetrwała mimo wszelkie wahania, proszę cię, załatw to z Redakcją „Gazety Lwowskiej”, a ja jeszcze raz słowem zaręczam, że najpóźniej za trzy tygodnie felieton nadeślę.

Ściska cię serdecznie

*Twój*

*Stach Przybyszewski*

Monachium 23 lipca 1906.  
Hohenzollernstr. 15.

VII.

*(data stempla 20 września 1906)*

Mój drogi Fredziu!

Czyś nie odebrał mojego listu? Zaraz gdyś mi pieniądze nadesłał, przesłałem ci gorące podziękowanie, a i zarazem wymówkę, bo było mi przykro, żeś razem z przesyłką nic mi nie napisał.

List więc zaginął, co się zresztą tu dość często zdarza, więc raz jeszcze ci serdecznie dziękuję, że chcesz zapłacić pierwszą ratę, mocno się tym trapiłem, bo wiesz, jakie lato jest przykre dla autorów. Upoważnienie napisz w takiej formie, by ci potem nie stawiano trudności przy odbieraniu pieniędzy w teatrze, ja je przepiszę i zaraz ci zwrócę.

W Monachium pozostaniemy całą zimę. W Polsce nie ma dla mnie kąta — w Królestwie sztuka i literatura w łeb wzięła, a tu spokój i nadzwyczaj tanio.

Żyjemy tu zupełnie dla siebie, znajomych nie mam, a starych nie odwiedzam, i tak nam dobrze. Żona tu dopiero odetchnęła i ja też swobodny, tylko te straszliwe troski mnie gnębią.

Jest jednakowoż nadzieja. Tutejszy Hoftheater przyjął *Dla szczęścia*, zdaje się, że Reinhardt w Berlinie będzie grał *Śnieg* w Szwecji z pewnością zostaną moje dramaty wystawione — w ogóle zdaje mi się, że wreszcie nadchodzi mój czas. Dosyć się nabiedziłem na Bożym świecie. A zwłaszcza w tych latach, kiedy alkohol takie straszne harce w mym mózgu wyprawiał. Dziś

dzięki niesłychanej opiece i poświęceniu mej żony od roku już jestem jasny i trzeźwy — i da Bóg rozpoczną wreszcie nad tym pracować, do czego wszystko, com dotychczas napisał, było li tylko wstępem.

Byle tylko choć rok jeden móc żyć bez troski!

O jakich moich książkach piszesz, których nie znasz?

Przecież *Odwieczną baśń* masz, boś to ty przecież o niej pisał w „Gazecie Lwowskiej” — czy nie tak? A *Śluby* ci nadeśle, bo sam nie mam ani jednego egzemplarza.

Raz jeszcze ci gorąco dziękuję za twoje kochane serce, serdecznie cię ściskam i pozostaję

*Twoim szczerze oddanym*

*S. Przybyszewski*

N.B. Mój drogi, mała prośba — jak będziesz do mnie pisał, dołącz pozdrowienie dla mej żony, ona bardzo biedna, zdaje się jej, że nikt jej już znać nie chce. Tyś człowiek delikatny, więc to zrozumiesz.

---

Oto jeszcze garść listów, jakie znalazłem. Podobnie jak te trzy ostatnie, i te mówią głównie o pieniądzach. Bo taki jest demonizm pieniądza i taka jego zemsta, że poeta, który nim gardzi, wciąż — bardziej niż ktokolwiek inny — musi o nim myśleć i nim się zaprzętać!

I.

(List pisany do profesorowej Elizy Pareńskiej na wytwornym czerpanym papierze z firmą „Życia”)

Wielmożna Pani.

Dowiaduję się, że Pani ma chęć kupić obraz Wyspiańskiego.

Otóż pozwoli Pani, że zaproponuję Jej następującą rzecz:

Prócz obrazu Wyspiańskiego, mam cudowny obraz olejny Weissa Wojciecha *Szopen*.

Jeżeli Pani zechce, to sprzedam Pani każdy obraz po 100 zł., czyli razem 200 florenów.

Ponieważ pani Dagny zaciągnęła u Pani dług w wysokości 25 fl. i kazała mnie prosić, bym sumę tę Pani zwrócił, więc dam Pani te obrazy za 175 reńskich.

Niezmiernie mi przykro, że jestem zmuszony pisać Pani geszefciarskie listy, właśnie do Pani, dla której żywię najgłębszy szacunek, serdeczną sympatię, ale tak widocznie chciał mój biedny Pan Jezus Kujawski.

Nie umiem Pani wypowiedzieć, jak jestem Jej wdzięczny za te piękne i miłe chwile, spędzone w Jej domu, jak niezmiernie jestem wdzięczny za szczerą a głęboką życzliwość, jaką Pani naszemu rozbitemu gniazdu zawsze okazywała, a jeżeli sam osobiście nie przychodzę, to li tylko dlatego, że mi trudno mówić, wręcz lękam się ludzi.

Czy Pani zechce dać odpowiedź na mój list?

Ręce Pani całuję z szczerą wdzięcznością i z najgłębszym szacunkiem.

*Stanisław Przybyszewski*

Kraków, 10 stycznia 1900

II.

Wielmożna Pani

Nikt się nie trafia, a zatem proponuję Pani następującą rzecz:

Przyślę jutro Pani obraz Weissa przez chłopca, by go Pani mogła zobaczyć. Jeżeli będzie się Pani podobał, dobrze, jeżeli nie, to w takim razie

rozchodzi się tylko o Wyspiańskiego. Niezmierną byłoby mi pomocą, gdyby Pani mogła mi dać zaraz 50 reńskich, a z resztą można by się ułożyć tak, jak Pani najwygodniej — może w połowie lutego. Nie narzucałbym się szanownej Pani, ale jadę w środę na parę tygodni do Berlina w niezmiernie ważnych sprawach, od których załatwienia bardzo wiele w moim życiu zawisło, a pieniędzy mam bardzo, bardzo mało.

Więc, jeżeli by to było dla Pani możliwym, to wyrządzi mi Pani rzeczyswą przyszłą.

Po powrocie z Berlina — sądzą, że mi się trochę w duszy „odmieni” — pozwolę sobie osobiście Pani podziękować.

Zechciej Pani odpowiedzieć o ile możności zaraz na Zielona 19, I.

*Całuję ręce Pani,*

*Stanisław Przybyszewski*

III.

Droga, wielmożna Pani.

Nie śmiałbym o to prosić, o co Panią proszę, gdybym nie był w możności słowem moim zaręczyć, że za trzy dni zobowiązania mego dotrzymam. Przede wszystkim proszę Panią, niech mi Pani za złe tego listu nie bierze, ale nie znam nikogo w Krakowie, a Pani była tak dobra dla mnie.

Otóż pani Dagny zrobiła ze mną ten kiepski eksperyment i wróciła do Krakowa po to, by mi powiedzieć, że innego kocha. Boże najdroższy, cóż temu winna, że innego pokochała?

Miała najlepsze chęci, chciała pozostać, ale ja rozumiem, że by musiała swoją duszę pogwałcić, i wszystko zrobić, by jej przynajmniej trochę lepiej było na świecie jak mnie.

Dziś wystarałem się o pieniądze na podróż, a jeżeli Pani jest w stanie, to dopóżycz mi Pani na trzy dni 50 reńskich.

A tak jestem krwią w duszy zalany, że nie jestem w stanie dłużej tę mękę znieść.

Ręce Pani całuję i proszę o odwrotną odpowiedź.

*Stanisław Przybyszewski*

Kraków, 4 IV 1900

IV.

(Pisane widocznie u prof. Pareńskich w domu, na odwrotnej stronie jakiegoś zaproszenia na posiedzenie komitetu festynowego)

Chwileczkę rozmowy, droga Pani. Dagny została zamordowana. Jadę w tej chwili do Tyflisu.

*Przybyszewski*

---

I jeszcze te listy, dwa pisane do mnie (pierwszy zapewne przed jakimś odczytem), ostatni — niemal klasyczny w swojej zwięzłej formule — do Ludwika Janikowskiego:

I.

Mój złoty!

Pożycz mi białą krawatkę do wysokiego kołnierzyka i koronę, bym się mógł dać ostrzyc. Do wieczora.

Ściska cię

*Twój Stach.*

II.

Mój drogi Tadius!

Byłeś mi zawsze najmilszym, zawsze byłeś dla mnie dobry, może i tym razem mi pomożesz.

Wskutek niewypłacalności nakładców i teatrów w Rosji, znalazłem się nagle w ostatecznej nędzy. To nie frazes, to piekielna rzeczywistość. Parę dni jeszcze, a resztę kredytu stracę, a potem, to już nie wiem.

Byłem ciężko chory przez parę tygodni, co jednakże może być moim zdrowiem, bom musiał całkiem przestać pić — siły z wolna powracają, pragnę pracować i w krótkim czasie zapomogę, o jaką cię proszę, ci zwrócę.

Pożycz mi sto guldenów, a jakoś się wygrzebię.

Tylko mi daj odpowiedź i to zaraz — to dla mnie tak niezmiernie ważne, a najwięcej może dlatego, że przynajmniej nie pozostawisz mego listu bez odpowiedzi.

Ściskam cię serdecznie

*Stanisław Przybyszewski*

Zakopane 3.

(Kościeliska)

31 (a jutro pierwszego) VIII 1905.

III.

(do L. Janikowskiego)

Mój najdroższy

Zlituj się, na Boga miłego, co się dzieje z pieniędzmi??

*Stach.*

# WYSPIAŃSKI

## NAD RĘKOPISEM *Wesela*

Znowu, przy zbliżającej się rocznicy Wyspiańskiego, mam zamiar poplotkować trochę o *Weselu*. Nie uważam zajmowania się tymi kwestiami za tak błahe, a nawet karygodne, jak to niektórzy po ogłoszeniu mojej *Plotki o Weselu* osądzili.

Tym razem stał mi się pobudką rękopis *Wesela*. Przyglądałem się tym ćwiartkom najlichszego, najtańszego, poźólkłego już papieru, na które rzucił poeta jedną z niezapomnianych scen. Jest to, zdaje się, jedyny strzęp rękopisu, jaki się zachował. W cennych swoich przypisach krytycznych do pism Wyspiańskiego prof. Sinko pisze:

Rękopisu do *Wesela* nie ma w spuściznie literackiej pozostałej po Wyspiańskim. Z rękopisu *Wesela* zachowało się tylko kilka kartek, których Wyspiański nie uwzględnił, ogłosiłem je dopiero po śmierci Wyspiańskiego w wydaniu czwartym (1908) *Wesela*. — Pan dr Tadeusz Żeleński (pseud. Boy) wspomina w *Plotce o „Weselu” Wyspiańskiego*, że posiada rękopis *Wesela*, zawierający scenę Stańczyka z Dziennikarzem.

Przyszło mi tedy na myśl, że interesującym byłoby może dać podobiznę tego rękopisu, zwłaszcza, że rzuca on światło na pewien punkt komentarza prof. Sinki, punkt, który mi się wydaje nie dość jasny.

Pisze bowiem dalej prof. Sinko o głośnej recenzji Rudolfa Starzewskiego, która miała niemałe znaczenie dla losów *Wesela*:

Rudolf Starzewski, ówczesny redaktor dziennika „Czasu” w Krakowie, umieścił sprawozdanie z pierwszego przedstawienia *Wesela* w teatrze krakowskim w „Czasie” z dnia 19 marca 1901 (nr. 65–70 włącznie), więc w tydzień po przedstawieniu, a przed wydrukowaniem *Wesela*... W sprawozdaniu swoim Rudolf Starzewski, wymieniając osoby dramatu, wylicza: jest gospodarz, który ma żonę *Hannę*, „pan młody od rana po ślubie z *Jagą*”... jest też „panna *Klara*, cięta i rezolutna”, dwa podlotki: „*Aniela* z powiewnym wdziękiem”, „*Krzysia*, odważniejsza”...

Imion tych, jako nazw osób dramatu nie ma już w druku, zastępują je inne: zamiast *Jaga* jest: *panna młoda*, zamiast *Hanna* jest: *gospodyni*, zamiast *Klara* jest: *Maryna*, zamiast *Aniela* jest *Zosia* wreszcie zamiast *Krzysia* jest: *Haneczka*. Te zmienione nazwy imion ma także tzw. „skrypt teatralny” *Wesela* prócz imienia „*Jaga*”... Wobec innych imion, przytoczonych przez Starzewskiego, trzeba powiedzieć, że Starzewski miał przed wystawieniem *Wesela* pierwotny autograf *Wesela* lub że z tego autografu porobił wypisy, skoro pozostawił w sprawozdaniu swoim te imiona, mimo że przecież był obecny na pierwszym przedstawieniu *Wesela* i mimo tego że na afiszu teatralnym do tego przedstawienia imiona te były zmienione...

Otóż to wyjaśnienie prof. Sinki, tyżące przeobrażenia imion w *Weselu* nie wydaje mi się przekonywujące. *Haneczka* czy *Krzysia*, *Maryna* czy *Klara*, to, zdawałoby się, rzecz wcale błaha: a przecież kwestia ta wnika dość głęboko w mechanizm twórczości Wyspiańskiego. Skoro tedy dostała się do krytycznego wydania pism poety, sądzę, że zasługuje na ustalenie.

Spójrzmy na ten rękopis. Pierwszą rzeczą, która nas uderza, jest to, że zamiast Dziennikarz, Wyspiański pisze *Dolcio*, po prostu tak jak bliscy znajomi nazywali Rudolfa Starzewskiego. Nowy to dowód na znany zresztą fakt, jak dalece wszystkie główne figury w *Weselu* są dla Wyspiańskiego rzeczywiste, dosłowne.

Ten fragment rękopisu jest to, jak sądzę, pierwszy rzut tej sceny, ponieważ paginacja jest oddzielna. Widać stąd, że sceny powstawały w jego wyobraźni luźno. Pisany jest spieszenie, prawie bez interpunkcji: w porównaniu z pierwszym wydaniem brak tu jakichś kilkadziesiąt znaków pisarskich, głównie przecinków. Ale musiała ta scena być dojrzała w głowie twórcy, bo poprawek jest mało: pierwsza stronica zwłaszcza wyskoczyła mu



z głowy gotowa, spisana z nieomylną pewnością. W dalszym ciągu poprawek jest więcej, dwa razy nawet paginacja jest zmieniona, wskutek przeróbek powodujących wyrzucenie lub dodanie stronicy.

Zatem w pierwszej redakcji tekstu *Dziennikarz to Dolcio*. Wiem dobrze, a potwierdziła mi to ówczesna dyrektorowa krakowskiego teatru, pani Lucyna Kotarbińska, że kiedy Wyspiański przyniósł kartkę z osobami przeznaczoną do sporządzenia afisza, w spisie tym zamiast Radczyni widniała „pani Domańska” (żona znanego lekarza i radcy miejskiego) etc. Wobec tego, przeczytawszy ustęp z komentarza prof. Sinki, sam zastanowiłem się chwilę, skąd się w recenzji Starzewskiego wzięły fikcyjne imiona *Aniela, Klara, Krzysia*, zamiast rzeczywistych imion znajomych pańienek, jakie im dał Wyspiański. Niemożliwe mi się wydaje przypuszczenie prof. Sinki, jakoby Starzewski wziął je z rękopisu *Wesela*, który by miał w rękę, pisząc recenzję. Z jednej strony, ten pierwszy rzut, w którym Wyspiański idzie jeszcze dalej w poufności niż na afiszu (*Dolcio* zamiast *Dziennikarz*); — z drugiej strony afisz i skrypt teatralny, zachowujące autentyczne imiona: Maryna, Zosia, Haneczka: skąd i dlaczego, między jednym a drugim, miałyby się znaleźć w rękopisie *Wesela* te imiona fikcyjne; skąd ta maskarada, w dodatku z dwoma imionami mającymi wyraźnie Fredrowskie podzwęki? To jest absolutnie przeciwne duchowi Wyspiańskiego. Przy tym i to przeobrażenie byłoby — gdyby wnosić z recenzji Starzewskiego — dziwnie niekonsekwentne: recenzent nazywa tu prawdziwymi imionami *Hannę* i *Jagę*, które na afiszu i w druku widnieją jako *Gospodyni* i *Panna Młoda*, a konwencjonalizuje *Anielę* i *Klarę*! Gdyby tu nawet był jakiś kompromis (a wiadomo, jak mało Wyspiański był do kompromisu skłonny), byłby on dziwnie połowiczny i niezrozumiały. Można sobie wyobrazić imiona autentyczne zmienione dla afisza, ale nie odwrotnie. Toteż mamy wszelkie powody przypuszczać, że rękopis *Wesela* zawierał te same autentyczne imiona, jakie są w druku, o ile nie szedł w tym kierunku jeszcze dalej.

Skąd tedy ta maskarada w recenzji Starzewskiego? To, że Starzewski pisząc swoją sześćofioletonową recenzję miał w ręce rękopis *Wesela* lub raczej skrypt teatralny<sup>26</sup>, to pewne, cytuje bowiem z niego obficie; ale co się tyczy owych imion, pochodzenie ich musi być inne. Sięgnąwszy do własnej pamięci oraz popytawszy się niestarych osób, które atmosferę premiery *Wesela* pamiętają, zdawało mi się, że mogę na to odpowiedzieć.

To, że stosunek do *Wesela* był zrazu inny niż ten, który się wytworzył później, to opowiadano już nieraz. Aktor, który — wedle Wyspiańskiego — stworzył najlepszą rolę, Sobiesław (Gospodarz), po każdej próbie oświadczał; „Nic nie rozumiem”. Na pierwszy plan wybijała się anegdotyczna, życiowa strona utworu, na resztę nie od razu zyskano perspektywę. Kraków, to był mały światek; w tym światku zawrzało. Wszyscy, aż do Czepca (jak opowiadałem w mojej *Plotce*) byli poruszeni tym, że ich pokazano na scenie. Włodzimierz Tetmajer, zrazu olśniony sztuką, po paru dniach „uświadomiony” przez bliskich, napisał do Wyspiańskiego bardzo cierpki list. O ile zaprzyjaźniona z Wyspiańskim pani Pareńska czuła się szczęśliwa, że jej dziewczęta, Maryna i Zosia, dostały tego zaszczytu, surowiej na to patrzyła rodzina Rydlów. Zapewne kumoszki musiały biegać do starej pani Rydlowej z przedłożeniami, że „opisana” panna za mąż nie wyjdzie etc. Może i sam Lucjan Rydel miał przyczyny do niezadowolenia z roli Pana Młodego; dość że chodził po mieście wzburzony i — rzecz dziś się wydaje trudna do wiary, tak bardzo czas zmienia perspektywę — opowiadał: „Ja temu Wyspiańskiemu pyski zbiję, co on ma sobie wycierać gębę moją siostrą” etc. Wyspiański żalił się podobno: „Lucek Rydel mówi, że mi pyski zbije za Haneczkę, a ja przecież pannie Haneczce w niczym nie chciałem ubliżyć”... Pamiętałem obiegające wieści, że te imiona muszą być na afiszu zmienione; zdawało mi się jednak (jak się okaże, mylnie), że nigdy zmienione nie były, że jedynym odgłosem, w jakim ta „burza” znalazła echo, była właśnie — recenzja Starzewskiego.

Wyszła w kilka dni po przedstawieniu, a ciągnęła się przez sześć numerów „Czasu”. Było to wbrew krakowskim obyczajom, gdzie wówczas sztuka zwykle szła 3 lub 4 razy, po czym ustępowała miejsca nowej. Ale recenzja była niezwykle gruntowna — cała broszura — Starzewski zaś pisał z natury wolno, po dojrzałym przemyśleniu rzeczy. Może i inne

<sup>26</sup>rękopis (...) lub raczej skrypt teatralny — K. Ehrenberg, który równocześnie był krytykiem w „Głosie Narodu” mówił mi, że i on, i Starzewski mieli do rozporządzenia nie rękopis, ale skrypt teatralny, który istnieje. [przypis autorski]

jeszcze przyczyny opóźniły tę recenzję. To była sprawa zarazem literacka, polityczna i... dyplomatyczna.

Co napisze, jakie stanowisko zajmie „Czas”, na to czekał, wstrzymując się ze zdaniem o sztuce, cały Kraków. Otóż była to rzecz delikatna. Literacko „Czas”, organ starych, krępował po trosze recenzenta w jego osobistych „modernistycznych” sympatiach. Politycznie *Wesela* miało swoje drażliwości. Ale najważniejsza była sprawa inna, personalna, więc w ówczesnym Krakowie najważniejsza: wszechwładny protektor „Czasu”, papież konserwatywnego Krakowa, hr. Stanisław Tarnowski, był osobiście dotknięty *Weselem*: żonaty z Branicką, wyszedł ostentacyjnie z teatru po scenie Hetmana z diabłami; nie mówiąc już, że sztuka obrażała wszystkie jego wierzenia estetyczne, czemu dał później wyraz, pisząc anonimowo jej parodię. Niechybnie zatem musiały się toczyć między redakcją a patronatem „Czasu” narady, pertraktacje, które mogły opóźnić pojawienie się recenzji. Ostatecznie Starzewski wyszedł zwycięsko; przeforsował swój punkt widzenia i obronił swobodę pióra.

Otóż przez tych kilka dni był czas na puszczenie w ruch innej znów dyplomacji. Wszystko to był światek żyjący blisko z sobą, Rydel specjalnie był zaprzyjaźniony z „Czasem”; bardzo tedy było prawdopodobne, że rodzina Rydlów zabiegała o to, aby panna Haneczka nie była przynajmniej „włoczona po gazetach”. Czego nie było w „Czasie”, tego nie było na świecie dla ówczesnego Krakowa. Pierwotnie zatem przypuszczałem, że Starzewski, idąc tym drażliwościami na rękę, z własnej inwencji zmienił te imiona. Chodziło właściwie o jedną Haneczkę (Krzysia); ale aby to nie uderzało zbyt, musiał zmienić imiona wszystkich panien. Wyspiański, szczerze zmartwiony historią z Rydlami, byłby zapewne rad, że tak małym kosztem sprawa się ułożyła...

Pamiętałem jak przez mgłę, że była też mowa o zmianie tych imion na afiszu; ale wobec tego, że prof. Sinko w swoim komentarzu mówi wyraźnie o afiszu premierowym, sądziłem, że się skończyło w tej mierze na zamiarach. Pytałem świeżo o tę kwestię afisza J. Kotarbińskiego — była to moja ostatnia z nim rozmowa — ówczesnego dyrektora teatru krakowskiego, i żony jego, pani Lucyny; pytałem aktorek grających na premierze *Wesela* — nikt sobie nie umiał nic przypomnieć. Mogłem twierdzić z pewnością tylko tyle, że te maskujące „autentyczność” imiona: Klara, Aniela, Krzysia nie pochodziły od Wyspiańskiego, który, przeciwnie, jak najbardziej tę autentyczność akcentował.

Ale po ogłoszeniu pierwszego felietonu w tej kwestii, otrzymałem dwie bardzo zajmujące informacje. Jedną od pani Lety Czajkowskiej (Walewskiej), która tak ładnie na premierze *Wesela* kreowała Marysię. Pytana wprzód przeze mnie, nie umiała sobie pani Czajkowska nic o tym spisie imion przypomnieć; ale potem zaczęła szukać i znalazła — afisz z drugiego przedstawienia *Wesela*. I o dziwo! Na afiszu tym czytamy imiona: *Klara, Aniela, Krzysia!* Jak pogodzić ten afisz z tym, co mówi o premierowym afiszu prof. Sinko? Objasni to druga informacja, którą otrzymałem od osoby stojącej bardzo blisko tych wydarzeń, bo od samej „Maryny” z *Wesela* (pani Marii Grekowej). Píše mi:

O ile pamiętam, to na afiszach zapowiadających premierę *Wesela* były nasze prawdziwe imiona; ale na życzenie i koszt pani Rydlowej zostały natychmiast wydrukowane inne, z imionami Klary, Anieli i Krzysi, i tymi zalepiono tamte. Czy to robione było w porozumieniu z Wyspiańskim czy nie, nie mogę stanowczo powiedzieć; mam jednak wrażenie, że bez porozumienia. Nie wiem też, czy afisze pani Rydlowej były i na dalszych przedstawieniach; w każdym razie imiona w recenzji Dolka z tych afiszów się wywodzą...

Jesteśmy tedy coraz bliżej wyjaśnienia zagadki: „ciepło, ciepło”, jak w owej grze dziecinnej. Zatem afisze były podwójne: oficjalne i „rydlowskie”. Rydlowskimi zalepiano dawne na ulicach; może i zastąpiono nimi te, które sprzedawało się wewnątrz gmachu? (Afisze na ulicy a afisze sprzedawane publiczności były wówczas w teatrze krakowskim zupełnie jednakowe co do kształtu i formy). Afisz, który ofiarowała mi pani Czajkowska, byłby takim „rydlowskim” afiszem. Prof. Sinko miał w ręku afisz oficjalny. Jak długo ta trawestacja utrzymała się na afiszach, to dałoby się może ustalić w archiwach krakowskiego teatru.

Wszystko to wygląda niemal fantastycznie, tak bardzo się zmieniła perspektywa na ten utwór i na wszystko, co go dotyczy. Trudno nam też dziś wyobrazić sobie rodzinę, która na własną rękę rozlepia afisze teatralne! A dodajmy, że stara pani Rydlowa to nie była jakaś krakowska kumoszka; to była bardzo rozumna, zacna i przemiała kobieta. Tym ciekawszy to przyczynek do atmosfery przedpremierowej *Wesela*.

Wyjaśnienia, jakie otrzymałem, oraz ten szacowny afisz, modyfikują nieco moje pierwsze domysły, ale potwierdzają ich treść zasadniczą: mianowicie, że przekształcenie imion nie pochodziło z rękopisu Wyspiańskiego, lecz nastąpiło z pobudek ubocznych, obcych poecie.

Historia ta rzuca również światło na trudności, jakie sprawia nieraz ustalenie jakiegoś szczegółu. Rzeczy tak niedawne, a ile tu hipotez, jak idzie się po omacku! Jak bardzo pamięć zawodzi, skoro tak osobliwej rzeczy jak ta zmiana afisza — rzeczy, o której tyle z pewnością było wówczas w teatrze gadania — nikt z teatralnych uczestników premiery nie pamiętał!

Stosunek poety do „rzeczywistości” w tym utworze jest unikatem w literaturze świata i na pewno będzie interesował przyszłych badaczy. Niech to usprawiedliwi te moje „plotki”; plotkować o *Weselu* będą uczeni i tak, a im dalej będą latami od faktów, tym bardziej będą skazani na domysły.

A teraz wracam do rękopisu. Trzymając go w rękę, trudno się od niego oderwać. Jest coś głęboko wzruszającego w tych pożółkłych już kartkach. Ten „Dolcio”, z którym wiąże się jedna z najpiękniejszych scen w literaturze polskiej, ta „prywatność”, której nagle wyrastają olbrzymie skrzydła u ramion, wszystko to czyni z *Wesela* cud, szczególnie dotykający dla tych, którzy byli bliscy jego powstaniu. Rozważanie tego mechanizmu jakże niesłusznie bywa poczytywane za depoetyzowanie utworu. Mnie nawzajem razi owo „pietystyczne” banalizowanie *Wesela*, z jakim się nieraz spotykam.

Przyglądam się tedy dalej wymownemu rękopisowi. Tak, to musi być pierwszy rzut tej sceny. Przemawiałby za tym charakter poprawek. Np. z samego początku „*Salve, ojczy*” zmienia poeta na „*Ojczy, salve*”, aby tuż potem między dwa wiersze wsunąć wiersz, którego nie było: „przywdziewamy szarą barwę”. Typowy przykład asocjacji wywołanej rymem. Uderza pewność i samorzutność języka; żadnego wyszukania: poeta mówi tak, jak myśli mu się cisną. Charakterystyczne jest szukanie energii wyrażenia: ledwie napisawszy na przykład „społem to jest chłopska pięść”, natychmiast poprawia na „chłopskie w pysk” (ze sposobu poprawki widać, że powstała natychmiast, jeszcze przed napisaniem następnego wiersza). „*Obrazki częstochowskie*” poprawia na „malowanki częstochowskie”. Poza tym dążeniem do energii i prostoty, nie ma tu żadnego szlifowania formy; scenę tę wyrzuca z siebie tak, jak musiało być zwyczajnym temu poecie, którego dramaty powstawały w ciągu tygodnia.

Jeden wiersz zwłaszcza uderzył mnie w tym rękopisie, a to przez wspomnienie zabawnego epizodu, do którego dał powód.

W epoce *Wesela* Wyspiański był codziennym niemal gościem w domu prof. Pareńskich; z Elizą Pareńską lubił całymi godzinami rozmawiać, tj. właściwie głośno myśleć, bo to była jedyna prawie forma jego rozmowy. Tam czytał też fragmenty *Wesela*. Byli przy tej lekturze Rudolf Starzewski i malarz Jan Stanisławski. Wyspiański czytał dość niewyraźnie i tam, gdzie było w scenie Stańczyka z Dziennikarzem: „*lecisz oślep w własne próchno*”, słuchacze zrozumieli: „*lecisz ośle*”. Ponieważ pierwowzorem „*Dziennikarza*” był właśnie Starzewski — zwany w rękopisie „*Dolciem*” — zrobiło się słuchaczom trochę nieprzyjemnie. Zaczęły się narady, jak to Wyspiańskiemu powiedzieć, a wszyscy się go bali po trochu; bali się jego stalowego spojrzenia, jego uśmiešku i brzękliwego głosu, który umiał być bardzo ostry. Wreszcie — zdaje się — pani Pareńska podjęła się roli ambasadora. Nieporozumienie się wyjaśniło, Wyspiański nie tylko się nie pogniewał, ale nawet uśmieł się serdecznie i żeby już usunąć wszelki cień pomyłki, zmienił w ostatecznej redakcji ten wiersz na

oślep gnasz we własne próchno

i tak jest we wszystkich wydaniach, gdy w posiadanym przeze mnie rękopisie jest, jak załączona klisza świadczy:

lecisz oślepie w własne próchno.

Rys ten nie jest obojętny, gdy chodzi o zrozumienie stosunku Wyspiańskiego do figury Dziennikarza w *Weselu*. Czytało się na ten temat mnóstwo, ponieważ ta scena najbardziej się wiąże z polityką, więc najczęściej bywa potrącana, cytowana. W ogóle, z biegiem czasu i zależnie od zapotrzebowań politycznych, zachodziły przesunięcia w ocenie różnych figur *Wesela*, a najczęściej były one na niekorzyść dziennikarza... „Masz tu kaduceus polski — mąć nim wodę, mąć...” — te słowa brzmią w istocie gorzko. Zapomina się tylko o jednym: mianowicie że każda z tych scen II aktu jest właściwie monologiem, wizją własnej duszy; że to nie kto inny Dziennikarzowi, ale Dziennikarz sam sobie mówi te gorzkie prawdy. Otóż fakt, że ten człowiek na weselu, wśród gwarnej zabawy, ma taką wizję, takie sobie rzeczy mówi i tak się targa i chlószcze, świadczy, że Dziennikarza uważał Wyspiański za figurę najwyżej tam stojącą co do uświadomienia i wymagań stawianych samemu sobie, za jedyne z uczestników wolnego od zakłamania. Ironizując w ciągu akcji wszystkie prawie figury, Wyspiański nie ośmiesza nigdzie Dziennikarza. Zgadza się to najzupełniej z tłem osobistym: Wyspiański Starzewskiego i lubił, i cenił, i był z nim w przyjacielskich stosunkach, kiedy mu czytał tę scenę. Współcześnie rola, jaką Dziennikarz ma w *Weselu*, uważana była za zaszczytną; później dopiero zaczęto nią kręcić wedle politycznej potrzeby. W wiele lat po *Weselu* Jacek Malczewski, najbliższy przyjaciel Starzewskiego, zrobił jego portret, widocznie inspirowany *Weselem*: narzucił mu na barki kaptur z dzwonekami Stańczyka, jako zaś „kaduceus polski” dał mu w rękę laleczkę, z głową samego Jacka Malczewskiego też w błazeńskiej czapce.

Jest w tym wszystkim coś bardzo charakterystycznego dla ówczesnego Krakowa, tego jedyne w świecie miasta. Kraków ówczesny, to niby małeńki korpus z olbrzymią głową. Przy zupełnym braku innych przejawów życia, niezmiernie bujne życie artystyczne, intelektualne, czyniące to małe skądinąd miasto stolicą duchową dużego kraju. Stąd wynikała ta prywatność, niemająca chyba analogii: bez tej prywatności, trudno sobie wyobrazić powstanie *Wesela*. Bo spójrzmy: rozchodzi się wieść, że Wyspiański napisał sztukę o weselu Rydla, gdzie wpakował wszystkich znajomych; idąc na rękę „kaprysowi” artyście, teatr wystawia mu tę sztukę. Rodzina Rydlów zmienia afisz. Autor sam czyta swoją sztukę „Dolciowi”, który jest jednym z jej bohaterów i który potem będzie o niej pisał recenzję. Jest w tym coś z partykularza i — coś z Renesansu.

# ŻMICHOWSKA

## ROMANS GABRIELLI

### Magia przeszłości

Mogę powiedzieć, że wychowałem się pod znakiem Narcyzy Żmichowskiej. Matka moja jako młoda panna była jej uczennicą; potem, mimo różnicy wieku, serdeczną przyjaciółką. W listach swoich Żmichowska to wspomina o swej „projektowanej dla Wandy autobiografii”, to nazywa ją swoim najsilniejszym *życiowzbudzaczem*, który jej „zasnąć nie daje”, swoją „budzicielką” (*Listy*, II, 427). Była matką chrzestną mego starszego brata. Jeden mój brat miał na drugie imię Gabriel, drugi Narcyz. Matka moja całe życie gromadziła materiały do monografii o Żmichowskiej, gryząc się, że jej uwielbiana pisarka idzie w niepamięć. Ojciec mój najpiękniejsze swoje pieśni tworzył do słów Gabrielli. Na biurku ojca stało duże pudełko obite skórą, z przegródkami na kilkadziesiąt cygar, z monogramem N. Ż.; — była to pamiątka po Żmichowskiej. Jako malca intrygowała mnie ta pani, o której mówiono z taką czcią, a która paliła cygara; i to było najdawniejsze moje wrażenie.

Ale na kult Gabrielli byłem oporny. Jako mały brzdąc, byłem zdecydowanie antyromantyczny, antypoetyczny, szukający bezwzględnej, choćby brutalnej prawdy. Byłem w tym mniej daleki od Gabrielli, niż mi się zdawało; ale forma, w jakiej entuzjazm matki podawał mi do wierzenia jej kult, budził we mnie wprost przeciwną reakcję: zostałem wobec tego nazwiska zimny i nieufny.

W jakiś czas po śmierci matki ojciec, już bardzo podeszły wiekiem, odesłał mi wszystkie papiery po matce. Pochłonięty swoimi pracami, długo nie miałem czasu do nich zajrzeć. Kiedym to wreszcie uczynił, przekonałem się, że obok różnych szkiców matki do studium o Żmichowskiej znajduje się tam rękopiśmienna, niewydana korespondencja poetki, zwłaszcza zaś ogromna ilość listów jej do mojej matki. Jest jakiś tajemniczy fluid wydzielający się ze starych papierów. Od tego czasu wciąż niepokoiła mnie Żmichowska, czułem się jakby dłużnikiem wobec tych listów, których nie mogłem przeglądać bez wzruszenia.

Zapragnąłem poznać ich autorkę. Naiwnie poszedłem do księgarni: poprosiłem o pisma Żmichowskiej. Ofiarowano mi — pięć czy sześć popularnych broszurek o niej, ale pism ani śladu; ostatnie wydanie było w r. 1885! Zdało mi się to dziwne: „popularyzować” pisarkę, której dzieł nie ma sposobu przeczytać, oto nasz oryginalny sposób czczenia wielkich ludzi.

Obszedłszy daremnie księgarnie, udałem się do antykwarni. Za trzynaście złotych — widać popyt niewielki! — nabyłem cztery tomy pierwszego wydania jej pism, oprawne w brązowy półskórek, charakterystyczny dla epoki. Pieczętka świadczyła o pochodzeniu z księgozbioru Henryka Wohla. Pamiętałem owego Henryka Wohla z Zakopanego z domu rodziców, gdzie z szacunkiem wymawiało się jego imię z dodatkiem: „sybirak”. Mnie, smarkaczowi, wydawał się bardzo nudny. Może i był nudny? Pamiętam, jak raz matka, która podlegała nerwowym śpiączkom, zasnęła w czasie jego wizyty. Ale teraz ucieszyłem się tą pieczętką: książka nabrała dla mnie nowej emocjonalnej wartości. Przeczytałem od deski do deski wszystko: jedna z moich uprzejmych czytelniczek, dowiedziawszy się, że szukam Żmichowskiej, przesała mi pełniejsze wydanie z r. 1885; ktoś inny dostarczył mi trzech wielkich tomów korespondencji. Przeżyłem dość długi czas w najbliższym obcowaniu ze Żmichowską. Poznałem ją nareszcie, tę, o której — jakże teraz tego żałuję! — od matki nie chciałem nic słyszeć. Poznałem ją od dziewiętnastoletniej dziewczyny, gdy jako nauczycielka w domu Zamoyskich dostaje się do Paryża i ciekawym a odważnym spojrzeniem wodzi po świecie, aż do ostatnich jej dni, jakże smutnych, jakże bolesnych, gdy raz po raz wydziera się jej westchnienie do wybawicielki śmierci...

Atmosfera! Atmosfera!

Przejął mnie tragizm tego życia: tragizm Polski, człowieka, kobiety, pisarki; tragizm skryty pod niewdzięczną czarną suknią starej panny i nauczycielki. Mniej to „tworowy” kostium, niż szlachetne fałdy romantycznego płaszcza! Znamy tragizm doli naszych

wielkich, którzy całe życie spędzili na wygnaniu, nie zawsze tak srogim, jakby się zdawało („Z ojców mych ziemi przez wroga wygnany, deptać musiałem — salonów dywany”... tak parodiował skargę Kraszińskiego — „deptać musiałem [...] obcych ludzi łany” — Słowacki); ale Gabriella przeszła inną tragedię, tragedię tych, co zostali w kraju, co przeżywali nie w wielkich rzutach poetyckiej transpozycji, ale w codziennych smutkach, żalobach, szykanach, udrękach, poniżeniach, brakach, męczeństwo niewoli, jej szarpań, zrywań, męczeństwo tych okropnych lat. I widzimy, niemal dzień po dniu, jak zjada tę poetkę straszna rzeczywistość.

W tych momentach dość zrozumiałe jest, że Gabriella pyta sama siebie,

„(...) czy grzechem nie jest autorstwo? Mnie się przynajmniej zdaje, że już dosyć prawdziwie pięknych napisano książek, teraz czas je w czyn zamienić i czynem iść tak daleko — tak daleko — aż się życie z książką zrówna”...

„(...) trzeba odłożyć na bok wszystkie delikatne wstręty, a wziąć się z życiem w zapasy gołymi rękoma, choćby tam sobie palce krwią lub błotem zwałac miał kto kiedy”...

Talent staje się zbytkiem, niemal nieprzyzwoitością: poetka staje się wyrobnicą dnia powszedniego, bo poezja nie na czasie wobec bezliku roboty, do której trzeba rękawy zakasać. Weźmy w rękę jej pięciotomowe wydanie: utwór, który je zaczyna, to *Szczęście poety*; kończy je *Rzecz o służących*. Oto dwa bieguny tej żalostnej drogi.

Nie wystarczało śpiewać, no i nie było wolno... Podczas gdy nasi wielcy wodzili się na emigracji za łby o rząd dusz, inne były w kraju zadania dla poety! Raz po raz trzeba decydować, trzeba radzić, trzeba być osobiście tam, gdzie się posyła innych. W 46. roku Narcyza przekrada się jako emisariuszka do Galicji i nocując w karczemce wiejskiej, słyszy rozmowę chłopów, która przeraża ją swą nienawiścią i daje jej wstrząs moralny na całe życie. W 49. dostaje się na półtrzecia<sup>27</sup> roku do więzienia. Kiedy wychodzi z celi, wyznaczają jej mieszkanie w Lublinie, z dala od życia intelektualnego. Aby żyć, zostaje nauczycielką; autorka *Poganki* drepce po błocie lubelskim za lekcjami, z tym uczuciem, że rodacy odwracają się od niej jak od zapowietrzonej, bo stosunki z nią kompromitują w oczach władzy. Pisać — dla kogo, o czym? Cokolwiek się napisze, będzie za mało dla potrzeb serca, za wiele dla cenzury. Pisać o czymkolwiek innym, niż o palących nakazach chwili, czy to nie zbrodnia, nie marność? Kiedy od czasu do czasu zrywa się do pisania, utwory jej po parę lat zalegają w redakcjach, wychodzą pokiereszowane. Trzeba umieć czytać Żmichowską poprzez skrępowanie słowa. Do tego poziom umysłowy społeczeństwa — a los skazał ją na bliższe zetknięcie ze sferami ziemiańskimi — fatalny; poziom moralny jeszcze niższy. Ta noc między rokiem 31. a 48., między 48. a 63., to coś przerażającego. W porównaniu do tej egzystencji Gabrielli, życie Zygmunta czy Juliusza na obczyźnie jakże wydaje się bujne!

Ci, którzy są jej bliscy duchem, są rozproszeni. Stąd ta ogromna korespondencja, w której pisarka wypowiada się, niewątpliwie z uszczerbkiem swej twórczości. Raz po raz zresztą ktoś ubywa: Edward Dembowski ginie od kuli austriackiej, Jurgens w cytadeli, ten i ów zesłany na Sybir, ten i ów — co stokroć boleśniejsze — ugina karku i przystosowuje się. To znów palące kwestie polityczne rozdzielają najbliższych. Różnica poglądów na rok 63. pozbawia Narcyzę na zawsze najserdeczniejszej przyjaciółki.

Brak książek, to jej rozpacz. Ta wychowana na pensji — co to była za nauka! — dziewczyna całe wykształcenie zdobywa sobie sama: „(...) najobfitszy w księgi był mój pobyt w Paryżu (...). Najlepsze do nauki lata zeszyły mi na wsi, w takich zakątkach, że na trzy domy trzymano jednego »Kuriera«; wśród takich ludzi, że na dziesięć głów było dwadzieścia jedna głupich, a dwie, licząc w to moją, nieświadomych”...

Pracuje nad sobą całe życie. Już jako niemłoda kobieta, poznawszy Darwina i inne dzieła owej epoki, przebudowuje swój światopogląd doszczętnie. Ale z jakimż to trudnościami przechodzi:

„(...) przy poczciwym sercu okropna u nas bezwiedza i brak wszelkiego naukowego wykształcenia, a trudność o książki taka, że zwykle możliwość pojedynczych osób nabycie ich przechodzi (nie mówiąc o zabronionych)”...

<sup>27</sup> półtrzecia (daw.) — dwa i pół (trzy bez połowy). [przypis edytorski]

Kobieta, Mężczyzna,  
Emigrant, Polska, Polityka,  
Poeta, Poetka, Sztuka,  
Wygnanie

A gdzie indziej jeszcze boleśniej:

„Usprawiedliwią nas kiedyś, żeśmy w Warszawie od r. 1846 tak liche mieli piśmiennictwo — zdaje mi się, jakobym czytać zapomniała, nigdy o ważnego dzieła nie usłyszy się tytule, żadnej książki rozgłosnej, bo tu rozmowy cichym głosem się prowadzą, i nawet rozmów cichych niewiele (...).

(...) gdyby jakaś religijna wiara przeciw rzeczywistości w sercu nie świadczyła, to by już dawno zwątpić przyszło o tej sprawie, której tu u nas przynajmniej trochę tylko kobiet i trochę studentów lub bardzo mało młodych ludzi broni. Istotnie, nie znam w królestwie człowieka, co by po 40 latach w najkamienniejszą apatię nie zapadł (...).”

A gdzie indziej woła: „Atmosfera! atmosfera!”

I w tej atmosferze, ucząc dzieciaków po wsiach u swoich krewnych — poza czasowymi pobytami w Warszawie — strawi życie ta kobieta umysłem, duszą przerastająca jakąś pannę de Lespinasse, George Sand czy Colette, a mająca z każdą z nich coś pokrewnego.

Królowa pszczół

Piotr Chmielowski w swoich *Autorkach polskich XIX wieku* robi bardzo interesującą uwagę. Stwierdza mianowicie wpływ, jaki — poza wielką katastrofą — wywarł rok 1831 na ukształtowanie się codziennych stosunków w kraju. Kwiat mężczyźni wyginął lub musiał wyemigrować; z czego wynikły dwie konsekwencje. Jedna, że ubyla bardzo znaczna ilość kandydatów na mężów, co musiało zwiększyć kontyngent niezamężnych panien, w społeczeństwie obciążonym równocześnie nadmiarem wdów. Druga to, że siłą ubytku tego, co było wśród mężczyzn najlepsze, musiały się zmienić proporcje moralne: w stosunku do tych, co zostali, poziom kobiet był o wiele wyższy. Z tego wynika rodzaj *matriarchatu*, a raczej *amazonstwa*: ster duchowy przechodzi w ręce kobiet, koło nich grupuje się wszystko, co zostało lepszego. Zarazem kobiety, mając do wyboru ten lichy materiał, zaczynają się niechętnie odnosić do małżeństwa; niejedna woli raczej się go wyrzec niż zniżyć się do kompromisu. „Bianeczko, nie skazuj jej na zamążpójście” — pisze Narcyza gdzieś w liście do serdecznej przyjaciółki, Bibiany Moraczewskiej. Ale nawet te, które wyjdą za mąż, patrzą na swoich „zjadaczy chleba” z odcieniem politowania, szukając gdzie indziej doskonalej spójni duchowej. Zadzierzgają się egzaltowane, czasem namiętne przyjaźnie między kobietami. „Posiesterzenie” — wedle wyrażenia Żmichowskiej — uważane jest za najdoskonalszy objaw uczuć. W pewnej epoce rozkwitu „entuzjastek” — jak nazywały same siebie — Polska wygląda na rodzaj ula, w którym Gabriella jest królową pszczół, a mężczyźni — nawet ci niezgorsi — robią wrażenie trutni. Mąż jednej z entuzjastek, dobry „Hipa” Skimborowicz, mawiał filozoficznie do żony: „Bo wy się w swoich przyjaciółkach wykochacie, to wam już dla mężów miłości brakuje”.

Amazonki te miały rozmaite kategorie. Najszlachetniejsze i w istocie niepospolite, to *entuzjastki*; bledszym ich odbiciem są późniejsze *emancypantki*, a światową ich parodią — *lvice*, które wzięły z nich tylko najbardziej zewnętrzne cechy: palenie cygar, krótkie włosy, swobodę w wypowiedzaniu sądów itd.

W ten egzotyczny świat „entuzjastek” musi wejść, kto chce znaleźć klucz do najpoufniejszych przeżyć Gabrielli. Nawiasem mówiąc, zawsze mnie uderzała pewna dysproporcja między traktowaniem kobiet a mężczyzn w tej mierze. Wynika to może stąd, że historię literatury robią albo nadają w niej ton mężczyźni, którzy wyżywają się w amorach wieszczów, kochają się po trosze w ich ideałach. Znamy każdy niemal włos Maryli czy Delfiny, a cóż wiemy np. o panu Orzeszku, który zламаł serce Elizie i wypromował ją może pośrednio na znakomitą pisarkę? A czyż byłby dziw, gdybyśmy byli ciekawi wiedzieć, czym żyło serce autorki *Poganki*, najnamiętniejszego — nie tylko na swoją epokę — w naszej literaturze utworu, porywu zmysłów i wyobraźni, który na swój czas był istną „przybyszewszczyzną”?

To też, kiedy mi wpadło do rąk interesujące studium prof. Manna o *Pogance*, zajęły mnie bardzo związki, jakie uczony profesor snuje między tą powieścią-poematem i przeżyciami osobistymi autorki. Nie on pierwszy domyśla się pierwowzoru Aspazji. Już

wydawca listów do Tekli Dębskiej (1890) podstawia nieśmiało — z uwagą, że „przypuszczenie to już robiono” — prawdziwe imię pod bohaterkę *Poganki*. Ale wówczas jeszcze nie istniał ów III tom korespondencji poetki (wydany w r. 1906), który tak wiele rzuca światła na jej życie wewnętrzne; z niego to czerpie dowody prof. Mann. Nie tylko wynika stąd, że młody i piękny Benjamin z *Poganki* jest poetką transpozycją samej autorki, ale że bezpośrednią pobudką tego utworu był romans (bo to był romans, o wiele autentyczniejszy niż ten, który dostarczył Słowackiemu wątku do jego miłosnego poematu) między Narcyzą a drugą kobietą. Najnamiętniejszy poemat zrodził się z romansu między dwiema kobietami. Natchnienie i bohaterka *Poganki*, ta, która dała początek figurze Aspazji, zwała się Paulina Zbyszewska.

Paulina-Poganka

I ja tedy rozciekawiony przewertowałem całość wydanych drukiem listów Żmichowskiej<sup>28</sup>, biegnąc za śladem romansu, który wzbogacił naszą literaturę o jedno arcydzieło. I podziwiałem nierówność losu, który dał nieśmiertelność tylu gąskom kochanym przez poetów, a skazał na zapomnienie tę, której Gabriella nie waha się nazywać „kobietą genialną”. Kto więc była Paulina?

Była to córka bogatego ziemianina, utalentowana, wykształcona, muzykalna. Śpiewała jak artystka, komponowała. Znała całą Europę, słuchała w Paryżu wykładów Micheleta, w Berlinie Hegla. Mówiła płynnie kilkoma językami. Rozprawiała o ekonomii politycznej równie biegle jak o sztuce; nie mniej dobrze знаła matematykę, nauki przyrodnicze itd. O wszystkim sądziła śmiało i wymownie. Arystokratka z upodobania i narowów, była demokratką z przekonania. Kokietowała ze wszystkim: w czasie pobytu w Tyrolu nawróciła ją „Stygmatyzowana”; w Rzymie przeszła na jakiś czas na wiarę Walerego Wielogłowskiego. Rzykantka przy tym i śmiała, nie wahała się angażować czynnie w konspiracyjne roboty, które ją, równocześnie ze Żmichowską, zawiodły do więzienia w Lublinie. Ale zapalna z pozoru, była zarazem naturą raczej zimną, niepojmującą, że może coś istnieć poza jej kaprysem. Takie — może niesprawiedliwe — wyobrażenie tworzymy sobie o Paulinie. W jej piękne rączki dostała się młoda nauczycielka-poetka, ciesząca się już w kraju pewnym rozgłosem pod pseudonimem Gabrielli, wyznawczyni „posiesterzenia” jako najwyższej formy uczuć. Miała wówczas lat dwadzieścia pięć.

Poznały się, przypadły sobie do serca i świetna panna porwała ubogą nauczycielkę do siebie na wieś, do Kurowa. Pobyt ten musiał się Gabrielli wydać rajem; atmosfera zbytku, kaprysu, marzenia, inteligencji, sztuki, Europy, cóż za oaza w porównaniu z domami, w których przypadło jej bakalarzować dotąd. Wspólnie czytają, myślą, tworzą:

„Jednego wieczora — pisze Narcyza — wkrótce po moim przyjeździe, siadła Paulina grać i śpiewać, zaczęła myśl swoją, a mnie jakoś w tej chwili dane było ją zrozumieć, więc słowo po słowie wymówiłam jej każdą nutę, ni by po dyktowaniu, i z tego wszystkiego złożyła się pieśń, w samych wyrazach niewiele mająca ozdoby, ale łącznie z dźwiękiem tak przedziwna i piękna”...

Nawzajem dla Pauliny, cóż za „stacja odbiorcza”, cóż za audytorium ta subtelna, inteligentna i entuzjastyczna Gabriella! Jak egzaltowana musiała być ta przyjaźń — zwłaszcza ze strony Narcyzy — świadczy fakt, że kiedy Paulina dostaje róży na twarzy, wydaje się przyjaciółce „jeszcze piękniejsza”.

Ale o sile tego uczucia możemy wnioskować dopiero z ciosu, jakim było zerwanie. Bo ta idylla się zmaciła. Czym, w jakich warunkach? — tajemnica. Narcyza oskarża siebie: „Cierpiałam i płakałam, bo złe z mojej własnej wypłynęło winy. Zgrzeszyłam ciężko... Wiele złego zrobiłam, Bibianno”... — spowiada się drugiej przyjaciółce. Ale oskarża i innych: „Prawda, że i złemu przyjrzałam się z bliska dotykalnie, prawie stanęło mi na drodze, a tak nikczemne, albo takie okropne, że aż dusza wyschła obrzydzeniem i oburzeniem”...

Co zaszło między dwiema kobietami? Czy Narcyza pokochała za mocno i namiętna jej miłość stała się kapryśnej pannie ciężarem? Czy dokuczyla jej zazdrością, która (wedle

<sup>28</sup>wydane drukiem listy Żmichowskiej — wszystkie cytaty wzięte są z tych drukowanych listów. [przypis autorski]



własnych jej wyznań) stanowiła „ciężką jej wadę”? Dość, że Paulina — jeszcze chora zresztą — o ile przedtem żyć bez Narcyzy nie mogła, o tyle teraz nie może patrzeć na nią, na jej widok „dostaje spazmów”. Żmichowska opuściła Kurów z raną w sercu. Cios był tak bolesny, że długo o nim mówić ani pisać nie może. To było dla niej cięższe niż śmierć ukochanego brata:

„(...) od tego czasu daleko dotkliwsze straty — dotkliwsze, bo od ludzi nie od Boga, od grzechu nie od świętości (...)”.

„Gdybyście wiedziały — pisze do przyjaciółek — w jak okropnej chwili doszedł mnie wasz list — cierpiałam tak okropnie, że aż zła byłam: och, to jest cierpienie ze wszystkich najokropniejsze (...)”.

Aż wreszcie, w kilka miesięcy po fakcie, wypowiada się ukochanej Bibiannie Moraczewskiej:

„O najokropniejszym przejściu życia mojego z najzimniejszą krwią mogę mówić jak o patologicznym zjawisku, jak zdrowy o chorobie, jak wyratowany o niebezpieczeństwie, jak szczęśliwy o cierpieniu... Czy ja ją kochałam? Pamiętasz zapewne, ale tak się kochać nie godziło — więc po złem kara — co ona biedna winna temu, że jej w chwili uniesienia wszystko podobnym się zdaje, że ja chwili jej uniesienia wierzyłam, że wzięwszy życie moje jak ćwiartkę papieru, zaczęłam z niego arabeski podług jej fantazji wycinać, i że gdy powycinałam (Bóg widzi, czasem nawet z krwawymi serca kawalkami), stałam się wzajemnie wymagająca, kiedy już do niczego prawa nie miałam, bo Paulinie się zdawało, że moją duszę od kartki do kartki przeczytała. Wielka to jest czytelniczka ta Paulina, czyta zawsze i wszędzie, kiedy się uczy i kiedy kocha, a kiedy gra, to przypomina sobie. Nie wypuszczaj też z uwagi jednej maleńkiej okoliczności, że Paulina jest genialną kobietą, łatwiej mnie wytłumaczysz, ją zrozumiesz wtedy. Z geniuszem pierwszy raz w życiu do czynienia miałam, zmierzyłam go moją poziomą miarą, uwielbiłam, ukochałam, ale na koniec chciałam być także najlepiej, najwyłącznie kochaną — kiedy mi Paulina ze swoją biegłą dialektyką zaczęła dowodzić, że to jest wielkie głupstwo, mnie się coś w mózgu przewróciło i doprawdy poczułam, że w sercu także coś przewracać i psuć się zaczyna. Zwiąż z chwilami, w których nas razem widziałaś, prawie bez przejścia żadnego, ową chwilę, w której dowiedziałam się, że mnie Paulina kocha — ot, jakby to powiedzieć? na piąte koło u woza. Dodaj przy tym jej zwykły sposób postępowania, dla najukochańszych tak drażniący niekiedy — a cóż dopiero dla niekochanych już — a jej duma, szatańska duma, zdaje się, że ci chce czoło w piasku rozgnieść...

Ja, co ci się przyznam, że pomimo gorzkiej dzieciństwa szkoły, nic a nic się przeciwko dokuczaniu zahartować nie umiałam — ja myślałam, że oszaleję... Uściskałam na pożegnanie raz ostatni moich lepszych wspomnień Paulinę, z płaczem siadłam do bryczki — Maria z chrześcijańskiej litości odwiozła mnie na pocztę, poczta steinkellerka nie wiem po co do Warszawy zatoczyła, Wincenta w Warszawie znalazła jak rzecz jakąś martwą i beużyteczną”.

Powiedzcie: czy to nie Musset po wyjeździe z Wenecji? I wyznaję szczerze, bardziej wierzę w tragizm i prawdziwość ciosu, jakiego doznała Gabriella — tej choroby, po której „zostało się jej coś niezdrowego w sercu” — niż w wiele innych romantycznych miłości poetów. I była jedna różnica. Poeta ze złamanym sercem może się stroić w swoje nie-szczęście jak w pióropusz, może je opiewać, okrzyknąć, rozślawić; — tutaj ta straszliwa miłość czuje instynktownie, że jej się kryć potrzeba, miesza się do niej jakiegoś uczucie wstydu.

Z Pauliną pozostały zimne stosunki towarzyskie. W kilka lat potem, wskutek przejścia dawnej korespondencji, obie dostały się do więzienia. Tam znów nastąpiło zbliżenie — przez mury więzienne. I pisze Narcyza do innej przyjaciółki, do uwielbianej Anny: „Wszakże temu anielskiemu sercu wspomnienie Pauliny przy moim wspomnieniu w niczym zawadzać nie będzie; ty wiesz, że *Lina to mój los, to moja historia*”...

Paulinę wypuszczono z więzienia rychło. Wstawił się za nią do Paskiewicza sam marszałek szlachty, hr. Jezierski. Powołał się na zasługi jej ojca tzn. na lojalne stanowisko, jakie zajął wobec Rosji w czasie powstania w r. 1830. Narcyzę przetrzymano w celi, w ścisłej samotności, przeszło dwa lata.

Widzimy więc, że „posiesterzenie, ta najdoskonalsza forma przyjaźni”, mogło wydawać prawdziwe dramaty miłosne — i mogło potężnie zapładniać dusze cierpieniem. Bo w rok po tych wypadkach powstaje *Poganka*. Uboga nauczycielka, „stara panna”, zmienia się — przy zachowaniu wielu zewnętrznych okoliczności — w młodego, czarującego pięknnością Beniamina, który dostaje się w sidła olśniewającej „poganki” — tak czasem nazywała w listach Żmichowska Paulinę — aby wyjść z nich złamany, z rozdartym sercem, ze zmarnowanym życiem. Ale nie jest to jedyny ślad Pauliny w dziele Żmichowskiej: odnajdziemy jej rysy w Marii-Reginie, owej promiennej i złowrogiej egoistce z *Książki pamiątek*; znajdziemy może dzieje jej młodości w *Białej róży*.

#### Nieco psychofizjologii

Czym był dla biografów Gabrielli ten epizod? Ot, egzaltowaną przyjaźnią między pannami, czymś niewartym uwagi. Ale czyż dziw, że nam, wychowanym w epoce Freuda i Prousta, przedstawiają się te sprawy cokolwiek inaczej, że nas musi zastanawiać środowisko, dające ten kierunek egzaltacji uczuć? Te klany namiętnych przyjaźni kobiecych, te męskie typy kobiet, te dobrowolne — jak u Pauliny, bogatej i świetnej panny — rezygnacje z małżeństwa, nastroczają pytania, które dawniej wydawałyby się bluźnierstwem. Nie znaczy to, abym te najszlachetniejsze „entuzjastki” pomawiał o coś grzesznego: wszelkie uczucia mogą być przeanielone. Nie wiem, czy ktoś zwracał uwagę na to, że anioły — te prawdziwe, w niebie — żyją miłością wyzutą z różnicy płci... są zasadniczo homoseksualne... Nic więc dziwnego, że zaciekało mnie uczuciowe życie Narcyzy i że pod tym kątem przewertowałem jej drukowaną korespondencję, wydaną zresztą zapewne, tak jak się wydawało listy, z obcięciami i opuszczeniami. Miałem przy tym uczucie, że kładę rękę na głowie Narcyzy i że ta mądra, biedna kobieta spowiada mi się jak mała dziewczynka.

Była nieładna. Oto, co tłumaczy wiele w jej życiu. Nie bierzmy może dosłownie tego rysopisu, który sama podaje bratu Erazmowi: „*le nez gros, la bouche ordinaire, la taille de trois ou quatre pieds de haut, en un mot, c'est un petit monstre que ta soeur Narcisse* (nos gruby, usta pospolite, wzrost trzy lub cztery stopy, słowem to mały potworek ta twoja Narcyska”); ale te utyskiwania, że jest nieładna, niesympatyczna, „nie pociągająca zmysłowo”, powtarzają się w jej listach często. Będąc do tego ubogą nauczycielką, a mając naturę subtelną i wrażliwą nie tylko na przymioty duszy, ale i wybredną estetycznie, czyż mogła marzyć o człowieku, który by jej w całej pełni odpowiadał? Kompromisu zaś nie uznawała. Od młodu więc serce jej uczyło się żyć surogatem. Miłość do brata to pierwsze jej namiętne uczucie. Tu może jej kochające serce oddać się z całym wylaniem, nie lękając się, że będzie odepchnięte lub zdeptane. Musiała ta miłość do brata, z którym zresztą, poza rzadkimi momentami, całe życie była rozłączona (Erazm po roku 1831 emigrował do Francji), być niezwykle żywa, skoro aż ciotka uważała za potrzebne przestrzec dziewiętnastoletnią pannę:

„Śmiać mi się chciało nawet, jak wujenka Józefowa opowiadała mi historię w guście Renégo Chateaubrianda, by mnie przestrzec nieznacznie, że siostra w bracie pokochać się może — ja temu bynajmniej nie przeczę i gdybym miała tylko jednego z was bratem, to bym już głowę za nim z miłości traciła — lecz ja mam trzech takich, że o każdym z osobna mogłabym przysiąc, że go najlepiej kocham i o każdym bym prawdę powiedziałam”.

Istotnie, wyżycie się miłosne jest w listach do Erazma takie, że czytając, można by mniemać, że to pisze kobieta do najdroższego kochanka:

„Wieczór jest, mój miły, i na ustach twoich składam dwa najtkliwsze pocałunki z życzeniem dobrego wieczora. Dzięki ci stokrotne za twoje nocne marzenia, może to przesądem nazwiesz, ale w ten dzień, gdy pisałeś po przebyciu przykłej migreny, jak najwdzięczniejsze we śnie miałam widzia-  
dła. Zgadnij też, co to było lub kto to był raczej. Ach! ta niedziela, kiedyż

nadejście... Erazmie, mój Eraziu, mój najdroższy Eraziu, widzisz, jaka ja szalona, cały list zabazgrałam twoim imieniem, nie pomnąc nawet, że można co innego pisać...”

A ten Erazm, to nie jest jej najukochańszy brat; to raczej jej mistrz, nauczyciel, przewodnik; bliższy od niego jest jej sercu drugi brat, Janusz...

Oto listy miłosne, jakich biedna Narcyzka nigdy do nikogo nie pisała! To serce tak namiętne, tak stworzone do kochania, ta natura tak gorąca, tak zmysłowa nawet, nigdy nie znalazły dla siebie ujęcia. W dwudziestym piątym roku spotkała Paulinę; czy ta miłość znów była surogatem, czy też była dla Narcyzy objawieniem istotnej jej skłonności, dość że rzuciła się w nią z całym szaleństwem, z całą namiętnością; — to była jedyna chwila, gdy zamarzyła o pełni życia, o tym, by kochać i być kochaną. Dostawszy od swego „losu” okrutną lekcję, zwinęła się w sobie na zawsze. Znajdzie pociechę, jakże niepełną, w przyjaźni.

#### Miłość-przyjaźń

Z obszaru i tonu jej korespondencji możemy wnosić o jej głodzie kochania. Kiedy się czyta jej list do którejś z przyjaciółek, można by mniemać, że to jedyna wielka w jej życiu przyjaźń, tak żywe i tak głęboko szczere są jej objawy: i oto widzimy, że ta przyjaciółka, to jedna z wielu, z którymi była równie silnie spojona. I każda ma swój odcień w jej sercu. Anna, Kazimiera, Bibiana, Wincenta, Krzysia, Antosia, Józia, Marynia, Fochna, Mija, Fela, Ella... ileż imion liczy ten olbrzymi indeks *amitié amoureuse*! Cóż za motor to serce, zdolne tyle serc ogrzać i opalić! Wyznaję, że czytałem te listy cokolwiek po prokuratorsku, szukając w nich śladu wszystkiego, co by mi mogło objaśnić sekret wielkiej pisarki: „Całuję śliczne ząbki twoje” — pisze ta dwudziestosiedmioletnia panna do Bibiany. „Pięknych oczu Matyldy nie zapomniałam, choć tyle rzeczy zapominam”. — Andzi „za widzeniem każdy paluszek z osobna pocałuję”. Wreszcie do Anny, najbardziej „obciążające”:

„Całuję białe, giętkie, cienkie paluszki twoich obydwóch rączek; całuję podeszewki rozzutych nóżek twoich”. Podpis „Siostra pokorna”.

Ładna jest — późniejsza znacznie — jej przyjaźń miłosna z ową Ellą „wysoką, urodną, z grubą koroną ciemnych włosów nad czołem”. Ale to już nie Paulina...

„(...) tak mi tęskno i żądno do owej cichości — pisze Narcyza — jak może nigdy żadnej zrozpaczonej kochance nie było, chociaż ja nie zrozpaczona i nie kochanka — (tylko trochę twoja — ale to do rozpaczy nie doprowadza wcale — owszem — mogłoby do szczęścia prowadzić, gdyby nie pólśiódmej<sup>29</sup> przeszkody)”...

A w innym liście, bezinteresownie:

„Obyś! — nie, to nie będzie zwyczajowe życzenie, to będzie moje pod największym sekretem do ucha twego szepnięte, obyś w tym roku, chociaż na dwadzieścia cztery godziny, chociaż na jedną godzinę — oszalała z miłości”.

„To wiem jedynie, że muszę mieć aby jedną dobę twego życia — dzień i noc. Noc dobrze za dwunastą godzinę przeciągniętą — tak jak to było w twoim salonie przy stoliku — ach! wtenczas jeszcze nic a nic nie wiedzieliśmy o sobie — proste ogólniki — dzisiaj wiemy bardzo mało, ale mi się zdaje, że coraz więcej dowiadywać się będziemy. Wszystkiego nie powiem i ty mi nie powiadaj. Śliczna to rzecz, śliczne chwile, póki się ludzie ciągłych nowości dowiadują o sobie. Nie uwierzysz, jak ja kocham, zupełnie naddatkowym kochaniem tych, których ciekawa jestem, — ma się rozumieć, nie na przeczytanie w książkowym znaczeniu, ale na surprzyzy, niespokojności, zdziwienia”...

Takie skarby świeżości zachowała ta czterdziestoosmioletnia znękana kobieta, a serce to najodważniej, najnaiwniej — można rzec — wypowiadało się, kiedy mówiła do przyjaciółek jak ona niezamężnych.

<sup>29</sup>pólśiódmej (daw.) — sześć i pół (siedem bez połówki). [przypis edytorski]

„Kochać, tak kochać, żeby się nawet bez równoważnej obyc wzajemności — żeby być szczęśliwą przez siebie, w sobie, bez cudzego stracenia. Lękam się jednak ciągle, żebyś słów moich zbyt mistycznym nie przeładowała znaczeniem — ja tu mówię o najrzetelniejszym użyciu szczęścia i przyjemności. Wyobraź sobie śliczną postać rycerza lub paza — mniejsza o to — kiedy patrzysz na niego i widzisz, i czujesz, że jest piękny, co ci ma na tym zależeć, czy umyślnie dla ciebie pięknym się urodził — a kiedy skiniesz na niego i przyjdzie — co ci pytać, gdzie szedł pierwszej”...

Jako pasja kochania, przywodzi mi Gabriella na myśl pannę de Lespinasse. A to wszystko to tylko drobna moneta serca: cały ogrom swego uczucia przeleje w sprawę, w naród, w społeczeństwo. I całą swą twórczość będzie tłumaczyła miłością:

„(...) ja ci powiem, że i taką lichą autorką bym nie była, gdyby mi się czasem do wyłączonego szalonego uczucia serce nie zrywało jak ptak do wschodzącego słońca. Ale moje serce na błyskawicach musiało poprzestać, bom się urodziła nieładną, nawet w pewnych chwilach brzydką — urodziłam się niesympatyczną, nie dość pociągającą zmysłowo — a nie wypracowałam znów w sobie tak wysokiej perfekcji, żeby aż nad ujemnością zmysłowego pociągu zapanowała (...)”.

„Deficyt”

A gorycz niezaznanej miłości obciąża się jakże boleśnie tym, że Gabriella przypisuje owemu „deficytowi” braki swej twórczości:

„No, nie warto dalej się spowiadać, dość na tym, że nie byłam w całym ciągu życia mojego, ani na 24 godzin, ani na jedną godzinę nawet wzajemną miłością kochana — dlatego dzisiaj nic już napisać nie mogę, bo mi na każdym kroku w pewnych danych — deficyt. Całe szeregi, całe kategorie są dla mnie niezrozumiałościami — mogę o nich tylko z wierzchu, nie ze środka mówić (...)”.

I zdaje się, że ta głęboko mądra, a tak szczerza z sobą kobieta ma słuszość. Ten „deficyt” istotnie wyczuwamy już w namiętnej *Pogance*: cały okres współżycia Beniamina z Aspazją jest ujęty raczej „z wierzchu” niż ze środka. A jeżeli w pismach Gabrielli wszystkie niemal utwory (*Książka pamiątek*, *Biała róża*, *Kasia i Marynka*) pozostały niedokończone, to może dlatego, że przychodzi pewien moment, gdzie by trzeba podsumować dane pozycje i że paraliżuje w tym autorkę „deficyt” przeżyć własnych? Jest w tych niedokończeniach jakaś wzruszająca uczciwość wobec siebie: tragedia kobiety komplikuje się tragedią autorki.

Jest może i coś więcej, coś innego. Powieść — „normalna” powieść — to perypetie mężczyzn z kobietami. Otóż ta kochanka Pauliny, tkliwa przyjaciółka Elli, Bianki itd., czuła naprawdę — tylko kobiety. Beniamin jest nieco konwencjonalną transpozycją samej autorki; w romantycznym jeszcze stylu *Poganki* to uszło; ale później, gdy Żmichowska oddaje się bardziej introspekcji psychologicznej — a w psychologii kobiety — panny raczej — jest ona mistrzem — brak ten tym silniej daje się uczuć. Jedynie kobiety żyją w jej książkach. Weźmy *Książkę pamiątek*; te dwa niezapomniane typy: Helusia i Maria Regina, a wśród nich ten nijaki Ludwik! Weźmy II część *Białej róży* i tę niemal „pikantną” scenę, w której biorą udział trzy kobiety: piękna Augusta, poważna Urszula i subretka Salusia. Urszula to sama Gabriella, nie ma wątpliwości; i nie bez wzruszenia, znając jej osobiste dzieje, podchwytujemy to bolesne wyznanie:

„— Wykochałam całe serce, aż do dna: nic mi już dla nikogo wśród ludzi na drugą ofiarę nie zostało.

— Więc może kochałaś trochę zanadto, Urszulo?

— Prawda, że bez targu — nie umiałabym na łokcie mierzyć — ale wiem, że kochałam po granice szaleństwa i hańby: tej linii demarkacyjnej nie przeszłam...”.

To nieszczęśliwa kochanka Pauliny mówi jej ustami, gdy mówi, że wyżyła „pierwszą i ostatnią, jedyną wyłączną miłość swoją”.

I kiedy wchodzi na scenę ów „kuzynek Moryś”, czuć, że autorka nie bardzo wie, co z nim zrobić, i — powieści nie kończy. Gdyby powieść mogła się rozegrać między tymi trzema kobietami, powstałoby zapewne arcydzieło. Ileż ognia, ileż miłosnej niemal obserwacji wlała Gabriella w ten portrecik subretki:

„Salusia miała trochę zadarty nosek, czarne oczy, świeże i pełne usteczka, a płeć bodaj czy nie zanadto po cygańsku śniadą; wcale to jednak nie raziło w jej powierzchowności, i owszem, przy tej azjatyckiej cerze jeszcze wydatniej rozkwitały pełne czerstwości, żywe jak kwiat granatu rumieńce, a przy tych rumieńcach, znowu lekko sinawe półkola pod oczami zakreślone zdawały się być dla podwyższenia blasku pryskających płomykami spojrzeń umyślnie i z wielką starannością przez jakiegoś znakomitego malarza odcieniowane. Po obu stronach tak bogatej kolorystyką, nienagannej też i rysunkiem twarzy, spadały dwie, nie dość duże, jedwabisto-lśniące, lecz za to grube, gęste i prawie granatowo-czarne plecionki; spod tych plecionek wysuwały się ogromne burgundzkie perły przy złotych kolczykach, raz naraz od szybkich rzutów głowy drgające smugami mlecznej jasności, która niekiedy aż na szyję się osuwała. Szyjka żółta jak szafran, ale doskonałego toku, prześlicznych żmijkowatych ruchów i lazurowymi przebijająca żyłkami, objęta była tuż przy osadzie swojej bielutkiej śnieżką tiulową; bajaderek koralowy rozwieszał swoje sute kutasy na wysoko zachodzącym staniku niebieskiej *mousseline-laine* sukni; stanik, po wydatnych kształtach gładko obciśnięty, zwęzał się i ścinał coraz mocniej, aż na ostatek w przepasce bajecznej prawie dochodził szczupłości; przepaskę obejmował czarny, mantylowy fartuszek, a kieszonkami fartuszek bawiły się dość pulchne rączki, w wąskich rękawach, tak jak szyja koralikami i tiulikami powyżej dłoni obwiedzione...

— A to, proszę pani, kąpiel już dawno zrobiona i stygnie — odezwał się cieniutki, czysty jak srebrnego dzwoneczka głosik.

(...) Augusta, *zwyczajem wielu pań dzisiejszych*, nawet takich co za najlepsze uchodzą, lubiła się drażnić ze śliczną swoją pokojówką, jak z młodym kocięciem, któremu raz po raz kłębek splątanych nici pod nogi rzucamy, ażeby nas bawiło, to swoim splątaniem chwilowym, to swoimi zręcznymi podskokami (...).

Czy to jaki lekki francuski autor z XVIII w.? Nie, moi drodzy, to Narcyza Żmichowska. Jestem przekonany, że ten obrazek z natury wzięty; że takie subretki musiały się szwendać po kurowskim dworze i przyrządzać kąpiel Paulinie. Biedna Narcyzka, w jakie ona się ręce dostała i co musiała wycierpieć! Zaczynamy lepiej rozumieć ów paniński dramat.

Moralność, poczciwość...

Tak, to Narcyza Żmichowska. Ta sama *virago* która zdolna była męskim rozumem wazyć wszystkie sprawy kraju i która w poufnym liście umiała napisać te słowa, dokumentowane zresztą życiem:

„(...) powiedzcie, mi, czy też jesteście tego samego zdania, bo co do mnie, to ja wolę krwi strumienie jak kroplę łzy — krew użyźnia, we łzach człowiek topnieje, gnije (...).”

Bo w tej fenomenalnej kobiecie tkwiło wiele możliwości. Zadławiły ją poniekąd warunki, w jakich żyła. Nie tylko polityczne. „W ogóle — pisze ta kobieta szlachetna, bez skazy, niemal święta — ciąży na nas okropniejsze od cenzury jarzmo: jest to pewna konieczność naszego położenia, stanowcze wymaganie opinii ogólnej, żeby tylko wysoce cnotliwej dążności wiersze, romanse, komedio-opery pisać. Nikt, choćby chciał, nie śmiałyby i co więcej z księgarsko-wydawniczego interesu nie mógłby nic »niemoralnego« oryginalnie ogłosić... Stąd wynika stek wszelkiej niewoli, wszelkiego ograniczenia, wszelkich bulwarków osobistość ludzką obmurowujących — skarlówacenie. Ponieważ

każdy musi odzywać się na jedną i tę samą nutę, ci, co jej w piersiach nie mają, fałszują, a ci, co mają, tracą swobodę rozwinięcia, czy chcąc te fałsze prostować czy ich unikać, słowem wpadają w oklepanki i taką masz całą prawie naszą literaturę obecną [pisze to w r. 1871]. Gdyby jeden i drugi miał odwagę, miał sposobność choćby z bluźnierstwem wystąpić, błogosławię szczerze pobożnych nabraloby rzeczywistej wartości — lecz my ciągle za panią matką pacierz (...)

A gdzie indziej:

„Chcemy koniecznie pocziwie pisać — słuszna rzecz — ale nam się zdaje, że dlatego trzeba koniecznie same pocziwości opisywać, i w tym już słuszności brak”.

Tak pisała ta kobieta, czując snadź, ile w niej „niepocziwych” prawd z musu pozostało zdławionych, strun niewygranych, słów niedopowiedzianych...

Dość zdawkowa wydaje mi się często spotykana ocena twórczości Gabrielli, stawiająca *Pogankę* jako ów szczytowy punkt, od którego zaczyna się słabnięcie talentu. To są zdania powtarzane i nierewidowane od kilkudziesięciu lat. *Poganka*, pisana niewątpliwie z olbrzymim rozmachem i siłą natchnienia, ma już dla nas sporo wątpliwej romantycznej barwy. Z drugiej strony, ostatnia rzecz pisana tuż przed śmiercią — *Czy to powieść* — wydaje mi się prawdziwym — a śmiesznie mało znanym — klejnotem naszej literatury. Napisana po *Pogance*, *Książka pamiątek* jest utworem głęboko oryginalnym, a znamienym przez swój motyw *miłości kobiety do drugiej kobiety*, przyjaźni-miłości wiernej aż poza grób. *Biała róża* — jeden temat ujęty kolejno na czterech płaszczyznach — to znów brawurowy kawałek introspekcji psychologicznej. Żmichowska jest mistrzynią prowadzenia dyskusji; każdy tam kolejno ma swoją rację, każdy argument żyje swoim życiem. Umie ożywić najniewdzięczniejszy — zdawałoby się — temat: jej *Słowo wstępne do dzieł Hoffmanowej* czytałem jak powieść. Nawet ta ostatnia rzecz jej pióra, *Rzecz o służących*, jest rozprawką niezwykle inteligentną i zajmującą.

Że twórczość jej się rwała, czyż to dziw! Złamało ją więzienie, zniechęciło nieporozumienie ze społeczeństwem. Dławiła się w atmosferze „dobrze myślącej” bigoterii, jaka rzuciła się na kraj:

„(...) spotykałam się w świecie z szumnymi dysputami teologicznymi przy herbacianych zastawach; deklamowano o nauce Chrystusa chrupiąc makaroniki, o piekle i szatanie smarując bułeczkę”...

„(...) między grozą schizmy rosyjskiej a protestantyzmu niemieckiego, duchowieństwo katolickie znalazło grunt wybornie przygotowany pod siebie swych życzeń i zamiarów; — wszystko co polskie przedzierzgnęli na katolickie, wszystko co katolickie uznali za szczeropolskie, i tak dziś tymi dwuznacznikami zręcznie szermierzą, że odrobili już prawie wszystko, co od początku XVIII w. w sumieniu ogólnym ludzkości uczeni i bohaterowie, rozumni i pocziwi, kosztem krwi, życia i ciężkiej pracy, wypracowali na koniec (...)

Biedna Gabriella!

Wyssała ją praca nauczycielska. A podejmowała ją nie tylko dla chleba, ale przez jakieś wzniosłe pomieszanie pojęć i potrzeb społeczeństwa. Brak oświaty tak ją gnębił i bił w oczy na każdym kroku, że jęła się tę oświatę krzewić, poczynając od dzieci, nie bacząc, że dla tej podrzędnej pracy zaniedbywała obowiązki względem własnego talentu. Pisała elementarny *Wykład nauk*, *Geografię*, zagłuszała się tymi robotami w rozterce duszy. Nie umiała się odseparować; to serce nabrzmiałe miłością przeżywało każdą troskę rodziny składającej się z kilku tuzinów siostrzeńców i siostrzenic, każdą zgryzotę przyjaciółki, których też było z górą tuzin. Nie znam przykładu takiej rozrzutności serca, samej siebie.

Korespondencja Żmichowskiej jest olbrzymia, a to co wydano, to zapewne tylko jej cząstka. Ale ta korespondencja ma może i inne znaczenie, podobne do tego, jakie miała dla ludzi XVIII w. W druku Narcyza mogła się wyrażać jedynie połowicznie, dla względów, o których mówiłem wyżej. W listach tych, zwykle przesyłanych nie pocztą, ale

poufną drogą, wypowiadała się bezpośrednio i szczerze. Te jej najdroższe przyjaciółki-entuzjastki, to była jej publiczność, bliższa, prawdziwsza i więcej warta od innej. Listy Żmichowskiej (mówię na razie o drukowanych) — to nieodzowny przyczynek do jej poznania, bardziej niż u któregośkolwiek innego pisarza. To natłok myśli, refleksji, zawsze żywych, bezpośrednich. Na dowód, jak samodzielnie, jak osobiście przeżywa wszystko, starczą uwagi jej np. po lekturze Machiavela. Uderza jej głęboki kult namiętności. Rozumie się niezatarty wpływ, jaki wywarła na tych, co się z nią osobiście stykali.

Ale w tym jakże niepełnym życiu jakie pędziła, przychodziły chwile ciężkiego zniechęcenia:

„(...) czytam jedynie, aby nie myśleć, i zatraciłam w sobie wszelką władzę oceniania dzieł literackich — to najlepsze, które bawiło — najużyteczniejsze, które nie znudzi. Moralne dążności i frazesy przejadły mi się jak manna Izraelitom na puszczy (...)” — pisze w którymś liście.

Sama zresztą wierzyła w upadek swego talentu. „Przebaczysz mi — pisze do Elli — choć już Gabriellą nie jestem — ale inni może nie przebaczą”. Istotnie, dla ówczesnej publiczności została autorką *Poganki*, innych rzeczy nie doceniano. Była niejako mitem.

„Dziwna rzecz — pisze — jak to moje autorstwo wielu zawodów stało się przyczyną. Onego czasu, kiedy *Pogankę* drukowałam, jakiś młody człowiek świeżo do Warszawy przybyły ciągle po ulicach w Saskim Ogrodzie na spacerach szukał Gabrielli, wysokiej z czarnymi oczami brunetki”... Raz na wsi, gdzie bawiła, zdarzył się zabawny epizod. Przyjechał jakiś obywatel i zaczął z zapalem mówić o Gabrielli, nic nie wiedząc, że to jest pseudonim obecnej tam Żmichowskiej. Wtedy Narcyza, bawiąc się tym *qui pro quo*, wzięła stronę przeciwną, krytykując własne utwory i budząc namiętną opozycję swego zwolennika.

W końcu zubożyła na sprawy ambicji autorskiej tak, że kiedy jakaś mierna pisarka, mając na imię chrzestne Gabriela, zaczęła używać tego imienia jako pseudonimu, Żmichowska, zrazu niemile dotknięta, potem wzruszyła ramionami, nie siląc się nawet protestować; tak bardzo, wśród tylu bolesnych spraw ogólnych — i w tej wiecznej okrutnej świadomości, że „nigdy nie była kochaną” — odrętwiała na te rzeczy. Niezręczność wydawnicza przyczyniła się do jej zapomnienia. Utwory jej wyszły dwa razy jako *Pisma* w wydaniach zbiorowych, nie było ich w handlu oddzielnie. Toteż rychło po śmierci stała się bardziej wielbiona niż czytana. Już Chmielowski żali się w r. 1885, że „historycy literatury zbywają ją epitetem *niepośledni talent* lub powtarzają znany frazes o „zapłakany aniele nad grobem najdroższych nadziei”... Ach, te wieczne bzdurstwa, którymi nas karmią!

„Moja pani, moja pani”...

Już widzę, jaki się znów zrobi krzyk po tym moim artykuliku. Wszystkie kumoszki w ruchu. „Moja pani, moja pani, co ten Boy znów robi ze Żmichowskiej”. A ja się pytam: a co wyście z niej zrobili? Zrobiliście z tej wspaniałej kobiety nudną guwernantkę; zamarynowaliście ją w cnocie tak, że nikt już jej książek do rąk nie bierze, w myśl francuskiego powiedzenia: „*c'est sacré, car personne n'y touche*”. Pochowaliście ją gorzej od Norwida, bo zaiste łatwiej się wygrzebać pisarzowi z kompletnego zapomnienia, niż odwalić kamień grobowy takiej kanonizacji. Unicestwiliście ją hipokryzją szacunku. Kiedy niedawno temu jakaś patronessa chciała nazwać ochronkę jej imieniem, wszyscy się wypatrzyli na nią: Żmichowska?... nikt nie wiedział, kto to taki. Wykształceńsi utożsamiają ją ze Żmijewską, z czym sam się nieraz spotkałem. Nie krzyczcie więc na mnie, bo nie macie prawa. Kiedy przywrócicie do właściwego użytku jedną z naszych najtęższych pisarek, jedną z najświetniejszych, najszczerzych inteligencji, kiedy jej książki zakwitną znów na półkach księgarskich, a *Listy* jej znajdą się w rękach czytelników, wówczas wolno wam będzie zapomnieć o tym moim komentarzu. A wobec Gabrielli mam czyste sumienie. Kobieta chce być kochana, autorka chce być czytana: jeżeli mi się uda bodaj trochę przyczynić do jednego i drugiego, jestem pewien, że Narcyska mi tam z nieba błogosławi...

## ŻYWOTY MIŁOSNE

W ostatnich czasach mnoży się — we Francji zwłaszcza — pewien typ wydawnictw, mianowicie zyciorysy wielkich ludzi. Jedne powieściowe: ta forma wulgaryzacji jest dość niebezpieczna i wymaga nie lada talentu, aby nie „zwulgaryzować” — bohatera w mniej pożądanym znaczeniu. Przy tym, gdy chodzi o wielkiego człowieka, ciekawsi jesteśmy prawdy niż fantazji na jego temat: sama prawda zwykle jest dość powieściowa i dość fantastyczna. Toteż zyciorysy, o ile są dobrze opowiedziane, stają się coraz bardziej ulubioną lekturą. Zamiast interesować się urojonymi losami pana X czy pani Y, mamy tu autentycznego bohatera i w dodatku, gdy chcemy, mamy pierwszorzędną „przyczynek” do powieści w postaci — jego dzieł. Ale jest jeszcze i trzeci typ wydawnictw: mianowicie „żywoty miłosne” wielkich ludzi. Te są dziś najpoczytniejsze: nie ma tygodnia, aby jakaś nowa *vie amoureuse* nie wykwitła na półkach księgarskich. U nas jeszcze nie umiano wyzyskać tak potężnego współczynnika popularyzacji. *Życie miłosne Kopernika*, *Kobiety w życiu Wita Stwosza*, *Życie miłosne Piotra Skargi*, *Życie miłosne Stefana Batorego* etc., oto program, który oczekuje realizatorów i który niechybnie ziści zbliżenie najszerzych mas z tytanami naszej kultury.

Miałem tego maleńką próbkę. Wydrukowałem w „Wiadomościach Literackich” artykuł pt. *Romans Gabrielli*, poświęcony Narcyzie Żmichowskiej, doskonałej pisarce, niepospolitej kobiecie, znamienitej Polce i obywatelce, pogrzebanej doszczętnie w czcigodnym zapomnieniu. Przystudiowałem jej listy, starałem się odtworzyć jej fizjognomię, wskrzesić jej życie osobiste, potrąciłem struny uczuciowe, zaintrygowałem publiczność zagadkową miłością Narcyzy do Pauliny, tej, o której ona sama pisze z więzienia tragicznie wymowne słowa: „Lina to mój los, to moja historia”...

I oto dzieje się cud: Gabriella staje się aktualnością, Gabriella ma rycinę w „Cyruliku Warszawskim”, zjawiają się nakładcy gotowi wydać jej blisko od pięćdziesięciu lat nie tykane pisma, zgłaszają się do mnie o napisanie przedmów... To, czego nie mogły wywalczyć popularne broszury, obchody, daremnie żebzące dla wielkiej pisarki odrobiny żywej pamięci, to robi w jeden dzień magiczny tytuł: *Romans Gabrielli*. Pouczające.

Co prawda, liczyłem jeszcze na coś więcej: liczyłem, że się ktoś zgorszy, że się ktoś oburzy, wtedy dopiero sukces byłby zupełny. Starałem się sprowokować panią Izę... na próżno. Och, jakże trudno jest dziś ludzi zgorszyć... co niedzielę! Przeciwnie, otrzymałem wyrazy uznania z tych właśnie kół i od tych osób, które chowane były, jak ja, w kulcie Narcyzy. Pan Leon Okręt w miłym liście przypomina, że matka jego, pani Matylda Okrętowa, była przyjaciółką Gabrielli i cytowana jest w jej korespondencji; pan starosta Witkowski z Wielkopolski przysłał mi tomik pierwszego wydania *Wolnych chwil Gabrielli*, wydany w roku 1845 w Poznaniu. Pani Aniela Morzkowska demaskuje ową *Ellę*, do której Narcyza napisała tyle najszczerzych, najpoufniejszych może listów, i donosi, że była nią panna Izabella Zbiegniewska, którą znała jako staruszkę, przełożoną pensji we Włocławku; nazywano ją, dla jej rozumu, „głową Włocławka”. W Krakowie ktoś zajrzał do starego kantorka i odnalazł tam zarzucone listy Narcyzy do Bibianny Moraczewskiej, która wypadnie zapewne cicią naszemu ministrowi. Pani Anna Minkowska nadsyła mi swoją zajmującą pracę o procesie i więzieniu Narcyzy.

Ale najbardziej poruszyła mnie wiadomość, że mieszka w Warszawie osoba, która znała ją; ową „genialną”, demoniczną, tajemniczą, perwersyjną Paulinę — Paulinę Zbyszewską. Osoba ta — podano mi jej nazwisko i adres — nazywa się dr Maria Sulicka, mieszka ul. Bednarska 2 i godzi się udzielić mi chwili rozmowy.

Idę na Bednarską 2, nad samą Wisłę. Uroczy, mało odwiedzany zakątek Warszawy: śliczny pałacyk z filarkami, w typowo warszawskim osiemnastowiecznym stylu. Wchodzę, wszystko tam niedzisiejsze, trąci przeszłością: dzwoni się do małej furtki, jakaś dziewczynka pertraktuje ze mną przez drzwi, ktoś mnie wpuszcza do ogródka otoczonego wysokim murem i w progu wita mnie z czarującą uprzejmością wesola i rzeźwa staruszka, pani dr Maria Sulicka.

Oczywiście pierwsze moje pytanie jest, czy mam do czynienia z koleżanką. Ależ tak; pani Sulicka jest doktorem medycyny, i to paryskim; była w liczbie kilku pierwszych Polek, które puściły się zagranicę dla zdobycia nauki. Skończywszy uniwersytet, trzydzieści pięć lat praktykowała we Francji: dziesięć lat w Paryżu, potem na prowincji, niedaleko



Reims; wojnę spędziła tuż za frontem. Po wojnie tęsknota ściągnęła ją do kraju, gdzie znów po trosze tęskni za Francją... Takie są niedogodności dubeltowej ojczyzny.

Sprowadzam rozmowę na właściwy cel wizyty. „Mój Boże — śmieje się pani Sulicka — niewiele mogę panu powiedzieć o pannie Zbyszewskiej, mimo że widywałam ją co dzień przez dwa lata. Byłam jej lektorką. A oto jak poznałam tę istotnie oryginalną osobę. Byłam z wizytą u znajomych; panna Zbyszewska, nie znając mnie, usłyszała z drugiego pokoju mój głos. Głos mój tak się jej spodobał, że oświadczyła, iż, czy chcę czy nie chcę, ona musi mnie mieć za lektorkę. No i zdobyła mnie. Była to wówczas niemłoda już osoba, miała lat ze 60, niezamężna, bardzo bogata, samodzielna, ekscentryczna, despotyczna, poróżniona z całą rodziną. W towarzystwie warszawskim mówiono o niej dość dziwnie i trochę na ucho: coś między George Sand a Messaliną... Ale miała opinię wybitnej inteligencji, znawstwa literatury i sztuki. Kpiła sobie zresztą z całego świata, zwłaszcza ze »swojej sfery«, którą gorszyła swymi ekscentrycznościami. Podróżowała mnóstwo; opowiadała mi, jak, jeszcze będąc młodą panną, z ojcem jechała własnymi końmi do Paryża, a bryka z tobołami szła za nimi. Miała swoje bardzo oryginalne powiedzenia. Np. raz, kiedy nie było pod ręką nic do czytania, kazała sobie czytać powieść z »Ateneum« czy z »Biblioteki Warszawskiej«; zwróciłam uwagę, że to jest dalszy ciąg, a nie ma numeru z początkiem. Panna Zbyszewska odparła: »A cóż to szkodzi, przecie jak pani poznaje człowieka, to też nie czyta go pani od początku, tylko od środka«. Palila grube cygara; była też wielka smakoszka. Miała przywiązaną służącą Felisję; czasem zatrzymywała mnie na kolację i jadła razem ze mną, potem strofowała Felisję, że podaje to, czego jej lekarze zabraniają; ale dopiero wtedy, gdy już zjadła. Była wysoka, tęga, o delikatnych, pięknych rysach twarzy, umiała być bardzo miła. Przyjmowała dosyć dużo, i wybitne osoby; więcej kobiet niż mężczyzn. O Żmichowskiej nie wspomniała nigdy ani słowem, mimo że nieraz mówiła ze mną o literaturze i o swoich stosunkach literackich. W ogóle dopiero z pańskiego artykułu dowiedziałam się, że one się znały...”.

Słuchałem tego wszystkiego z dziwnym uczuciem. Jakże odległych czasów można sięgnąć za pośrednictwem jednego tylko pokolenia! Fruwamy samolotami, a mamy znajomych, których znajomi jeździli bryką do Paryża, wioząc ze sobą faskę z bigosem. Miałem uczucie, że znam tę Paulinę: wyobraziłem ją sobie coś niby ową pyszną ciotkę Leona Płoszowskiego z *Bez Dogmatu*, która też kryje może Bóg wie jakie tajemnice w fałdach swego zacnego panieństwa. Ileż my tracimy na tym, że jako dzieci nie umiemy spowiadać naszych ciotecznych babek... Jeden może Stanisław Wasylewski miał już w kolebce ten talent.

Do wytworzenia tego nastroju przeszłości przyczyniła się i rama, w jakiej się znalazłem. Ten dworek na Bednarskiej pod filarkami ma swoją historię, o której się tam na miejscu dowiaduję. Był za sejmu czteroletniego własnością kasztelana Jezierskiego; był wówczas prawie za miastem, a dawał schronienie bardzo wesołym i dyskretnym salonom, gdzie jeździła bawić się złota młodzież. Mieszkanki tego domku nazywano, od godności posesora, „kasztelankami”. Obecny właściciel kupił ten dworek na spekulację, chciał go zburzyć i wybudować wielkie czynszowe paskudztwo: naraz pa! zesłała się komisja archeologów, historyków, estetyków, uznała były zamtuz za *monument publique* (nomen-omen) i poddała go opiece konserwatorów. Nie wolno tknąć ani cegielki. Restaurować, konserwować, owszem. I odrestaurowano pałacyk, i mają tam śliczne mieszkanko państwo P., u których mieszka panna Sulicka, i tam dowiaduję się tego wszystkiego, siedząc na staroświeckich mahoniach i zajadając pierniczki, bo — jakby dla dopełnienia stylu! — trafiłem przypadkowo na imieniny panny Sulickiej i biorę czynny udział w obchodzeniu jej święta.

W rozmowie przychodzi mi na myśl, że ta polska emancypantka i doktorka paryska musi być kopalnią przeróżnych życiowych wspomnień. Na chybił trafił rzucam pytanie: „Czy pani przypadkowo nie znała w Paryżu Zapolskiej?”. — „Jak to czy znałam! Oczywiście. Przecież to na mojej kochanej »Glasierze« rozgrywa się powieść z życia paryskiej kolonii *Zaszumi las*. Ja wtedy brałam czynny udział w robocie socjalistycznej; mam zaszczyt nawet figurować w tej powieści jako jedna z bohaterek. Doskonale znałam Zapolską, bardzo miła kobieta. Ale wówczas była bardzo nerwowa, miała dużo przykrości, kochała się w prześlicznym młodym chłopcu, Janku... jakże mu to było?... Aha, Lorentowicz, Janek Lorentowicz...”.

Na pomoc, ratujcie mnie, nie podołam wszystkiemu! Co tu się tematów otwiera: życie miłosne Zapolskiej, życie miłosne Jana Lorentowicza... Nie dam wszystkiemu rady, rezygnuję. Ale radzę badaczom literatury, niech się umizgną do panny Marii Sulickiej o godzinkę rozmowy...

## WILIA NARCYZY W ROKU 1863

Wspomniałem, że matka moja była w długoletniej zażyłości z Narcyzą Żmichowską. Owo słynne „Miodogórze”, mieszkanie Żmichowskiej, gdzie skupiało się co było podówczas szlachetniejszego, gorętszego w Warszawie, to było trzecie pięterko w domu Grabowskich przy ulicy Miodowej; tam mieszkaly również, na pierwszym piętrze, cztery panny Grabowskie, z których jedna, Wanda, później Władysława Żeleńska, była moją matką. Inne siostry były: Julia, później Tetmajerowa, matka Kazimierza Tetmajera; Maria Kwietniewska, żona matematyka, docenta Szkoły Głównej i Zofia, tłumaczka ulubionych angielskich powieści dla młodzieży. Stosunki sąsiedzkie stały się coraz bliższe; Żmichowska ze swoją potrzebą nauczania wykładała pannom różne przedmioty, z czasem z Wandą stosunek nauczycielki do uczennicy przeszedł w trwałą i dozoną przyjaźń. Jako dokument tej przyjaźni pozostała bardzo obfita niewydana dotąd korespondencja, z którą się obecnie zapoznaję.

Pobyty Żmichowskiej na „Miodogórze” przypada na lata poprzedzające wybuch powstania r. 1863, okres gorączkowych nadziei i starć przeciwnych prądów. Rewizje, aresztowania były rzeczą codzienną. Nieraz dzieckiem słyszałem od matki opowiadania o tych chwilach: śmierć Edwarda Jürgensa, który zostawił po sobie wśród bliskich kult graniczący z fanatyzmem; odkrycie w piwnicach tegoż domu przy ulicy Miodowej składu broni, wskutek czego dziadka, jako gospodarza domu, trzymano kilka miesięcy w cyta-deli; i inne dramatyczne momenty.

Żmichowska była zdecydowaną przeciwniczką powstania; nie miała złudzeń. Swoją okres wiary i działania przeżyła już wprzód i zakończył się bardzo boleśnie. Brała czynny udział w ruchu r. 1846; przekradała się jako emisariuszka do Galicji; z rozmów chłopów w karczmie, dokąd w przebraniu zaszła na nocleg, poznała tragiczną przepaść między chłopem a „panem”. Brała udział w ruchu spiskowym w r. 1848. Przejęto jej listy, dostała się na półtrzecia roku do więzienia, potem pod nadzór policji z przymusowym mieszkaniem w Lublinie. Widziała złudność nadziei, złudność wiary w swoje siły i w obcą pomoc. Ale najwięcej wątplenia zaszczerpiło w niej to, co widziała co dzień dokoła siebie: brak styczności pomiędzy górą i dołem społeczeństwa; ciemnotę i obojętność po równi — mimo że na inny sposób — w górze i w dole. Przerazała ją lekkomyślność sfer emigracyjnych, kierujących z daleka ruchem. Wszystko to sprawiało, że na najbliższą metę przyszłość widziała raczej w pracy wewnętrznej i w przeobrażeniu psychiki narodu, niż w zbrojnym ruchu, do którego bez tego przeobrażenia nie widziała warunków. Tym tragiczniejszym był dla niej wybuch powstania, w którym tyłu jej bliskich brało czynny udział. Zagrzebała się na wsi u rodziny, gdzie, aby się ogłuszyć, poświęciła się uczeniu dzieci. Uczucia, z jakimi siadała do wili w tym roku 1863, maluje list, który pisze z Olszowy do mojej matki:

*2 stycznia, sobota 1864 r.*

W tej chwili napisałam karteczkę do oddalonego brata, i piszę do was, moi najbliżsi w Warszawie. Jaka to ulga, Wando moja kochana, że wszystko musi przeminąć; i święta przeminęły na koniec! Daremnie człowiek w silne postanowienie się zbroi, by je zupełnie jako najpowszedniejsze dni spędził; jest pełno nieuniknionych zwyczajów, drobiazgowych okoliczności, które koniecznie przypominają, że to jest wyróżniona od innych epoka, i trzeba wspominać — porównywać — no, ale już się skończyło. Cały dzień wigilii udało mi się ukraść — „zeskamotować” do pewnego stopnia; nie byłam ani w sobie, ani poza sobą, ani nigdzie. — Bodajbyś nigdy nie zrozumiała, jak to można nigdzie nie być; szkaradna to rzecz, do której na nieszczęście nałogowo zaczynam przywykać. Otóż kręciłam się ciągle między drugimi; dwóch

naszych chłopczyków, Władek po jednej z siostr naszych sierota i mały Lutus, syn Wituchny, drzewka sami sobie na gwiazdkę stroili, głośno było od ich radości we wszystkich pokojach, a ja tymczasem naddatkowy jakiś prezencik improwizowałam. Czas schodził bardzo przyzwoicie; dopiero kiedy świece zapalono, kiedy było trzeba do stołu zasiąść i opłatkiem się dzielić, wszystkim obojętne uśmiechy jak zły tynk na mróz z twarzy opadać zaczęły. Najpierwej Kornelia ze łzami w głosie słów życzenia domówić nie mogła, a biedna Wituchna, choć siłą się na stoicyzm, w milczeniu tylko rękę wyciągnęła. Ich żal za wywiezionym Ludwikiem zahaczył o wszystkie moje własne i nie własne żale; musiałam się na chwilę ucieczką ratować. Pobiegłam do swego pokoiku, stanęłam przed palącym się w piecu ogniem i zdobyłam się tylko na jedną myśl wyraźną wśród boleści, pokutną wśród zwątpienia, i tę myśl ku „Bogu Ojcu w Niebiesiech” przesłałam; Bóg może zechce dać jej właściwe przeznaczenie, bo co ja, to już nic a nic nie wiem, co z moich myśli robić, nawet gdy mi która przez serce się snuje. Kiedy wróciłam do jadalnej sali, wszystkich zastałam siedzących na swoich miejscach przy stole, zupa była rozdana i z nikim więcej opłatka ni życzenia dzielić mi nie wypadło. — Przyznam ci się, Wando, że nie mam ochoty z moim smutkiem uroczystości przed każdym występować i choćby w negacyjne przystrajając go formy; i owszem, za obowiązek sobie poczytuję być zupełnie do innych podobną, wystrzegać się wszelkich ekscentryczności, wszelkiego niejako obrządku na moje indywidualne wrażenia, pręcej jeszcze w radosnej chwili dam się fantazją pociągnąć lub śmiało na zewnątrz ją objawię; cierpienie zaś wszelkie tak mię upokarza, tak odejmuje samodzielność, ufność w samą siebie i odwagę, że nie wiem, czy najtrwożliwsza parafianka mogłaby sztywniej wystąpić na najmłodniejszym salonie, jak sztywnie ja wobec własnego sumienia występuję. Wszystko stąd pochodzi, że mam smutek zły; ale wracając się do tego, co mówić zaczęłam, kiedy ludzie po zwyczaju winszują lub życzą, staram się także powinszowaniem lub życzeniem wywzajemnić, perswaduję sobie, że to ma wartość prostego „dzień dobry”, nie mogę jednak z pewnej wewnętrznej przykrości się wyswobodzić. Dotychczas każde słowo podobne wychodziło z ust moich najwierniejszym echem tego, co miałam w myśli iw sercu, dzisiaj czuję, że kłamstwo popełniam. Na podszewce każdego — „niechaj lepiej będzie — Boże daj szczęście” — itp. zawsze mi jest obecnym wrażenie, że będzie ciągle gorzej — że Bóg szczęścia z łaski nie daje, kiedy go człowiek podług praw Jego zdobyć sobie nie umie, i inne tego rodzaju zaprzeczenia. Dlatego też doznaję pewnej ulgi, gdy mię cośkolwiek od tradycyjnych formułek zasłoni. Kto tam zgadnie, moja Wando, w co się obracają na wiatr rzucone słowa! — gdyby tylko zamarzyły tak jako w bajce, którą znać musisz, i odtajały nie w porę, to już by dosyć kłopotu być mogło — a dopieroż gdyby chemicznego procesu prawom uległy — fermentowały, amalgamowały z opaczynymi atomami i omen jakiś na jakieś zdarzenie w przyszłości rzuciły. Falszywe słowa, to nie żarty; i omeny to prawda. A zatem, dzięki Bogu, że święta życzeń przeminęły! Dzień wigilii nie przedstawił mi żadnego szczegółu, który by dał się w jakąkolwiek wróżbę przeciągnąć. Doczekałam aż do ostatniej godziny roku i pomimo przeszłorocznej niby wróżby, nie odnalazłam niczego. Ty mi młode i zacne serce obiecujesz — takie, powiadasz, które będzie można ukochać; — takie przecież dał mi Bóg dawniej niż przed rokiem, odnajdywać go nie potrzebowałam — jak myślisz, Wando? czy potrzebowałam odnajdywać? — Nie — wszak nie? Więc mi się coś innego odnaleźć należało — coś w sobie. — Gdyby młode i zacne serce we własnej piersi! — innych zewnętrznych warunków nie określam — wtedy byłoby wszystko odzyskane i do uzyskania. Jeśli się zobaczymy, Wando, przypomnij mi, to ci opowiem kiedy, jakim słowem pobłogosławiła mi na życie, umierając w trzy dni po moim urodzeniu, matka. Bardzo, bardzo długo starczyło mi tego słowa, od dwóch, trzech lat dopiero spostrzegam się, że wpływ jego wyczerpnięty — nic nie nada. — Chciałabyś się dowie-

dzieć, moja droga, co ja wiem o przeszłości twojej? Literalnie biorąc, „wiem” bardzo mało; ale wnioskuję sobie, że była pod przygnębieniem — tobie się zdaje, że wypadków losu — mnie się zdaje, że twego własnego usposobienia. Strata matki najokropniejszym jest ciosem, zwłaszcza w tym wieku, w którym ciebie dotknęła; jednak to w prawie i w możności ducha ludzkiego nie leży, aby jego kierunek ku żywotowi wiecznemu „śmiercią” mógł być powstrzymany lub zwichnięty — śmiercią będącą w porządku natury — w wyroku Boga. Może chorobliwy organizm nie przetrzymać uderzenia, może człowiek sam umrzeć przy umarłym, aneuryzmu dostać, konwulsji nerwowych — to inna, fizjologiczna sprawa: — ja tylko się przekonałam, że myślą, dalszym ciągiem niejako śmierci żyć nie może. Ta wielka, uroczysta, najświętsza próba do ostatecznej pełni przywodzi zarodki wszystkich władz naszych — i ty, Wando, pod jej tytuł podciągnęłaś mnóstwo rozwijających się w tobie od tej epoki fenomenów. — Mówię w formie niby arcy-stanowczej, lecz przypominam, że się jedynie do wnioskania przyznałam; wspólnemu roztrząśnieniu przedmiotu szerokie pole zostawione; otóż wnioskuję przede wszystkim, że gatunkowo dusza twoja, odnośnie do dobrego, ma raczej wyczekujące niż zdobywające usposobienie. Czy dobrem nazwiesz szczęście, naukę — ukochanie, czy ideał, cnotę, niebo, zawsze w tobie jest pragnienie czekające, a nie ma dosyć zdobywczej odwagi. Nieraz już zauważałam sobie tę wielką między duszami ludzkimi różnicę — ma się rozumieć między już zbudzonymi, chrześcijańskimi, zbawiającymi się duszami — są inne śpiące, pogańskie — zatracone — o tych nie wspominam — co lepsze mam na myśli; z tych lepszych, gdy się im przypatrzysz, zawsze spostrzeżesz, że jedne czekają, drugie zdobywają. — Wyobrażam sobie, jak w tej chwili tłumaczysz pewnie na jakąś osobistą przyganę to, że cię do czekających zaliczyłam. Mylisz się, Wandeczko, narzuciłabyś mi śmiesznośćkę równą tym oklepanym...

Końca tego listu nie udało mi się odnaleźć. Może w niedługim czasie zdołam doprowadzić do skutku wydanie całej tej korespondencji. Gdy chodzi o Żmichowską, o jej prawdziwe poznanie, tam korespondencja odgrywa większą rolę niż u jakiegokolwiek innego pisarza: w warunkach podwójnego skrępowania, bo i cenzurą rosyjską, i ową cenzurą ciasnoty obyczajowej, na którą pisarka tak nieraz się żali, najswobodniej wypowiada się ona w listach do swoich najbliższych.

## UZUPEŁNIENIE DO ROZDZIAŁU *Żmichowska*

W związku z artykułami *Romans Gabrielli* i *Żywoty miłosne* nadsyła mi pani Emilia Wiewlowieyska następujące wspomnienie:

*Żywoty miłosne*, a raczej wzmianka w nich o pannie Paulinie Zbyszewskiej, wkłada mi pióro do ręki. Znałam ją bowiem w mych młodocianych latach, a sądzę, że nie ja tylko z obecnie żyjących, prócz p. dr Sulickiej. Lat temu ze trzydzieści kilka spędzałam zimę, jako „panienka” ze wsi, na wydaniu, u ciotecznej babuni, hr. Stefanii z Walewskich Gurowskiej. Mieszkała na Mazowieckiej w domu Grossmana, stąd na niedzielnych koncertach odbywających się tamże uczestniczyłyśmy często. Odwiedzało się też stare babuni przyjaciółki, stuletnią panią senatorową Radoszewską, matkę znanego do niedawna salonowca warszawskiego p. Józefa Radoszewskiego, o słynnej białej brodzie i jeszcze słynniejszym platonicznym afekcie do księżnej Wł. Cz., oraz pannę Paulinę Zbyszewską. Musiała już wtedy dobiegać siedemdziesiątki. Przeważnie leżała na szezlongu, obezwładniona częściowym paraliżem, z głową pochyloną w jedną stronę. Śladów piękności prawie już nie było. Żywość tylko pozostała i temperament — wymowa płynna, sarkazm, kostyczność. W ślicznym apartamenciku, wśród cennych mebli i przedmiotów, dogorywała w goryczy i samotności, mało osób przyjmując. Byłam entuzjastką, panna Zbyszewska zasugestionowała mnie, przesiadywałam godzinami na taburecie przy niej. Ciekawie opowiadała, aforyzmami własnymi przeplatając. Szkoda, że nie notowałam. Lubiła młodych, mnie darzyła sympatią. Podziwiałam ją i bałam się jej jednocześnie. Był w niej istotnie

jakiś demonizm, ale była kultura wielka, umysł niepowszedni. Umiała być dobrą, nawet uroczą jeszcze. Słyszałam o wielkim zawodzie sercowym, co życie jej zdruzgotało. Szczegółów co do przyjaźni jej z „Gabriellą” nie znałam. Z wiosną wróciłam na wieś, wkrótce potem wyczytałam w pismach o jej śmierci. Majątek zapisała siostrzeńcom.

# FREDRO

## PROCES *Pana Jowialskiego*

(z powodu przedstawienia w teatrze narodowym)

Przedstawienie w Teatrze Narodowym powinno zabić komentatorom Fredry nie lada ćwieka. Wedle ostatniego kursu „nauki” komedia ta jest to okrutna, krwią i żółcią pisana satyra; dom Jowialskich ponurym bagnem bezmyślności, sobkostwa i głupoty, bez jednego jaśniejszego promyka. I oto na scenie widzimy tryskający wesołością obrazek w słońcu, kolekcję sympatycznych oryginałów... Czy to znaczy, że komedia była grana aż tak fałszywie? I czy można ją grać inaczej, na wspak? Czy podobna, aby Fredro tak źle obliczył perspektywę sceny, że nic z tego, co chciał powiedzieć w swojej sztuce, nie wychodzi? Oto pytania, które musiały oblegać każdego, kto jest obznajmiony z nowoczesną fredrologią.

Co do mnie, jestem pełen wahania i niepokoju; utwór Fredry, na którym uczyłem się czytać, który czytałem od dziecka kilkadziesiąt razy i który niegdyś zdawał mi się tak jasny i prosty, stał mi się obecnie skomplikowany i zagadkowy bardziej od Hamleta. *Pan Jowialski* — mówię to bez przekąsu ani ironii — stał się sfinksem naszej literatury.

Nie mam pretensji, aby tę zagadkę rozwiązać, ale spróbuję ją bodaj postawić. Bo zdaje mi się, że w ostatnich latach rozstrzygnięto ją bez jej należytego postawienia, a to ma zawsze pewne słabizny.

\*

Przypomnijmy tedy, że Stanisław Tarnowski nazwał w r. 1877 Jowialskiego „najmilszym w świecie staruszkim”. Nie mam kultu dla umysłowości Tarnowskiego, ale w tym wypadku świadectwo jego jest o tyle ważne, że krytyk był bliskim stosunkowo epoki Fredry i jego tradycji, mieszkał w Galicji, należał do tego samego świata, z pewnością znał samego Fredrę, mógł lepiej niż kto inny znać atmosferę komedii i osnute dookoła niej komentarze.

Ale już za moich lat szkolnych zetknąłem się z innym poglądem, z nutą, którą kiedyś miał zinstrumentować na wielką orkiestrę dętą prof. Kucharski. Mój nauczyciel polskiego w gimnazjum św. Anny, Miklaszewski, zwany „Miklas”, wykładał Jowialskiego jako symbol marazmu i kwietyzmu. „Nic dziwnego, że syn takiego ojca musi być idiotą”, mówił o szambelanie. Z „najmilszym staruszkim” zaczęło się coś psuć. „Ciasnota, skostnienie, bezmyślny optymizm, zdrętwienie w martwych prawdach” — tak charakteryzuje tę figurę prof. Chrzanowski; ale bardzo rozsądnie powątpiewa, czy to wszystko wyraża ta figura z wiedzą i za wolą Fredry.

Znana jest interpretacja prof. Kucharskiego. Komentarz ten, pomieszczony w wielkim wydaniu Fredry, podawany młodzieży za pośrednictwem *Biblioteki Narodowej*, domaga się tedy przedyskutowania. Zdaniem prof. Kucharskiego, Fredro, pisząc tę komedię tuż po upadku powstania listopadowego, w epoce największego znikczemnienia i oglupienia warstw przodujących w Galicji, chciał swoją sztuką wstrząsnąć rodaków. Jest to krwawa arystofanesowska satyra; dom Jowialskich to przekrój Polski. Chłosta serwilizmu („urzędy koronne”), bezmyślności. Sąd Tarnowskiego o „najmilszym staruszku” to przykra pomyłka. Jowialski, to marazm życiowy i zgrzybiałość ducha, życie ścieśnione do funkcji organizmu, „darmocha intelektualna” (przysłowia i bajeczki), obojętność na te setki czy tysiące dusz, których jako właściciel kilku wsi jest panem. Jowialski odpowiedzialny jest za syna idiotę, godnego „dziedzica swej lutni i swego imienia”. Dom Jowialskich to Polska „bez serc i bez ducha, wegetująca, przeżuwająca i dobrze trawiąca”; życie pana Jowialskiego to — „życie nikczemne”!

Taki oto proces wytoczono, i tak bez przesłuchania świadków i obrony skazano osiemdziesięcioletniego starca, o którego istotnym życiu wiemy właściwie dość niewiele, bo widzimy go przez kilka godzin przy gościach, zabawiającego ich dowcipnymi bajeczkami

i sypiącego przysłowia. Zrewidowano przy tym tekst, wzięto po prokuratorsku na tortury każde słowo, przetrząsnięto zakamarki domu Jowialskich.

O jednym tylko zapomniano. Trzebaż było poczekać jeszcze parę lat, aż ten czerstwy staruszek dokona wreszcie beztróskiego żywota. Trzeba zrobić inwentarz jego kancelarii. Co by tam znaleziono? Zapewne sporo książek i sporo papierów. Może ułożony jego ręką zbiór przysłów polskich? To jedno wystarczyłoby, aby uczynić pana Jowialskiego bardzo zasłużonym badaczem. A gdyby znaleziono jeszcze plik kapitalnych bajek? W takim razie był to świetny pisarz, samorodny talent, rozkwitły w tym dworku polskim, podobnie jak w takim samym dworku rozkwitł Fredro. Bo oto kwestia zasadnicza i nigdy, o ile wiem, nie postawiona: czy pan Jowialski jest autorem tych bajeczek, które wygłasza? Jeżeli jest, w takim razie darujcie państwo, ale autor bajki *Paweł i Gawł* i *Osiolkowi w żłoby dano* nie jest ramolem ani idiotą. Człowiek, który parę tuzinów takich bajek napisał, nie zmarnował w „bezczynej vegetacji” swego życia. Jeżeli pan Jowialski jest autorem swoich bajeczek, w takim razie cały mozolnie zbudowany akt oskarżenia wali się z kretesem. Cześć domowi, w którego ścianach kryje się taki poeta!

Chodzi o to, czy jest autorem? Jak tego dojść? Czy on mówi swoje bajki, czy powtarza cudze? Czy można wywnioskować to z tekstu? Kiedy pan Jowialski ma powiedzieć Ludmirowi bajkę, pyta się go: znasz powiastkę o Pawle i Gawle? Ludmir odpowiada: „znam”. Ale może ją już pan Jowialski zdążył mu opowiedzieć? Ludmir prosi, aby pan Jowialski pozwolił mu spisać swoje bajeczki. Po co by spisywał: gdyby to były rzeczy cudze, drukowane? Powie ktoś, może słusznie, że to pozór, aby wkraść się w łaski pana Jowialskiego i zostać w domu dla Heleny. Może. Pan Jowialski odpowiada mu: „I za parę miesięcy nie spieszysz wszystkiego. Zimować tu będziesz”. I Jowialski mówi do Ludmira: „będziemy wspierać się wzajemnie, my *autorowie*”. To ważne! Dlaczego nad tą wyraźną wzmianką przeszli komentatorowie do porządku? Wszak to zmienia zupełnie istotę rzeczy. Wówczas pan Jowialski staje się nowym typem galerii szlacheckiej Fredry, wcieleniem owego samorodnego talentu gawędziarstwa, tym miłszym, że tak naiwnym, u człowieka, który upaja się myślą, że będzie „drukowany” bodaj na czyjejs dedykacji, a nie wie o tym, że sam jest świetnym poetą.

Pan Kucharski, nie rozważywszy tego punktu, odsądza Jowialskiego od autorstwa, pisząc ironicznie w cudzysłowie, że powtarza bezmyślnie „swoje” bajeczki. Ale i inni przeszli mimo tej kwestii. Żądam tedy kategorycznie przesłuchania biegłych na okoliczność, czy pan Jowialski jest autorem swoich pysznych bajek, względnie czy mamy prawo „domniemywania”, że nim nie jest. Dopiero wówczas można by przystąpić do dalszej rozprawy.

Ale przypuśćmy, że pan Jowialski nie jest autorem bajek. Bądź co bądź, osobliwy to „ramol” ten osiemdziesięcioletek, który mógłby parę miesięcy gadać samymi bajkami i to dobranymi z nieomylnym smakiem. Jeżeli Fredro chciał tak doszczętnie zdyskredytować jego umysłowość, uczynił trochę lekkomyślnie, dając mu w usta swoje najlepsze wierszyki. Sama ta kolekcja przysłów daje do myślenia. Pan Kucharski widzi w sypaniu tymi przysłowiami, często przeczącymi sobie wzajem — ot, jak przysłowia! — „darmochę intelektualną”, jałowość duszy, karygodną obojętność na wszystko, co się dzieje dokoła. Ale można by powiedzieć, że to jest rozmiłowanie w przysłowiach człowieka, który je całe życie zbiera. Nie o podawanie mądrości życiowej mu chodzi; on się rozkoszuje nimi jak kolekcjoner, jak artysta. A umiłowanie to było w rodzie Fredrów: wszak każdej swojej komedii przydaje Fredro za motto przysłowie zaczerpnięte z Andrzeja Maksymiliana Fredry. A jeżeli jeszcze pan Jowialski swoje przysłowia gromadzi i spisuje, w takim razie jest to bardzo zasłużony człowiek, godzien stanąć obok Lindego, Glogera etc. I zaiste demagogicznym byłoby argumentem pasję jego, a nawet zasklepienie w niej, przeciwstawić świeżym klęskom narodowym. Toć i Kolberg w epoce nieszczęść narodowych chodził od wsi do wsi i zbierał piosenki.

W ogóle trzeba podkreślić, że znajomość nasza z tym staruszką zbyt jest powierzchowna, aby wydać o nim sąd apodyktyczny. Skąd my wiemy, że on wie próżniaczą vegetację? To pewna, że musi spędzać wiele czasu w swojej bibliotece. Może wstaje o piątej rano i pisze do obiadu? W każdym razie, kiedy czytam w komentarzu o jego skostnieniu, niemocy, ciasnocie intelektualnej, a potem widzę na scenie tego czerstwego i miłego staruszka, myślę sobie mimo woli, że życzyłbym i komentatorowi, i sobie, abyśmy w osiemdziesiątym roku życia tak się — bodaj umysłowo — prezentowali!

Kiedy Jowialski recytuje bajki, jest artystą zakochanym w doskonałości słowa; kiedy sypie przysłowia (a trzeba nie lada zwinności myśli, aby tak nimi sypać na wszystkie okazje, nie mówiąc o świeżości pamięci) jest namiętym specjalistą. Czyż dziw, że chodzi po świecie trochę nieprzytomny, pochłonięty swoją pasją? W stosunku do świata ma pobłażliwą filozofię. Pan Kucharski gorszy się, że go nie obchodzi los wnuczki; ale czyż to taka zbrodnia, że staruszek nie przejmuje się zbytnio sercowymi kłopotami egzaltowanej pannicy? Cóż on jej może poradzić? Na tle epoki, w dobie, gdy despotyzm rodziców gwałcił często tak brutalnie wolę serca młodych, to stanowisko dziadunia jest raczej sympatyczne; ten pobłażliwy filozof czyż nie zbliża się w tym do zasad nieingerencji dzisiejszego wychowania? Jego stosunek do rodziny jest raczej sympatyczny, nawet wówczas gdy sobie podżartowuje z nieszczęść ojcowskich pana szambelana, których to nieszczęść jedynie pruderia pewnych „fredrologów” nie chce uznać, bo w tekście Fredry zaznaczone są dość wyraźnie. Cóż ma robić, płakać? Z tym, że ma syna głupca, musiał pogodzić się od dawna. Komentatorowie czynią go za kretynizm syna odpowiedzialnym; czy nie słyszeli o tym, że częściej jeszcze niepospolici ludzie wydają na świat kretynów?

A co się tyczy atmosfery domu Jowialskich pod względem obywatelskim, bądźmy u Fredry z takimi sądami ostrożni. Sam nieraz zaznaczałem wątpliwości, jakie w nas budzą nieraz komedie Fredry w tej mierze; ale trzeba, jak prof. Chrzanowski, odróżniać to, co one do nas mówią, a co Fredro zamierzał powiedzieć. Toć wszystko to, co pan Kucharski mówi o Jowialskim, można by powiedzieć o *Ślubach panińskich!* W epoce tak ciężkiej dla narodu Guccio hula pod „Złotą papugą”, panienki robią robótki, czytają *Męża Kloryndy życie wiarołomne*, bawią się w idiotyczne śluby etc. Któż się tam interesuje — że zacytuje pana Kucharskiego — „tym jak też się wytwarza w jego majątku ten boży chleb, który on w tak błogim i uśmiechniętym niedołęstwie od zarania życia spożywa”? Czy może Radość? A przecież chyba *Śluby panińskie* nie miały być krwawą satyrą społeczną! Cóż za demagogia! Jest to ten sam proces, który później wytoczył Miller *Panu Tadeuszowi*, tylko o tyle trudniejszy, że w *Panu Tadeuszu* poznajemy Soplicowo o wiele wielostronniej. I że nikt Mickiewicza nie pomawiał o krwawą satyrę.

Wszystko to mówię, nie dlatego, aby przeczyć ożywczej — bodaj przez obudzenie sprzeciwów — wartości interpretacji prof. Kucharskiego, która, ujęciem Fredry na tle epoki, w której tworzył, wniosła dużo świeżości w nasz stosunek do pisarza i jego utworów; ale aby wskazać, jak ostrożnie trzeba poruszać się na tym gruncie. Bo w tej interpretacji jest olbrzymi procent dowolności, przerost mozolnej konsekwencji, doktryny. Dam jeden przykład, jak dalece prof. Kucharski dociąga wszystko do swojej tezy i jak dalece zmienia rolę badacza na rolę prokuratora. Chodzi o scenę 12 z II aktu, gdy Ludmir, porzuciwszy rolę szewczyka, wygłasza „tronowe orędzie”, będące w istocie dowcipną parodią tego rodzaju monarszych elukubracji. Oto jak interpretuje tę scenę prof. Kucharski:

zdumienie ogarnia obecnych. Stary Jowialski popada w zachwyt. A gdy mu jeszcze na dodatek zagrano jego piosneczkę (przysłowia), nie posiada się już z wiernopoddańczej egzaltacji. Oczarowany blaskiem Najjaśniejszych dyrdymalek, nie może słowa wymówić z zachwytu, w odurzeniu korzy się przed figurą błazeńską, niby przed cudownym zjawieniem się samego „Najjaśniejszego Pana” i ledwie w stanie jest podzielić — się z swą Małgosią rewelatorskim odkryciem: „To jakiś wielki człowiek!”

To wszystko czytamy w wydaniu przeznaczonym dla szkół i samouków... W istocie, może to służyć jako pouczający przykład, jak nie należy i nie wolno interpretować tekstów. Bo to wszystko, od A do Z, jest z palca wyssane. Skąd pan Kucharski czerpie wiadomość, że „stary Jowialski popada w zachwyt”, kiedy jedyna informacja autora brzmi „zdziwienie powszechne”? A informacja dotycząca samego Jowialskiego odnosi się dopiero do momentu, kiedy z ust Ludmira pada — przysłowie. Wtedy „pan Jowialski zadziwiony nie mogąc słowa wymówić, cofa się krok, Ludmir za nim — za każdym przysłowiem toż samo”. Jak tedy pan Kucharski ma prawo twierdzić, wbrew tekstowi, że on jest „oczarowany blaskiem najjaśniejszych dyrdymalek”? Po prostu namiętny kolekcjoner przysłów, staruszek żyjący swoją pasją — osłupiał nagle, gdy obcy przybysz, przed chwilą pospolity szewczyk, zaczyna sypać jak z rękawa przysłowiami. I odurzony kłania się serio, i szepce: „Najjaśniejszy Panie!”



I storturowawszy w ten sposób tekst, zrobiwszy ze zbieracza polskich przysłów austriackiego serwilistę, wykręciwszy w ten sposób jedną z weselszych scen naszej komedii, pan Kucharski wykrzykuje: „Jedna z najboleśniejszych kart naszej literatury porozbiorowej”! Doprawdy, kiedy poeci bujają po obłokach, to jest w porządku; ale kiedy belfry przypną sobie skrzydła i zaczynają fruwać, to bywa strasznie!

\*

Okrągło siedem miesięcy po zdobyciu Warszawy przez Paskiewicza ukończył Fredro (7 kwietnia 1832) pierwsze opracowanie komedii, która z powodów łatwo zrozumiałych nie dotyka ani jednym słowem świeżej klęski narodowej, a jednak cała mówi nie o czym innym tylko o źródłach, z których wypływają wody zatrute, niosące klęskę na łany życia...

Tak rozpoczyna się studium prof. Kucharskiego o *Panu Jowialskim*. Teza nęcąca niewątpliwie; nadaje ona komedii Fredry szerokie rozpięcie, czyniąc z niej coś w rodzaju *Wesela* Wyspiańskiego na owe czasy: stąd zapewne powodzenie tej koncepcji. Ale zbadajmy, o ile ma ona uzasadnienie w samym utworze? Czy tak ściśle wiązanie tej komedii (któż wie zresztą, kiedy poczętej w głowie poety) z wzięciem Warszawy i upadkiem powstania nie jest trochę fantazyjne? Data! Innymi drogami idzie mechanizm twórczości; to nie artykuł dziennikarski, który bezpośrednio reaguje na wydarzenia.

Nie mówię tego bez przyczyny. Bo oto patrzmy, na jakie manowce wiedzie prof. Kucharskiego ta data. Czym stają się dla niego choćby Ludmir i Wiktor:

(...) Są to „artyści” poszukujący wrażeń, ale w tej literacko malarskiej wędrówce tak wielką rolę odgrywa paszport, tak ci wędrownicy są nagabywani i prowadzeni „przez żołnierzy”, jakby pochodzili z korpusu Dwernickiego czy Ramorina i nie byli przepisowo zgłoszeni w cyrkule (...).

Odczytajmy tę pierwszą scenę Ludmira z Wiktorem; ważną, bo ona niejako poddaje ton komedii. Trzeba chyba być zupełnie niemuzykalnym literacko, aby tego nie wyczuć. To, że Fredro — gdyby istotnie dwaj jego bohaterowie „pochodzili z korpusu Dwernickiego i Ramorina” — nie mógłby tego powiedzieć wprost, to jasne; ale po wszystkie czasy poeci umieli sobie dawać radę z cenzurą; znalazłby tedy niewątpliwie transpozycję, która by pozwoliła bodaj przemycić ten ich charakter. Tymczasem cóż widzimy? Dwóch wesółych, niefrasobliwych artystów, włóczących się od karczmy do karczmy, aby tam podpatrywać typy, pochłoniętych swoją sztuką i zagadnieniami czysto estetycznej natury. I Ludmir wygłasza teorie, które — czuć to — są teoriami samego autora: „komedia Moliera koniec wzięła” — „nie ma wydatnych zarysów” — „trzeba szukać charakterów...”. Chodzi o istotę nowoczesnego teatru. Jesteśmy duchem o sto, o tysiąc mil od powstania i jego katastrofy. Jeżeli tą sceną Fredro nam chce dać ton krwawej satyry, trzeba przyjąć, że czyniłby to bardzo niezręcznie.

Słusznie też Siedlecki mieni za „dowolną nadbudowę” całą interpretację Ludmira i stosunek jego do jowialszczyzny, i jego „abdykację”, i apologię Wiktora (symboliczna dla Kucharskiego imię: *zdobywca!*) itd. Musiałby Fredro być bardzo lichym pisarzem scenicznym, aby napisać rzecz tak, że ani litera z tych objaśnień nie wychodzi w teatrze; trzeba jej szukać dopiero w mozolnym wykręcaniu tekstu. I w całej tej komedii więcej doprawdy czuć rozmiłowanego w typach malarza niż oburzonego satyryka. Trzeba to podkreślić: tego, co nas najbardziej uderza w tej klasie, jej „pasożytnictwa, jej beztroskiego bytowania”, tego bezwarunkowo Fredro nie czuł tak jak my.

Należy się bardzo mieć na baczności przed tymi złudzeniami perspektywy. Jak dalece ona się zmienia, odczułem niedawno na przedstawieniu *Złotej Czaszki* Słowackiego. Obrazek ten zrobił na mnie wrażenie krwawej satyry, gdy z *Parabazy* poety dowiadujemy się, że to — apoteoza...

Jedno zaciążyło nad „wykładami” tego utworu. Wieść niesie, że Fredro, będąc raz na przedstawieniu *Pana Jowialskiego*, miał wyjść z teatru podrażniony śmiechem publiczności, mówiąc: „z czego się oni śmieją?”. Ale syn autora sprowadza rzecz do tego, że Fredro wyszedł, bo mu się nie podobała gra aktorów. Przyznam się, że w pierwszej wersji legenda

ta nie wydaje mi się prawdopodobna. Satyra czy nie satyra, z chwilą gdy pisana jest jako komedia, musi budzić śmiech, i źle by było, gdyby go nie budziła. Trudno płakać, słysząc francuszczyznę Szambelanowej albo *hic, haec, hoc* Szambelana. *Wesele Figara* jest na pewno krwawą satyrą, a Beaumarchais byłby bardzo niezadowolony, gdyby się publiczność nie śmiała.

I mamy też inną jeszcze enuncjację Fredry, bardzo interesującą, podaną przez K. Wójcickiego. Mówi doń Fredro w r. 1869: „Jowialskiego nie pojęto i grać należycie nie umięją. *Ja tę postać żywcem wziąłem z sędziwego staruszka, Grzymaty, którego z bliska znałem. Dobroduszny, pełen prostoty starowina, powtarzał przysłowia i bajeczki, jakie z lat młodości zapamiętał*, a tu z niego robią jakiegoś bohatera, stroją go w kontusz i żupan bez potrzeby”...

Oto kruchość wszystkich teorii! Dostaliśmy pałką w łeb: i pan Kucharski, i ja. Ja — bo pokazuje się, że może w intencjach Fredry Jowialski nie był autorem bajeczek, tylko je zapamiętał; pan Kucharski dlatego, że tych parę słów o „dobrodusznym, pełnym prostoty starowinie” jakoś ani rusz nie licuje z „krwawym” wizerunkiem Jowialskiego, jaki sobie wyroił. Ale jakże odmiennie zachowujemy się wobec tego oświadczenia Fredry! Ja, prosty amator, chętnie przyznam się do lekkomyślności i powiem: „zbajałem się”. Pan Kucharski, jako fachowiec, wie, jak się obchodzić z tekstami: cytując te słowa Fredry<sup>30</sup>, opuszcza cały środek, który wypisałem kursywą, co oczywiście grubo zmienia sens! A przecież kilkowerszowe wyznanie Fredry, jak on sam rozumie swoją postać, można było chyba przytoczyć w całości! I zasługiwało na to, skoro właśnie o to chodzi, jak mamy tę postać rozumieć. Ale ponieważ byłby to dowód „odciążający” dla oskarżonego, więc się go eskamotuje. Już nie powiem, że to metody prokuratorskie, bo nie chcę obrazić pp. prokuratorów.

A wszak to własne zwierzenie pisarza najprościej może zawiodłoby nas na właściwy drogę. Artysta rozkoszujący się egzemplarzami ludzkimi, gotów jak Ludmir udać śpiącego w krzach pijaka, aby podchwycić na gorącym uczynku „charaktery”, kolekcjoner oryginałów, poeta urzeczony wizją życia — to Fredro. To, że komedia ta jest satyrą, to pewne. Ale jakże dobrotliwą, uśmiechniętą. Nawet ta najwyraźniej satyryczna i „najkrwawsza” rzekomo scena przebrania tureckiego, gdy Jowialski zdaje sprawę Ludmirowi z urzędów koronnych, jakże w gruncie rzeczy jest niewinna! Jeżeli „nicość obywatelskich tytułów i chwalców” i „przewrotność ojcowskiego rządu” dostaje tu „chłostę”, doprawdy ta chłosta wymierzona jest dość niestrasznym biczkiem. Takie powiedzenie jak: „jestem sułtan, słuchajcie, co każe: jeść, pić i pieniądze!” albo dialog: „Gdzie jest rozumnik koronny? — Tego urzędu nie ma”... nie, to nie są doprawdy zbyt krwawe pociski. I wskazałem w poprzednim felietonie, jakiego nakręcania tekstu trzeba, aby w nich ujrzeć „jedną z najboleśniejszych kart naszej literatury porozbiorowej”.

Ostatecznie, biorąc rzecz bez uprzedzeń, Fredro dał swemu Jowialskiemu raczej zalety. Miły, uprzejmy, delikatny, kochający, gościnny... A — z drugiej strony — czy mamy jakie poszlaki ujemnych cech jego charakteru? Nie, doprawdy, nie tak postępuje satyryk, jeżeli chce kogoś zozydzić do szczytu; jeżeli — twierdzi jego komentator — pokazuje na scenie „życie nikczemne”.

Fredro, to nie żaden Ibsen. Kiedy coś chce powiedzieć, mówi po prostu i dobitnie; kiedy czegoś nie mówi, widocznie nie ma zamiaru powiedzieć. Umiał powiedzieć jasno, co myśli o Geldhabie. Skąd wśród tylu jego arcyjasnych komedii ta jedna ma być splotem rebusów?

No i jak mógłby się Fredro znęcać nad staruszkiem! Ten pan Jowialski jest na pewno jakimś pociotem dobrego Radosta, może stryjecznym dziadkiem panny Anieli Dobrójskiej... Toć to wszystko dzieje się w rodzinie.

I zrozummy to, Fredro nie był Juwenalem. Uśmiech przeważa w jego najlepszych komediach. Kiedy później, na schyłku, zgorzkniał, wówczas i twórczość jego osłabła. Straciwszy uśmiech, stracił swoją siłę. Ostrożnie zatem z teoriami, które przekształcają zupełnie charakter pisarza.

<sup>30</sup>Pan Kucharski (...) cytując te słowa Fredry — Kucharski: *Aleksander Fredro: życiorys literacki*. [przypis autorski]

Teorię pana Kucharskiego powitano dosyć sympatycznie. A oto, moim zdaniem, powód. Pomiędzy szlachecką Fredrą a nowoczesną demokracją czas wykopał przepaść niezrozumienia. Otóż ta teoria rzuca pomost między pisarzem a nowoczesnością: ale czyni to, fałszując poniekąd Fredrę, każąc mu pluć na to, z czego on się tylko uśmiechał. Tylko brak w tym konsekwencji: czemuż wszystko skrupiło się na biednym Jowialskim? Czyż *Zemsty* nie można przyrzadzić równie na ponuro? Sam pisałem raz o *Zemście* z punktu widzenia murarza, który naprawiał mur graniczny. Podejmuję się spreparować ją w każdej chwili, i *Damy i Huzary* także, etc.

Zważmy wreszcie ostatni wzgląd: próbę sceny. Powtarzam: chyba Fredro jest ostatnim fuszerem, skoro nic z jego rzekomych intencji nie wychodzi na scenie. Widywałem *Pana Jowialskiego* od dziecka jeszcze z Rapackim; ostatni raz widziałem tę komedię w Teatrze Polskim, wybornie graną, ze Stanisławskim, Czaplinską, Leszczyńskim. Rozpytywałem starszych ludzi, pamiętających kilkadziesiąt lat naszej sceny, Rychtera, Żółkowskiego. Bo w *Jowialskim* grali zawsze najlepsi aktorzy. Otóż pan Kucharski twierdzi, że zawsze ta sztuka była źle grana. Mówi, że „pierwsze jej należyte wystawienie będzie premierą w całym tego słowa znaczeniu”. Zaiste, nigdy książkowa mądrość nie wyrzekła bardziej w siebie zadufanego słowa. Szkoda, że go Fredro nie słyszał, napisałby może komedię na ten temat.

Powie ktoś: sam Fredro nie był z gry zadowolony. Dobrze; ale o cóż mu chodziło? O to, że dobrodusznego, podpatzonego z współczesnego życia starowinę zaczęto stylizować w jakiegoś kontuszowca. Samo jego oświadczenie dowodzi, że szło tu raczej o rzeczy zewnętrzne. Bo trudno przypuścić, by jeszcze za życia Fredry wkradło się takie nieporozumienie, aby teatr robił „bohatera” z figury, którą on chciał opluć, skopać i na wieczystą wzdargę podać za jej — „życie nikczemne”.

Ale błagam, niech teatr to uczyni jak najprędzej. Niech się raz wyjaśni to bałamuctwo. Niech pokażą tę komedię ściśle podług wskazówek prof. Kucharskiego; pana Jowialskiego na krwawo, Ludmira jako rozbitka z korpusu Dwernickiego, a Wiktora jako „zwycięzcę”; jestem niezmiernie ciekaw tego widowiska. I ciekaw jestem, jak teatr tego dokaże.

Wszystko to są rzeczy do dyskusji. Owszem, dyskusje kształcą. Ale podawać młodzieży karkołomne wymysły jako jedyną niejako uświęconą koncepcję tej komedii Fredry, to uważam za kardynalny błąd zasłużonej Biblioteki Narodowej.

Uf! zasapałem się. Dawno się tak nie wyklóciłem. I to jest dobrze, tak być powinno. Dowodzi to, jak arcydzieła literatury do każdego pokolenia — do każdego człowieka — mówią odmiennym językiem, jak różne rzeczy pozwalają w sobie wyczytać, wciąż pozostając żywe i tajemnicze. Dzieło mówi wciąż co innego; a co chciał powiedzieć jego autor, czy my wiemy, czy on sam zawsze wie?... Ot, „postacie sceniczne w poszukiwaniu autora”, żyjące własnym życiem...

Kiedyś się tak porałem z tym *Panem Jowialskim*, wtajemniczyłem w moje kłopoty dawnego mistrza krytyki teatralnej, Kazimierza Ehrenberga. Wysłuchał i opowiedział mi, co następuje:

„Kiedyś, przed laty, wyszedłszy z przedstawienia *Pana Damazego* — zapytałem Blizińskiego: »Panie Józefie, niech mi pan powie, czy między Sewerynem a Mańką było coś czy nie?«. Bliziński popatrzył na mnie i rzekł: »Pan mnie pierwszy o to pyta. Ja sam mocno się nad tym zastanawiałem po napisaniu sztuki. Myślałem, że któraś aktorka grająca rolę Mańki mi to wyjaśni. Niech pan sobie wyobrazi, żadna klempa nie umiała mi odpowiedzieć«...».

## UZUPEŁNIENIE DO ROZDZIAŁU *Fredro*

W związku z artykułami o *Panu Jowialskim* nadesłał mi następujący list artysta Teatru Polskiego St. Stanisławski. Uwagi znakomitego artysty, którego kreację tytułowej roli w *panu Jowialskim* uznano ogólnie za arcydzieło, mają tutaj szczególniejszą wagę, dlatego przytaczam je w całości:

Wielce Szanowny i Drogi Panie!

Jestem z tych, do których wiara i uczucie mówi silniej niż mędrca szkiełko i oko. Grałem *Jowialskiego*. Jest to moja najukochańsza rola. Do studio-

wania tej roli zabierałem się z nabożeństwem, ale do komentarzy nie zaglądałem. Wiedziony jedynie intuicją aktorską powtarzałem nieskończoną ilość razy każdy ustęp, każdy wiersz, wnikałem w każdy wyraz, sylabę nieomal, i po miesiącach pracy i wielokrotnym graniu tej roli, piszę się na wszystko, co Pan o tej postaci mówi. Jakżem dumny i szczęśliwy, że intuicją doszedłem do tego samego, do czego mądrością doszedł „Boy-Mędrzec”. Komentatorów unikam jak zarazy od momentu, gdy jeden z nich, który nie pamiętam, zapewnia, że Radost ze *Ślubów*, gdy mówi do Albina: „Nie bądź Gustawem, lecz kochaj wesoło”, ma na myśli Gustawa z *Dziadów*! Ja zaś, choć nieuczony w piśmie, twierdzę, że tenże Radost, gdy mówi: „Co to w tamtej głowie!” ma na myśli owego komentatora. Mam niejaki wątpliwości, czy również o nim myśli, gdy mówi: „Co ten hultaj plecie?”, ale z całą pewnością utrzymuję, że do owego komentatora również stosuje Radost słowa: „On jak wilk do lasu. Eh, co mam z nim rozmawiać, szkoda tylko czasu”.

*Łączę wyrazy etc. St. Stanisławski*

# MICKIEWICZ

## MICKIEWICZ A MY

Zaproszono mnie, abym napisał słowo wstępne do wydania dzieł Mickiewicza. Zdziwiłem się. Czytelnik zdziwi się zapewne również. Ja o Mickiewiczu, dlaczego, skąd? Boy-dyletant, Boy-cynik, ani specjalista, ani polonista, ani profesor, ani mistyk, w ogóle nic.

Jest w tym może symptom: znaczyłoby to może, że stosunek nasz do naszych największych pisarzy znajduje się w okresie pewnego przesilenia: a wiadomo, że w momentach niebezpieczeństw czyni się koncesje, powołuje się do głosu lud. Tak to sobie tłumaczę; i nie w innym charakterze, ale jako najskromniejszy z ludu czytelników, zarazem namiętny czciciel poety, ośmielam się tych kilka uwag skreślić.

Stosunek publiczności do arcydzieł literatury — to rzecz dość skomplikowana. Kiedyś objeżdżał Francję z odczytami, pewien inteligentny Francuz powiedział mi: „Jaki pan szczęśliwy, że pan poznawał naszych wielkich pisarzy na własną rękę i w dojrzałym wieku!”. Zamyśliłem się nad tymi słowami. Istotnie, szereg rzeczy spiskuje przeciw bezpośredniości naszego odczuwania. W ich liczbie *szkoła* zajmuje może naczelne miejsce. Nie chodzi mi tu o krytykę tej czy owej szkoły: może być lepsza, gorsza, mogą być zwłaszcza różnice indywidualne między nauczycielami: chodzi o szkołę zasadniczo, o formę, w jakiej w młodocianym wieku podają nam literaturę. Dysonanse stąd wynikłe są u nas jaskrawsze może niż gdziekolwiek, ze względu na przewagę poezji w naszej literaturze. Poezja i szkoła, natchnienie i obowiązek, liryzm i klasyfikacja! Można by powiedzieć, że szkoła zbiera z grzędy literatury bukiet najwonnějších kwiatów i skrapia je asafetydą nudy i przymusu. Iluż dziesiątków lat nieraz potrzeba, aby odzyskać wrażliwość na utwór poetycki, który się kuło na pamięć, który się słyszało setki razy mechanicznie recytowany, przy którego „rozbiornie” ziewało się w letnie południe! Takie utwory jak: *Farys*, *Reduta Ordona*, *Oda do młodości* zostały pożarte przez molocho szkoły. Gdybyż ten upajający *Farys* był Artura Rimbaud, gdybyż się go czytało pod ławką! Trudno o większy paradoks niż ten szalony pęd przez pustynię, hamowany co chwila komentarzem nauczyciela. A *Sonetny krymskie!* Pewien pedagog eksplikował piękność sonetu „wpłynąłem na suchego przestwór oceanu” tym, że *suche* przegradzane jest *mokrym*, i przeprowadził tę ideę z nieubłaganą ścisłością. A porywy miłosne Gustawa sylabizowane pod okiem profesora! Taki ekshibicjonizm liryczny ma w sobie coś, co obraża wstydlivość dziecka: poezja traci swój delikatny puch. Poetów winno by się czytać ukradkiem. Szkoła powinna by karać za ich czytanie. Pierwszy raz odczułem poezję, czytając Heinego, bo nie był objęty programem szkolnym.

Rozumiem, że zapewne nie może być inaczej; że szkoła pracuje hurtownie, że na pięćdziesięciu chłopaków czterdziestu pięciu nie zetknęłyby się z poezją zupełnie, gdyby nie szkoła: że w sumie działanie jej może być dobroczynne: niemniej jednak niebezpieczeństwa te istnieją. Jedną z najtrudniejszych rzeczy jest odzyskać ludzki stosunek do pisarzy i utworów, z którymi zetknęło się w szkole.

To wszystko zaznacza się silniej w naszej szkole niż gdzie indziej. Cóż dopiero mówić o innych naciskach wynikłych ze służby społecznej, z roli, jaką poezja i literatura odegrały w naszym życiu narodowym. Uświęcone konwencje, pietyzm, względy moralne, wychowawcze... Bo u nas szkoła nie kończy się w szkole. Kłątwa dydaktyzmu ciąży nad wszystkim, okrawa życie.

Na nikim to tak nie zaważyło, jak na Mickiewiczu. Zyskał on w naszej literaturze stanowisko wyjątkowe, stał się symbolem woli życia narodu. Pisma jego stały się Pismem świętym. Pielgrzymowano do jego trumny jak do trumny *nieznanego żołnierza*. Ale czy nie było w tym niebezpieczeństwa, że przy tym trybie stanie się nieznanym poetą?

Był przez wiek cały naszym sztandarem. Toteż wszystkie partie wyciągały ręce po ten sztandar, aby go sobie przywłaszczyć. Wykręcano go, okrawano, czytano go z intencją wyczytania tego, co się chce.

Mickiewicz, można powiedzieć, nigdy nie należał — nie mógł należeć — do „normalnej” historii literatury.

Szkoła, Poezja

Odnawiać wciąż nasz stosunek do pisarzy, notować z czułością sejsmografu wrażliwość — i jej rodzaj — na te lub inne prądy, na te lub inne utwory, jest to piękne zadanie krytyki literackiej. Ta krytyka nie mogła u nas rozwijać się prawidłowo. Też ciążyły nad nią kategorie społeczne, tradycje, pietyzmy. Te rewizje nie odbywały się dość swobodnie, dość czujnie, nie dość samodzielnie zwłaszcza.

Przykład tego zmażenia krytyki widzimy poniekąd na Fredrze. Doszukiwano się wartości społecznych we Fredrze nawet tam, gdzie ich nie ma; czyniono ostoję ojczyzny z Cześnika i Rejenta, apoteozowano ciche dworki *Dam i Huzarów*, cnoty obywatelskie Gucia, zamiast uczyć podziwiać artyzm Fredry, który często nawet mizerię obyczajową potrafił zakląć w piękno. W końcu doprowadzono do zamętu pojęć i w rezultacie odepchnięto nową publiczność od Fredry. Oto przykład, jak wszystko po trosze spiskuje przeciw stosunkowi naszemu do literatury.

Krytyka literacka ma dwojakie zadania. Jedno — to pośrednictwo między wrażliwością widza a wartościami dzieła. Jest to niby wrażliwy i inteligentny przewodnik, oprowadzający po jego pięknościach, uczący patrzeć. Drugie — to związanie dzieła z jego epoką, objaśnienie go, odpowiednie nastawienie czytelnika do utworu powstałego w innej dobie, w innych warunkach. To prowadzi do poznania życia pisarza, wszystkiego, co jest z nim związane.

Bywali krytycy, którzy nie uznawali tej roli. Dzieło, powiadają, niech mówi samo za siebie. Ale to są doktryny. Nikt nigdy nie powstrzyma nas od interesowania się życiem genialnego człowieka. Można by powiedzieć, że on sam jest dziełem sztuki, że życie jego jest poematem czy powieścią, że on sam jest cudem.

Oba te rodzaje krytyki musiały być u nas cokolwiek zmażone. Warunki naszego życia narodowego zmieniały stosunek do przeszłości, przesłaniały oczy rozrzewnieniem, opromieniały ją pięknem, otaczały nie zawsze zasłużonym szacunkiem. Apoteozując w czambuł, licytując się na uwielbienia, przygotowano grunt do nieporozumień w rodzaju tych, które niedawno wybuchły o *Pana Tadeusza*.

Bardziej jeszcze zaznaczyło się to w stosunku do życia naszych wielkich ludzi. Nie tylko w historii literatury, także w historii. Kult przeszłości, która wszystko okupiła tym, że była bolesna. Powstała hagiografia Polski. Kościuszkę, Księżę Józef, Mickiewicza — to byli już nie ludzie, ale święci polscy. Jedną z najbardziej rozpowszechnionych książek o Mickiewiczu był *Monsalvat* Artura Górskiego, pisany w takim mętno-żywotoświętym stylu.

U innych narodów, nieobciążonych naszymi niedolami, ta część krytyki literackiej przybrała od dawna charakter bardziej, można by powiedzieć, przyrodniczy. Obchodzi się i okrąża, bada i opisuje wielkiego pisarza, jak np. lwa albo tygrysa. Naukowa bezinteresowność spojrzenia — też oczywiście, o ile polityka nie zrobi swoich spustoszeń. Chowają geniusza w Panteonie, ale nie darują mu żadnej słabostki. Profanacja? Nie sądzą. Raczej poczucie, że tajemnica geniuszu tkwi w czym innym niż w konwencjonalnej doskonałości. Że to „ziemskie, arcyziemskie”, z którego rodzi się *boskie*, to jest najbardziej wzruszające misterium: schwytać na gorącym uczynku owo skraplanie się geniuszu jest najpiękniejszym zadaniem krytyki. Ta pasja ducha łamiącego się, przedzierającego się przez ciemności, potykającego się w drodze, wybuchającego dziełami często ponad jego własną miarę, to najdziwniejsze, najciekawsze zjawisko. Żywot pisarza, to księga, która zawsze działa budująco, ale niekoniecznie przez same swoje cnoty.

U nas ten dział krytyki nie mógł, powtarzam, rozwinąć się pełno. Może to jest właściwością naszej rasy, że nie ma w niej owego ciekawego, niepoahamowanego dążenia do prawdy, do przejrzenia mechanizmu duszy ludzkiej, jakie cechuje np. literaturę francuską od Montaigne'a po dzień dzisiejszy. U nas zawsze był w tym dydaktyzm, nieśmiałość, ciasne względy moralne. Wszystko to parło do przesłaniania rzeczywistości. Nawet chwalebne skądinąd pobudki. Czytamy np. w pamiętnikach Władysława Mickiewicza: „Wrotnowski zapisywał przez kilkadziesiąt lat wypadki każdego dnia i ważniejsze zdania znakomitych ziomków. Po jego zgonie, jeden z jego przyjaciół, z obawy przed niemilosierzną ciekawością dzisiejszych badaczy ówczesnej literatury, spalił tę cenną kronikę tułactwa”... Domeyko, jeden z najbliższych przyjaciół Mickiewicza, napisał pamiętniki, ale potem sam znalazł, że za mało oszczędza ziomków, i rękopis spalił. Po latach zrehabilitował je znowu i jeszcze nie zdały mu się dosyć umiarkowane: drugi rękopis uległ

losowi pierwszego. Na schyłku życia trzeci raz chwycił za pióro i ten wariant ogłoszono po jego zgonie. Wprawdzie nikogo nie zadrasnął nawet, ale tak są pozbawione tchnienia młodości, że zostało tylko suche i bezbarwne streszczenie kolei życiowych...

Istnieje tomik Sainte-Beuve'a, twórcy nowoczesnej krytyki, wydany po jego śmierci, pt. *Mes poisons (Moje trucizny)*. Tam jest wszystko, czego nie chciał powiedzieć o swoich współczesnych. Polskie *Trucizny* zajęłyby pono całą bibliotekę...

Tak więc, ten brak potrzeby utrwalenia prawdy sprawia, że i materiał do badania przeszłości mamy znacznie uboższy, i korzysta z niego historia literatury dosyć nieśmiało. Ale nigdzie nieśmiałość nie zaznaczyła się bardziej niż w stosunku do Mickiewicza. Mickiewicz był to posąg z brązu w naszym narodowym kościele: czuwano pilnie, aby na tym posągu nie było rysy. Wszystko od początku do końca musiało być w nim jednolite, musiało być piękne, musiało być wielkie — życie i dzieło. Skoro powiedział, że on i ojczyzna to jedno, dotknąć go znaczyło targnąć się na samą ojczyznę! Ten człowiek tak bezwzględnie atakowany, tak namiętnie zwalczany za życia, stał się narodowym *tabu*. Jeden Wyspiański rzucił mu rękawicę, ale pojedynek ten rozgrywał się w tak górnych sferach! Wszystko, co było nie dość na miarę wieszczki narodowego, widzianego w konwencjonalnie pomnikowym kształcie, było niejako eskamotowane<sup>31</sup>. Są ustępy w listach Mickiewicza, których nie cytuję się nigdy, tak samo jak są niewygodne rzeczy w Biblii, nad którymi się przechodzi milczeniem. Pamiętam z dzieciństwa drobiazg, ale dość charakterystyczny. Ktoś z dawnej Polonii paryskiej ogłosił wspomnienie z jakiegoś wesela, na którym Mickiewicz podobno podochocił sobie trochę, tańczył i śpiewał dość swobodną piosenkę. Na to wyruszyła natychmiast córka, pani Maria Górecka, z protestem przeciw „kalaniu pamięci poety”...

Czy Mickiewicz śpiewał tę piosenkę czy nie śpiewał, czy ten fakt tak bardzo pokalałby jego pamięć, mniejsza; cytuję to, ponieważ wydaje mi się charakterystyczne. Ale uderzyło mnie to: Mickiewicz jest, obok Fredry, największym naszym humorystą: otóż jak pieczołowicie nasi „monsalwaczczy” ogołocili życie jego z elementu humoru! Z jaką przyjemnością czytałem w książce Wasylewskiego *O miłości romantycznej* ów epizod kowieński, jak to Mickiewicz, który był wówczas „w dzikim humorze”, palnął w łeb lich-tarzem pana szambelana oraz jak spisano ów nieoszacowany protokół sądu honorowego, który orzekł, aby skoro Adam wchodzi do domu pięknej pani Kowalskiej, „szambelan (jeżeli już tam siedzi) natychmiast precz wyruszył, i wzajemnie, jeżeli szambelan wchodzi, a Adam siedzi, Adam precz wyruszył”... Jakież to rozkoszny komentarz do *Dziadów*!

Czyż potrzebuję dodawać, że rysy komiczne nie mają nic wspólnego z brakiem szacunku; że opowiada się je o najdroższych osobach. Obracałem się od dziecka w świecie artystów, żyłem w pobliżu Przybyszewskiego, Wyspiańskiego: ależ tam nie było dnia bez anegdoty! A jakże te charakterystyczne rysy przybliżają, jak ułatwiają obcowanie z poetą, z jego dziełem!

Ale można by rzecz ująć głębiej. Można powiedzieć, że życie wielkiego poety jest zasadniczo komiczne, co nie stanowi bynajmniej sprzeczności z jego tragizmem! Jest komiczne przez nieustanny kontrast między marzeniem a realnością, światem myśli a światem faktów, wzlotem ducha a przyziemną trywialnością. W nieustannych konfliktach swych z rzeczywistością poeta jest prawie ciągle komiczny, wspaniałym i szlachetnym komizmem Don Kichota. Komiczny jest Rousseau w swoich szamotaniach się w pustelni, komiczny Musset w „epizodzie weneckim”, komiczny Shelley w swojej podróży na ośle, komiczny Balzac w swoich planach i pomysłach, komiczny Byron wjeżdżający do Wenecji ze swoją menażerią... Wiernie spisane życie poety, to nieodzownie wielki poemat komiczny. I kochamy go za ten komizm: on może uczłowicza jego wielkość...

Czuł ten poetycki komizm Słowacki, gdy pisał komedię o Zygmuncie Krasieńskim. Czy nie mógłby jej napisać o Mickiewiczu? Sądzę, że by mógł. Nie mówię o tragicznej komedii towiańszczyzny, w której, kiedy się czyta listy Mickiewicza, ma się chwilami ponure wrażenie jakiejś reminiscencji molierowskiego Orgona, co nie znaczy zresztą, aby Towiański był Tartufem. Ale czyż nie jest olbrzymim rozdziałem z *Don Kichota* historia naszej emigracji, ów ciągły zatarg z przeciętnym życiem ludów, w którym Mickiewicz,

<sup>31</sup>eskamotować — zręcznie ukryć. [przypis edytorski]

zrażony materializmem<sup>32</sup> Francuzów, dochodzi np. do wniosku, że... „Anglia gotowa jest przelać krew za Polskę”. Czyż nie jest wspaniałym Don Kichotem Mickiewicz wyruszający ze sztandarem na czele legionu złożonego z dwunastu ludzi, „prawie wszystkich nic wartych”, jak mówi o nich Krasieński? Życie ma swój patos i ma swój komizm, i dopiero te dwie rzeczy razem dają pełnię prawdy.

Tak, jednolitość posągu wieszczą osiągnięto nieco sztucznie. Tymczasem wspaniały tragizm jego życia leży nie w jednolitości, ale w jego walkach i rozdarciach. Nie ma potrzeby go powiększać ani upiększać; Jest dość wielki i piękny. Mickiewicz to nie posąg; to człowiek ze swymi wzlotami i upadkami, to wielki twórca, którego nieszczęścia ojczyzny wzbity na najwyższy szczyt i złamały go na nim.

Ale ta droga była, zdaje mi się, cokolwiek inna, niż moglibyśmy myśleć pod wpływem sugestii, którą nazwałbym genialną i bezwiedną zresztą mistyfikacją poety. Mając w pamięci *Dziady*, ulegamy złudzeniu, jakoby przemiana Gustawa w Konrada nastąpiła w celi bazylianów w Wilnie. W rzeczywistości linia ta wydaje mi się odmienna. Zatem najpierw Mickiewicz jako filomata w owym kółku, które jako główny cel kładło kształcenie się, ćwiczenia literackie i cnotę. Były to na ogół horyzonty dość ciasne. Rozszerza je dla Adama miłość i zawód miłosny; Schiller i Goethe. Mickiewicz staje się wielkim poetą, poetą własnego cierpienia, indywidualistą-romantykiem. Pochłania go problem własnego ja. Marzy o wyjeździe zagranicę, o poznaniu obcych ziem. Oddycha wichrami buntu, bogiem dla niego Byron. Kiedy już duchowo oddalił się od towarzyszy, kiedy zostawił ich daleko za sobą, naraz los łączy go z nimi na nowo. Wybucho sprawa filomatów, wydepta sztucznie przez Nowosilcowa, który widzi w niej sposób pozbycia się Czartoryskiego. Więzienie, niesrogie zresztą, w którym Mickiewicz, jak sam pisze, „odzyskał wesołość”, wyrwało go z zaduchu kowieńskiej belferki, z błędnego koła udręczeń miłości, dało nowy pokarm jego duszy. Wygnanie do Rosji jest raczej wyzwoleniem: nowy, szerszy świat; Odessa, Moskwa, Petersburg. Salony, miłostki. Sonety miłosne, sonety krymskie. Atmosfera literacka Rosji jest dlań ożywcza. „Zostaliśmy o wiek cały w literaturze” (w tyle), pisze. Dojrzewa jako artysta, jako człowiek. Tu, na obcej ziemi, staje się owym władcą mowy polskiej, na jakiego ta mowa czekała przez wieki. Przyjaźń z Puszkinem, dziwne projekty małżeństwa z Niemką Jaenichówną. Żyje z Rosjanami, o co go strofują filomaci, wywołując dość cierpką odprawę poety. Poeta chce żyć, chce czerpać swobodnie soki, gdzie je znajduje. Obok *Wallenroda* — *Farys*; wybuch wściekłego indywidualizmu, lot w kraje, gdzie „prócz mnie nie było nikogo na ziemi”...

Wreszcie upragniony wyjazd zagranicę. Berlin i Hegel; Weimar i Goethe; Drezno, Szwajcaria, gdzie na szczytach Splügen na próżno chce rozstać się z dawną miłością, wreszcie Rzym i życie towarzyskie, cuda natury, nowa miłość, chociaż trochę letnia...

Naraz wybucho w lipcu rewolucja w Paryżu, którą Mickiewicz przewidział, i w listopadzie powstanie w Warszawie, którego Mickiewicz nie przewidział. Było ono i dla Warszawy niespodzianką, tym bardziej dla poety, który nigdy w Warszawie nie był, który był do niej uprzedzony (jak mu to wyrzucają wielbiący go Mochnacki i najżyczliwszy mu Lelewel) i który odległy był od wyczuwania podziemnych nastrojów kraju. Toteż można powiedzieć, iż powstanie listopadowe spadło mu jak dachówka na głowę. Czuje, że powinien coś począć, miesiącami wybiera się z Rzymu do Polski, gdzie wyczekują twórcy *Wallenroda*, poematu który tyle przyczynił się do rozpalenia serc i wyobraźni. Wreszcie jedzie do Polski na Genewę i — Paryż. „Jest to jeden z najbardziej zagadkowych okresów w życiu Mickiewicza”, pisze Kallenbach; ale szczególnie jest, że ci sami badacze, którzy tyle pracy poświęcili lada mniemanym „wpływowi” na każdy wierszyk Mickiewicza, nic nie uczynili, aby tę zagadkę rozjaśnić. Ten okres życia Mickiewicza jest jakby wstydliwie pomijany.

<sup>32</sup>*Mickiewicz, zrażony materializmem* — bratanek Ludwika Górskiego opowiadał mi następującą anegdotę, którą słyszał wprost od swego stryja. Ludwik Górski, młody student uniwersytetów niemieckich, przybywszy do Paryża, pospieszył złożyć uszanowanie Mickiewiczowi. Został go przygnębionym i zniechęconym, narzekającym na materializm i chłód Francuzów. Na to Górski, jeszcze pod wrażeniem niemieckiej filozofii, niemieckiego idealizmu, zaczął mu z zapalem opowiadać o Niemcach jako przeciwieństwie do tej wystygłej Francji. Mickiewicz słuchał w milczeniu, pykając fajkę, w końcu machnął ręką i rzekł: „E, już ty mi daj pokój z Niemcami i ich entuzjazmem. Niemcy — to jak g...o; póki zmarznąte, to pół biedy; ale jak odtaje, to dopiero śmierdzi”. [przypis autorski]



Po wielu miesiącach poeta dostaje się na wieś w Poznańskie, gdzie romansuje, bawi się i poluje, podczas gdy powstanie, skrwawiwszy się, dobiega końca. Poeta jak gdyby oprzytomniał ze swego bezwładu i oszołomienia zmysłów. Widzi wynędzniałych niedobitków, którzy przeszli granicę, resztki wojska polskiego. Musi połknąć niejedną przycinek, on, bard narodu, nawet brutalną replikę generała Małachowskiego<sup>33</sup>. Przechodzi piekło wewnętrzne, podobno bliski jest samobójstwa.

„Cały rok od wyjazdu z Włoch był tak okropny — pisze z Drezna do Julii Grochowskiej — że boję się myśleć o nim jak o chorobie albo złym uczynku, lubo<sup>34</sup> pani nie zrozumiesz mocy tego ostatniego porównania. O przeszłości tedy wolę milczeć”...

Biedny poeta! Ledwie wyrwał się na swobodę, ledwie odetchnął szerokim tchem Europy, cudów natury, skarbów sztuki, już rzeczywistość przypomniawszy ma, że w Polsce nie wolno być tylko poetą, tylko artystą, geniuszem, człowiekiem; straszna dola narodu zadzwoniła mu łańcuchem. Jak Halban Konradowi, tak życie przypomniawszy mu jego misję. Mickiewicz rzucił się do stolika z papierem i tam znów odnalazł siebie. Ocalał, zatryumfował, ale życie jego osobiste jest złamane.

W Dreźnie, tuż po krwawych wypadkach, pisze III część *Dziadów*. I tu dopiero, po upadku powstania, następuje prawdziwa przemiana Gustawa w Konrada, i tej przemianie zostaje wierny do końca.

Trzecia część *Dziadów* jest najwspanialszym przykładem sugestywnej potęgi geniuszu. Co czyni Mickiewicz? Czuje potrzebę zakrzyczeć w sobie głos wyrzutu, przekrzyczeć niedawny huk dział, jęki konających, rozpaczne śpiewy wyrznanego miasta. Pisze kilka tygodni w istnym szale: powstają nowe *Dziady*. I co jest ich treścią?

To, co czyni poeta, wydałoby się niemal zuchwałe. Oto w obliczu nieszczęścia całego narodu, wobec przegranej wojny, pogrzebanych nadziei, on wraca myślą do dziecinnego więzienia wileńskiego i tam, w tej szczupłej ramie, zdobywa się na wzlot, który stanie się nieśmiertelnym wyrazem patriotycznego bólu, który narzuci się całemu narodowi, zespoli poetę z ojczyzną w jedno i uczyni go tym, który *cierpiał za miliony*. Oto cudowna mistyfikacja geniuszu. Może za parę wieków zapomną ludzie o powstaniu listopadowym, nigdy o improwizacji Konrada. Na wieki wieków, póki będzie żyła polska mowa, centralnym punktem uczuć narodowych będzie to więzienie oo. bazylianów, gdzie kilkunastu młodych ludzi przesiedziało pół roku nie wiadomo za co. Warszawa powstała, Polska się skrwawiła, ale despotyzm poezji przeniósł serce narodu do Wilna, gdzie młode litewskie dryblasy piły mleko, harcowały po łące i odmawiały litanie do Tomasza Zana.

Czy to znaczy, że chcę obniżyć czyn Mickiewicza? Ani trochę; chcę tylko położyć palec na dramacie jego życia. Nie więzienie wileńskie, ale powstanie listopadowe jest krytycznym tego życia punktem. Stosunek jego do powstania zazwyczaj jest dyskretnie eskamotowany, przechodzi się nad nim mimochodem, gdy to jest najtragiczniejsza pasja ducha, z której poeta wychodzi zwycięzcą i złamany zarazem. Ważność tej sprawy zdaje się w życiu Mickiewicza olbrzymia. Można by ją porównać ze sprawą dzieci Russa, które ten odnowiciel macierzyństwa i moralności wytracił w domu podrzutków. Ten grzech przeciw samemu sobie zaciężył nad przyszłością poety; czyż dalsze jego życie, w którym wyrzekł się próżności i chwały talentu, a cały oddał się sprawie, nie przypomina habitu Robaka, pod którym Jacek okupuje swoje winy?

I tu — w osobie Robaka — byłby może łącznik tego zdumiewającego kontrastu. *Pan Tadeusz*, rozpoczęty już w listopadzie r. 1832, tuż po trzeciej części *Dziadów*.

„O temże dumać na paryskim bruku” — wykrzyknie poeta, ukończywszy ten przedziwny poemat wspomnienia i tęsknoty. Paryż! Oto miasto, w którym rozbitek osiadł. Całą prawie resztę życia spędził w tym Paryżu, którego serdecznie nie lubił i który, można przypuszczać, niezupełnie rozumiał...

Pierwsze to było naprawdę zetknięcie się Mickiewicza z nowoczesnym społeczeństwem. Znał Litwę, znał Rosję, przebiegł Europę jak pielgrzym wędrowiec, gościnnie witany w przyjaznych domach. To była Europa widziana z lotu poety. Paryż po rewolucji

<sup>33</sup>brutalna replika generała Małachowskiego — „Kiedy raz w liczniejszym zebraniu poeta wywodził, że należało raczej zagrzebać się żywcem pod murami Warszawy, niż uchodzić z życiem zagranicę, odpowiedział generał Małachowski: »Chyba dlatego tak wypadło postąpić, abyś pan miał jedną ruinę więcej, na której z boleścią mógłbyś opiewać nasz upadek«” (Kallenbach, I, 452). [przypis autorski]

<sup>34</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

lipcowej, to było gorączkowe organizowanie się nowego świata, tryumf mieszczaństwa, ukoronowanie pieniądza, bitwa na pięciofrankówki: to ów Paryż, którego Homerem był Balzac; Paryż twardy, gorączkowy, ambitny, pracowity, heroiczny — ale na swój sposób. Cóż to za kontrast z nastrojem emigrantów-tulaczy! Czytajmy *Kuzynkę Bietkę, Falszywą kochankę* Balzaka: ujrzymy tych Mohikanów na bruku Paryża, z ich niezdolnością do realnego życia, z ich wspaniałym, daremnym bohaterstwem i wieczną obcością w zwartym francuskim organizmie. W ten świat pieniądza i drobnych zabiegów wchodzi poeta gardzący rachubą, każący mierzyć siły na zamiary; w ten świat nauki, przemysłu, organizacji wchodzi ten, który zawsze ze wzgardą patrzył na „mędrca szkiełko i oko”. Staje się pastermem tego plemienia wychodźców, którzy, wedle zabawnego wyrażenia Sainte-Beuve’a, *czamarą* swoją odgradzali się od świata niby Izrael obrzezaniem. Nastrój tego Izraela na wygnaniu, tęskniącego do ziemi obiecanej, jest przeraźliwy. Nic bardziej osmucającego niż czytać paryską korespondencję Mickiewicza. To życie tak sztuczne musiało stworzyć jakiegoś *fatamorgana* w paryskiej pustyni. Towiański wydaje się niemal koniecznością.

Nie ma zapewne trudniejszej rzeczy niż „trzeźwy” sąd o mesjanizmie. Trzeźwy sąd o nietrzeźwości będzie zawsze bardzo mizerny. Mówi się o dobrodziejstwach mesjanizmu jako talizmanu, który w danej epoce ocalił duszę polską i jej zdolność do życia, jest w tym chyba sporo przesady i niewiary w żywotność narodu. Czesi, Bułgarzy, przetrwali cięższe może opresję, nie będąc mesjaszem narodów. Ale trudno się dziwić, że gdzie choroba zdaje się beznadziejna, a lekarze opuszczą chorego, zjawiają się znachorzy. Towiański był naszym znachorem.

Posłuchajcie wyjątku listu brata Adama do mistrza:

*Mistrzu i Panie!*

Pobyt mój tu utwierdza mnie w mniemaniu, że Szwajcaria jest za sprawą ucepiona, a kanton tutejszy będzie jednym z jej ogniów na ziemi... Drucey przepracowany mocno... Człowiek ruchu i mocy. Potrzebujący wywnętrzać się w mowie i czynach, słucha rzadko, ale dobrze, i wszystko, z czym odezwalem się, brał aż do głębi. Sam powiedział raz w rozmowie, że może w przeszłym życiu był wołem...

Albo ten straszliwy list z dn. 12 maja 1847 r.

Kiedy nam Bóg nie dał tej łaski, aby sam nasz duch, samo oblicze nasze wyzywało bliźnich do skupienia się, do podniesienia, do czci dla nas, chcieliśmy brak nasz fizyczny zastąpić fukaniem, krzykiem; a kogo nie mogliśmy wystraszyć, ogłaszaliśmy zaocznie za zbrodniarza i buntownika...

(...) Tę władzę chcieliśmy uprawnić, spajając ją z władzą duchowną. Dlatego powtarzaliśmy, że mówimy, że rozkazujemy z ducha, lubo ducha nie było w nas czuć. Braci takimi rozkazami osłupiałych strasziliśmy co chwila karami bożemi, wywoływaliśmy te kary; cieszyliśmy się, kiedy brata ból lub nędza dotknęła, odpychaliśmy go, deptaliśmy. Stawaliśmy się podobni trzodzie wilków, która towarzysza rannego rozdziera i pożera”...

A to z innego listu:

Z wielu znaków mam przekonanie i widzenie, iż choroba Seweryna (bo on fizycznie bardzo cierpi) jest całkiem duchowa. Jakiś duch obcy, a może i kilku ich osiadło w dolnej części jego ciała i trapią go. Gdyby Bóg dozwolił ich górą przez gardło i usta wygnać, Seweryn w jednej chwili byłby zdrów.

Drogo opłaca się wzloty mistyczne. „*L’homme n’est ni ange ni bête, et le malheur veut que qui veut faire l’ange fait la bête*” — powiedział genialnie Pascal. A w każdym mistrzu tkwi coś z Rasputina. I jeżeli to jest Monsalvat Mickiewicza, wolę go w niższych regionach. Ciekaw byłbym „psychoanalizy” Towiańskiego. Ale i o psychoanalizę Mickiewicza z owej epoki nie byłbym zbyt spokojny... Poeta Or-Ot opowiada po Warszawie z tego okresu towianizmu przerażające rzeczy, które słyszał, jak mówi, od starszych i wiarogodnych ludzi...

Lepiej wyszedł na towianizmie Słowacki. Bo on przeczarowywał wszystko na poezję. Mickiewicz był pod tym względem organizacją bardzo dziwną. „Bania poezji” — jak pisze o tym — rozbiła się nad nim okresami: stan, który parę razy wyraźnie opisuje jako jakieś nawiedzenie. Coś chwyciło go za włosy i wydobywało zeń cud, z których sam potem nieraz nie umiał sobie zdać sprawy. Potem zostawał uparty Litwin pałacy fajkę, realista. Przykładem jego listy. Nie ma w nich nic owej poetyczności, której nawykliśmy szukać w listach poetów; są rzeczowe, proste. Dziwne wrażenie wywiera na przykład płaskość, z jaką mówi o swoich projektach małżeńskich w Rosji. A improwizacje, owe wspaniałe improwizacje, które mu tyle przyczyniły sławy? Opisy utrwaliły jedynie wrażenie tych improwizacji: wrażenie, które — jak po głośnej improwizacji paryskiej — dochodziło do ataków płaczu, szlochów. A teraz posłuchajcie:

Wśród szczęśliwości  
Nie masz zazdrości  
Porzućmy plotki  
Śmieszki zgryzotki  
Kto tam gdzie szlocha  
Kto się gdzie kocha  
Wszystkie tam gaszki  
Wszystko to fraszki  
Smutki porzućmy  
Tu się nie smućmy  
Wśród szczęśliwości  
Nie ma zazdrości  
Wszystko to fraszki  
Dalej do flaszki!

Te wiersze, które i treścią, i formą wyzywają sławne kreacje Rozbickiego i księdza Baki — to też improwizacja Mickiewicza z najlepszej epoki z r. 1827, z epoki *Wallenroda* i *Farysa*. A jeśli je przytaczam, to aby zilustrować przykładem, jak dalece w tym tajemniczym człowieku — który niewątpliwie krył w sobie jakieś siły mediumiczne — było wszystko wybuchem, jak mogło być niskie, zarówno jak nieporównanie wysokie i jaką posiadał sugestywną siłę, skoro nawet takimi wierszami umiał słuchaczy urzec. Chodzi mi o wskazanie, jak dalece, mówiąc o Mickiewiczu, trzeba unikać zdawkowego fetyszyzmu. Wedle szkolarskich sądów, Mickiewicz to mądrość, umiar, harmonia, coś jowiszowego; gdy tymczasem Mickiewicz to ślepa siła wybuchająca niespodzianie, na wpół świadoma siebie, nieoczekiwana. To opętanie człowieka, którym namiętność włada zawsze, który oddaje jej się niepodzielnie, który idzie w niej do ostatnich krańców, gotów targnąć się w swojej wierze na samego Boga, nie liczący się z niczym; geniusz, który niejedną raz w życiu ociera się o obłąkanie. Oszałały bólem pustelnik, wchodzący w dom księdza, zrealizuje się w wiele lat później; tylko nie miłość kobiety, ale męka narodu będzie jego bólem, i nie biednego ruskiego księżynę będzie tyrpał i tarmosił, ale samego papieża... I znów Mickiewicz stanie się, na ostatek życia, wielki.

I, jeśli dalej czytać korespondencję Mickiewicza, jakże ożywczo czuć tę odmianę tonu. Listy z przed 1848, a po 1848 r. Tamto epoka beznadziejna, najciemniejsza dla sprawy polskiej. Nikt o nas słuchać nie chce. Tu przypada pograżenie się Mickiewicza w towianizmie, szamotanie się w sprawach „Koła”. Wybuchoła rewolucja. Z każdym *ruchem* rzecz polska staje się czymś realnym; znów Mickiewiczowi wyrastają skrzydła u ramion, mistrz Towiański i jego mistyka bezczynu schodzą na dalszy plan.

Jak *Dziadami* Mickiewicz zasunął w cień swoje słabe chwile, tak wspaniałym finałem swego życia przesłonił wszystko inne. Zapomniano mu ów smutny adres do Mikołaja, mający cara Wszechrosji pozyskać dla „sprawy”. Wyszedł zwycięzcą ze sporu ze Słowackim, w którym piękna rola była raczej po stronie Słowackiego. Dziś jeszcze wypominają biedakowi „zarozumiałość” i zawiść w stosunku do Mickiewicza. Naród potrzebował swego symbolu, swego boga; stał się nim Mickiewicz. I pod tym kątem uczono o nim, pod tym kątem przyrządzano jego dzieje. Dzieje fałszuje się w Polsce dość chętnie. Powiada Mickiewicz, kiedy ma pisać *Historię Polski*: „Widzę, niestety! jak to trudno co dobrego

Poeta, Naród, Sztuka,  
Polityka

zrobić! jak u nas strasznie historię sfalszowano”. I uczyniono z Mickiewicza po trosze brązowego bożka. Ale ta brązowa kanonizacja miała swoje niebezpieczeństwa.

Wzniesiono tedy Mickiewiczowi pomniki, uczyniono zeń rodzaj „trzeciego maja” przeciw pierwszemu majowi, sztandar przeciw socjalistom. Mickiewicz — to była tradycja, kontusz, wiara, ład i porządek. To była „reakcja”. Ale pomału zaczęli się pod niego podbierać socjaliści, i mówić „on jest nasz”, i też pielgrzymować pod jego pomnik. Zaczęto ogłaszać jego paryskie pisma: jak dalece te pisma były nie na rękę, świadczy fakt, że pewien konserwatywny polityk wystąpił *przeciw odgrzebywaniu zapomnianych artykułów Mickiewicza (!)*. Dziś Emil Haecker robi poetę jawnie socjalistą<sup>35</sup>, cytując słowa Władysława Mickiewicza, jeszcze z r. 1870:

„Mój ojciec nie obawiał się przybrać miana socjalisty w tym czasie, kiedy ta nazwa ściągała na siebie obelgi i cały gniew społeczeństwa rządowego”.

Socjalista? To za słabe! Bolszewik, gdyby wierzyć Zygmuntowi Krasieńskiemu. „Za nasydnych dni bywają zbrodnie druku, warte dawnych zbrodni zabójstwa, ojcobójstwa, zdrady ojczyzny itd... Gadają jak natchnieni, czynią i postępują jak galerniki!... Dopierom teraz się przekonał, jak głęboko upadł Mickiewicz (...) Wiedźże więc raz na zawsze, że cały skład »Trybuny« z samych łajdaków był złożony, że im w głowie był rabunek i rzeź”... To wszystko — to opinie Krasieńskiego o „Trybunie Ludów” w listach do Augusta Cieszkowskiego.

Nic ciekawszego nad te listy i bezcenny materiał, jaki w nich znajdujemy o Mickiewiczu. To nie ten wylizany brązowy katecheta, którym Rostworowski chciał w *Zmartwychwstaniu* uświęcić jego pamięć. Ten żywy, znajomy Krasieńskiemu Mickiewicz, to „tyran i niewolnik”. To „duch rozpadu i rozdarć”. „Nie wrzeszcz tak — pisze Krasieński — jak Adam, co myśli, że można *nastajaszco* mówić do Boga”. „Uwierzyłem w diabła, patrząc na tego człowieka, patrząc na jego nienawiść *kategochen*, na jego radość, ilekroć się gdzie krew leje. On przekonany, że go Bóg posłał katem swoim na świat”. — „W nim Chrystusa nie ma. Jest tylko Jehowa: miłości za grosz nie ma. Bucha tylko zawiść i nienawiść — coś piekielnego!”.

I — jako finał — te słowa listu Krasieńskiego po śmierci Mickiewicza: „Arcysmutna wiadomość! głazem grobowym przycisnęła mi serce, bom go kochał”...

I gdzie indziej: „On był dla ludzi mego pokolenia i miodem, i mlekiem, i zółcią, i krwią duchową”...

Wróćmy do socjalisty. Jest oczywiście coś z gry słów, kiedy się dziś mówi o socjalizmie Mickiewicza. Słowo to znaczyło wówczas co innego niż dziś; no i ten socjalizm Mickiewicza, spod którego wylazł w najmniej potrzebnej chwili ów tak rażący Herzena napoleonizm, był dość specjalny. Rzecz prosta, że Mickiewicz trzymał się najbliższej tych, którzy dążyli do przewrotu, bo jedynie przewrót mógł wskrzęcić sprawę Polski, o jej zaś przyszły ustrój ten realista mniej się troszczył, nie tak jak kłótliva emigracja, która szarpała się i kasała o to, czy przyszła Polska będzie królestwem czy republiką. Ale mniejsza; chodzi mi tu o wskazanie jednego paradoksu: najprawowierniejszy socjalista przygarnia Mickiewicza jak swego, a tuż potem spotka Mickiewicza gwałtowny atak, że nie rozumiał świata pracy, że jest wstecznikiem, apostołem szlachetczyzny etc. I takie ataki nie są do lekceważenia: znaczą one rozbrat części naszej młodzieży z naszym największym poetą.

Uczyniono z *Pana Tadeusza* biblię polskośći w ciasny sposób, kazano do niego pielgrzymować na kolanach, kazano w tej wiosce litewskiej widzieć wcielenie ojczyzny. Czasy się zmieniły, nastąpiły związki fornali, Kowno odpadło od Polski, przyszła reforma rolna, skrupiło się to wszystko na *Panu Tadeuszu*. Punktem wyjścia stał się namiętny artykuł J. N. Millera, który ściągnął na autora gromy oburzeń, mniej lub więcej profesorskich. Potraktowano go jak zbuntowanego sztubaka, jak bluźniercę, nadano rzeczy taki rozgłos, że zbrodniarz zaciekł się w swojej tezie i zamiast się kajać, zaczął ją rozszerzać z lepszym czy gorszym skutkiem na stosunek do poezji romantycznej w ogóle. Przyszedł mu ten

<sup>35</sup>Dziś Emil Haecker robi poetę jawnie socjalistą — Haecker skarży się, że ta strona działalności Mickiewicza była tendencyjnie przemilczana: tak ważny (powiada) i płodny w życiu poety r. 1849 zajmuje np. w monografii Kallenbacha 10 stron. Cóż się dziwić, kiedy nie mniej chyba ważny r. 1831 zajmuje w teście, 1000 stron liczącej, monografii aż — dwie stronicie, tyle co analiza *Powrotu Taty*. [przypis autorski]

i ów w sukurs, wydobyto niekorzystne sądy współczesne o *Panu Tadeuszu* zgryźliwy sąd Norwida, głos Słowackiego o „wieprzowatości” tego poematu...

Wyznaję, że nie byłem zbyt zgorzony tymi bluźnierstwami. Sama ilość i zapal replik, jakie wywołały, dowodzą zbawienności takich rewizji. Biada literaturze, gdy przestaje budzić namietności. Ci, co „bluźnią”, to są lepsi czytelnicy niż ci, co pielgrzymują do krypty. Źle by było z poezją polską i z Mickiewiczem, gdyby takich ataków nie przetrzymał. Zniósł on już dużo. Krasieński to nim mówił „ten Żydek”, to znów „my z niego wszyscy jesteśmy”; bohater *Lalki* Prusa ciskał jego książkami, tak samo jak Gustaw w *Dziadach* ciskał precz „książki zbójcekie”. Wyspiański strącał go do grobu. Mickiewicz to przetrzymał, przetrzyma i więcej. Była to — powtarzam — naturalna konsekwencja. Inna rzecz, że sądzić *Pana Tadeusza* z punktu „świata pracy” to po trosze to, co sądzić pojedynkę Hektora z Achillesem z punktu kodeksu Bożewicza, a wojnę trojańską z punktu Ligi Narodów.

„Wieprzowatość”! Ach, o ileż bliższy jest Słowacki prawdy, kiedy mówi o *Panu Tadeuszu* w *Beniowskim*:

Jednak się przed tym poematem wali  
Jakaś ogromna ciemności stolica;  
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali:  
To czas się cofnął i odwrócił lica.  
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,  
Która takimi tęczami zachwyca,  
Takim różanym zachodzi obłokiem...

Żadne słowa lepiej nie potrafią wyrazić „proustyzmu” tego cudnego poematu, tej wizji rozszarzonej do oślepiającej białości. *Pan Tadeusz* jest jednym z najbardziej tajemniczych misteriów sztuki: sięga w istocie tych kręgów zachwycenia, w których „czas się cofa i odwraca lica”...

Atak na Mickiewicza był bardzo zbawienny. Wykazał potrzebę nowego ustosunkowania się do poety. To przegrupowanie uczuć, entuzjasmów, przy zmienionych warunkach życia narodowego, jest rzeczą równie zrozumiałą jak konieczną. Staję wobec tego zagadnienia raz po raz, tam gdzie najbardziej wchodzi w grę bezpośredniość wrażeń: — w teatrze. Żadna siła nie sprawi, aby dzisiejszy widz odczuł tak samo „Widzenie księdza Piotra”, jak je odczuwał, dajmy na to, ów „królewski”, który z bijącym sercem w Krakowie oglądał przed wojną *Dziady*. Jak ginie ten stosunek uczuciowy, dowodem niedawne przedstawienie *Dziadów* w Teatrze Narodowym, na którym napis *Obiit Gustavus* wyświetlano na filarze więziennym niby reklamę wódek Mikolascha...

Ale, powtarzam, Mickiewicz tego „przegrupowania” się nie lęka. Miałem tego przykład niedawno na sobie. Mariusz Maszyński mówił fragment z *Pana Tadeusza*: ową nocną rozmowę Tadeusza z Telimeną. Słuchałem tak, jak gdybym pierwszy raz słyszał. Cóż za wspaniały komediopisarz tkwił w tym Litwinie! Jaka znajomość wszystkich krętych drózek serca! Co za chwyt męskiej i żeńskiej psychologii! Każde słowo nieomyślne, każde — arcydziełem dowcipu. A ta lekkość! To Flers puszcz litewskich! I widziałem, że wszyscy słuchacze byli pod czarem, wszyscy poznawali jakby na nowo ten ustęp, świetnie mówiony przez Maszyńskiego. I ogarnęły mnie idiotyczne zresztą żale: „Co za cudownego komediopisarza pogrzebaliśmy w tym towiańczyku i w tej Sprawie! O, mistrzu Andrzeju! Ciężki zdasz rachunek przed Apollinem! Co by to było, gdyby”... Słowem, owo typowe idiotyczne „gdybanie”.

Nigdy tedy nie wiadomo, skąd przyjdzie chwila świeżego zachwyty. I doprawdy, wierzcie mi, taka szczerza chwila więcej jest warta, niż wszystkie litanie uwielbień *in verba magistri*.

A teraz powiem po cichu, dlaczego mnie nie przeraziły te bluźnierstwa. Oto dlatego, że sam jestem po trosze emerytowanym bluźniercą. Kiedy byłem w szkole, budzili we mnie szczerą antypatię owi filareci, filomaci i promieniści, którzy wypisali sobie jako godło „naukę i cnotę”. To są rzeczy, które starsi zalecają młodym, a przeciw którym młodzi się buntują lub sobie z nich kpią; ale żeby młody sam sobie stawał za ideał naukę

i cnotę, to mi się wydawało potworne. Nie ręczę, czy się bardzo myliłem, i czy Mickiewicz byłby daleko zaszedł przy tych godłach, gdyby życie nie wypisało mu rychło na czole innych: *namiętność i cierpienie*. Kiedy miałem lat kilkanaście, a więc bardzo dawno temu, przeprowadzałem sobie nader radykalną obyczajową rewizję „połanieckości” *Pana Tadeusza*; — to soplicowskie „centrum polszczyzny” budziło we mnie przeróżne wątpliwości. Ale Bóg mnie jakoś uchronił od herezji Jana Nepomucena; może te strofy z uwielbianego *Beniowskiego* ocaliły mnie od niej? Bardzo piękne rzeczy o Mickiewiczu mówił nam Stanisław Przybyszewski; gdybym wypił z dziesięć wódek, to bym je sobie może przypomniał. Pamiętam, przyjechał wówczas do Krakowa Brzozowski, starzec blisko osiemdziesięcioletni, który znał jeszcze Mickiewicza; Przybyszewski dotykał go niby świętości. Brzozowski opowiadał nam taką historię. Szedł z Mickiewiczem przez ulicę w Konstantynopolu. Było to na kilka dni przed śmiercią poety. Naraz obcy zupełnie, przechodzący Turek chwytając Brzozowskiego za rękę w niezmiernym wzruszeniu i pyta: „Panie, kto jest ten człowiek, ten człowiek jest namaszczony przez proroka”.

Ale wtedy nie byłem jeszcze literatem. Potem sam nie wiem jak, wszedłem w literaturę francuską. I pamiętam raz, przed pisaniem jakiegoś studium, pogrążyłem się w rozpamiętywaniu olbrzymiej pracy ducha, języka, jakiej dokonała Francja przez kilka wieków. Przechodziłem szereg myślicieli, poetów — czy ja wiem, ilu ich tam było, większych i mniejszych. I przeciwstawiłem z melancholią temu olimpowi ubóstwo naszej ówczesnej gleby: okrutną ciemnotę wieku siedemnastego i więcej niż połowy osiemnastego; potem te szacowne, ale jakże mało samodzielne próby naszej epoki stanisławowskiej i znów oschłość pseudoklasycyzmu... I tak myślą doszedłem do Mickiewicza. I ogarnęło mnie zdumienie takie, że ledwo mogłem ochłonąć. Miałem uczucie, że ja się nigdy nie zastanowiłem nad tym, że nigdy nie objąłem myślą ogromu tego zjawiska, jakim był Mickiewicz. Tak przywykło się od dziecka do tego imienia! Jak to! Jeden człowiek uczynił ten olbrzymi skok, ten tytaniczny wysiłek, aby wydzwignąć się z naszego bajorka, aby przebyć tę przepaść, jaka nas dzieliła od Europy, i stanąć jednym susem w rzędzie największych twórców świata! Jeden człowiek zastąpił w sferze naszego języka cierpliwą pracę wieków, świadomy wysiłek pokoleń i uczynił zeń narzędzie najsprawniejsze, jakie kiedykolwiek istniało, najdoskonalsze skrzypce, najwspanialszy organ, najbogatszą orkiestrę i paletę malarską. Gdzie on się nauczył tych sekretów? Co za diabeł, ten chyba, który wszystkimi językami mówi z brzucha opętanego Konrada, odsłonił mu te najwyższe czary, do jakich sięgać może mowa polska czy ludzka? Dajcie wy się wypchać, moi drodzy, obywatelstwem *Tadeusza* i niewinnością *Zosi*, ale są w tym *Panu Tadeuszu* cuda języka, symfonie dźwięków takie, że, gdziekolwiek je posłyszec, bodaj na głupim popisie Szkoły dramatycznej, coś ścisną w gardle. Trzeba być *fizycznie* wrażliwym na poezję, aby to odczuć, a to jest może jedyny prawdziwy do niej stosunek. Inaczej będzie to zawsze to, co gadanie o mazurkach Chopina z punktu widzenia obywatelsko-społecznego.

I nie tu koniec cudu. Wyobraźmy sobie warunki, w jakich Mickiewicz tego dokonał. W jakże małym środowisku, bez atmosfery literackiej i duchowej, bez potężnego zmagania się idei, bez podniet, których tak potrzebują twórcy, aby się rozwinąć. Weźmy np. Russa: i on przebijał się sam przez lekturę i dumania; ale też był do trzydziestu z górą lat bencwałem, trzeba dopiero Paryża, aby koło czterdziestki puścił sok z siebie. A tu rozkwit tej poczwarki w najczudniejszego motyla poezji odbywa się w — Kownie! Nie ubliżając tej stolicy, jest to może największy dziw, jaki zna literatura.

Ale w życiu Mickiewicza wszystko jest dziwem. Weźmy przed nim stosunek literatury polskiej do kobiety. Kobieta nie istnieje; poza paroma trefnościami starych Polaków i paroma sonetami Szarzyńskiego, cóż mamy? Kto się w Polsce kochał kiedy? Chyba biskup Krasicki, ale gdzieś pokątnie, w każdym razie tym się nie chwalił. Mimo renesansowego humanizmu, mimo swobód obyczajowych dworu stanisławowskiego w literaturze polskiej nie ma kobiety, to znaczy tego, co wypełnia trzy czwarte innych literatur, z czego zawsze rodzili się poeci. I znów jakimż potężnym susem ten chłopak nadrobił wiekowe zaniedbanie? Nie tylko w znaczeniu narodowym mógł powiedzieć, że „kochał za miliony”. I co z tego za konsekwencje!

„Tę przedziwną pasję ducha — pisałem przed laty, wychodząc z przedstawienia *Dziadów* w krakowskim teatrze — który krzyżuje się za naród i bierze w siebie jego grzech i mękę, rozpoczyna poeta od tego, iż staje się człowiekiem. Nim wzrośnie w męża, staje

się mężczyzną. Pierwszy raz odzywa się w poezji ów ton, będący prądźwiękiem wszelkiej poezji: miłość do kobiety. A odzywa się z taką siłą, z takim pierwotnym żarem, jak gdyby coś długo powstrzymywanego, zatamowanego przez całe wieki, wybuchło nagle i runęło potokiem lawy. Bo też tak było. Może to będzie bluźnierstwo, ale cała nasza literatura przedmickiewiczowska przedstawia mi się jako wielka szkolna ława, w której mniej lub więcej zdolni i pilni uczniowie odrabiają pensa na tematy dyktowane im przez Europę, ale przykrojone ostrożnie *ad usum scholarum*: w dobie humanizmu odbywa się to z postępek *celującym*, w epoce saskiej z *niedostatecznym*, później w dobie stanisławowskiej znów z *bardzo dobrym*. Dlatego, mimo wszystkich wysiłków „pietyzmu”, zawsze piśmiennictwo to będzie dla nas jedynie *zabytkiem*: nikomu nie przyjdzie na myśl szukać w nim dla siebie ludzkiej treści.

I naraz z tym posłusznym uczniem dzieje się coś dziwnego: pewnego dnia, kiedy, jak zwykle, ujrzał towarzyszkę swoich zabaw dziecinnych, stanął jak wryty: spojrzął na nią jak gdyby innymi oczami. I pewnego wiosennego dnia porzuca książki i kajety, idzie błądzić po polach i lasach, patrzy na świat, jakby mu łuska z oczu spadła: wciąga w pierś powietrze, ale tę pierś wstrząsa niewy tłumaczone łkanie; nuci piosenkę, ale jakimś nieswoim głosem: kocha!... Student jest studentem, panna panną na wydaniu: przychodzi chwila, że zjawia się odpowiedni konkurent, i panna wychodzi za mąż. »Kobieto, puchu marny!«... Młodzieniec cierpi i w tej męce serdecznej z wyrostka stał się mężczyzną. I dzieje się dalej, iż, w straszliwie ciężkiej próbie życia, ten nieugaszony żar, raz rozniecony w sercu poety, zmieni przedmiot swojej miłości: z kobiety przeniesie się, z tą samą namiętnością, z tą samą pełnią wibracji, na naród. Raz zbudzona energia czucia zmieniła łożysko; ale początkiem jej była pleć; jak gdyby na potwierdzenie słów, którymi zaczyna swoje *Dziady* — *Totenmesse* — Stanisław Przybyszewski: *Am Amfang war das Geschlecht*. I doprawdy trudno powiedzieć, kto spełnił donioślejszy, bardziej brzemienny w następstwa dla rozwoju duszy polskiej czyn: czy płomienny Konrad, który samemu Bogu rzucił wyzwanie za naszą sprawę, czy naiwny a gorący kochanek Maryli, Gustaw, który nauczył nas w pulsie własnej krwi szukać źródeł piękna i prawdy”...

Pisałem to wychodząc z *Dziadów*, a więc pod tą sugestią, przed którą ostrzegałem poprzednio, sugestią, której sprawcą jest Mickiewicz. W rzeczywistości bowiem przemiana ta nie odbyła się tak prosto. Do dziś dnia Mickiewicz jest naszym pierwszym amantem; jest bohaterskim tenorem opery miłości. Ale ta miłość, cóż za przejście! To nie „świecąca jak próchno” miłość Słowackiego, to nie miłość Krasieńskiego, zakochana raczej w sobie: to miłość serca, zmysłów, duszy; miłość namiętna, bluźniercza, zuchwała. Bo czyż nie jest niesłychanym zuchwalstwem bodaj to wydrukowanie *Dziadów* w owym małym światku, gdzie wszyscy się znali, gdzie były one pokazaniem palcem pani Puttkamerowej („O luba, zginąłem w niebie, kiedym raz pierwszy pocałował ciebie!”), mimo że hr. Puttkamer ostentacyjnie się poematem zachwycił! Nie przecina tej miłości zamążpójście Maryli. Ten filaret kocha się dalej w mężatce! Poczciwy Zan zżyma się na dwuznaczną rolę pośrednika, do jakiej go używają rozłączeni kochankowie. Wśród tego kowieńska „Kleopatra” Kowalska, wyrzuty filomatów, cierpkie repliki Mickiewicza. Dalekie są „nauka i cnota” zapalczywemu czytelnikowi Byrona, dla którego w tej chwili nie istnieje żaden poeta prócz tego gorzkiego i namiętnego buntownika. Cały dramat i komedia podwójnej miłości i jej gorzko-słodkie surogaty, rozterka duchowa; zapłaci za nią biedny szambelan, którego Adam najpierw wyrznie w pysk, a potem poprawi lichtarzem. Ale gdyby nie więzienie bazylikańskie i nie wygnanie do Rosji, nie wiem, czy tak niewinnie zakończyłby się romans z panią Puttkamerową, która już jako mężatka pisała do poety po francusku (zawsze to łatwiej przy takich rzeczach): „Gdyby trzeba było tylko mojej miłości dla twego szczęścia, byłbyś aż nadto szczęśliwy”. Romans z hrabiną! Co się dzieje w tym Kownie! Będzie i druga hrabina, w Odessie; i trzecia, w Poznańskim; jak na przyszłego socjalistę, to nieźle.

Oto pierwszy cud życia Mickiewicza: wszedł w ramiona kobiety dudkiem, filomatą, a wyszedł z nich człowiekiem, poetą; sposób — zdawałoby się — tak prosty: że też go nikt przed nim w Polsce nie próbował! Jajko Kolumba.

Ta zuchwała bezpośredniość, jaka jest w kowieńskich *Dziadach*, towarzyszy Mickiewiczowi w dalszym ciągu poematu. Jesteśmy tak przez szkołę, obchody, etc. stępieni na oryginalność tego dzieła, przyjmujemy w nim wszystko jako coś tak naturalnego, że nie

zwracamy uwagi na rzecz jedyną w swoim rodzaju, że Mickiewicz w III części *Dziadów* pakuje żywcem do poezji swoich kolegów i znajomych; po imieniu i nazwisku, bez żadnej przenośni, unieśmiertelnia ich. Nic podobnego nie istniało w literaturze; a powtórzy to po trosze Wyspiański w *Weselu*. Przyjemnie jest stwierdzić, że te dwie niesłychane śmiałości wyszły od Polaków.

Nie tylko sam fakt przemienienia na poezję swojej miłości był śmiałością *Dziadów*. Były tam słowa, zdania, bezpośrednio swego wyrazu przerażające nieśmiałych filomatów, którzy Mickiewiczowi pomagali w korekcie. W wielu miejscach ze względu na ich perswazje (w których czasem odgrywała rolę obawa przed cenzurą, ale częściej nieśmiałość i rutyna pojęć estetycznych), ustąpił znudzony, nie mając cierpliwości zajmować się już tym poematem. Często ustąpił ze szkodą. Opuszczono zuchwałe porównanie pocałunku lubej do wrażeń kapłana, gdy pierwszy raz przyjmuje ciało Pańskie. Tam gdzie jest: „Księżo, a znasz ty żywot Heloizy?” było: „Księżo, a znasz ty żywot świętej Heloizy?”. Bardzo interesujące jest, że utarte słowa: „Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto” brzmiały pierwotnie inaczej; było: „Kobieto, boski diable, dziwaczna istoto”...

Kobieta

\*

Rzuciłem tutaj, nieco bezładnie, tę garść uwag, których zamiarem było mówić nie tyle o samym Mickiewicz, ile o naszym stosunku do niego. Chciałem się podzielić mymi wątpliwościami, moim rozciekawieniem, moim niepokojem. Wszystko nam — mówię o moim pokoleniu — pokazywano w Mickiewicz jako harmonijne, jako proste, tymczasem wszystko wydaje mi się w nim walką, rozdźwiękiem, paradoksem. Paradoksem jest powstanie tego tyrana, tego opętańca z naszej miękkiej gleby; paradoksem kombinacja rasowa tego wcielenia polskości; paradoksem jest, że długoletnia biblia tej polskości zaczyna się od słów „Litwo, ojczyzna moja”; paradoksem linia tej twórczości, tragicznie na szczycie złamana; paradoksem przerażający chłód i zimno, wiejące od tego, który był dla narodu ciepłem i słońcem... O, cóż za niesamowitość tego człowieka, który wraz przyciąga i odpycha, budzi uwielbienia i nienawiści... „Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie — Miód ich wypełnienie może”... mówi Konrad. Nawet miłość ojczyzny i Boga nie były zdolne wypełnić bez reszty serca tego herezjarchy, który, spowiadając się w Rzymie — a spowiedź trwała na dwa zawody siedem godzin — „ryczał tak, że w całym gmachu słychać go było”, opowiada Krasiński. Same sprzeczności, same tajemnice. Dusza Mickiewicza to otchłań; czy zgłębimy ją kiedy? Aby się w nią zapuścić, trzeba uzbroić się w inne narzędzia i inne busole niż te, z którymi wybierano się zazwyczaj dotąd na to przepastne morze...

Są tedy znaki na niebie i ziemi świadczące, iż trzeba może odnowić nasz stosunek do naszego największego poety, do największego cudu, jakiego kiedy było świadkiem polskie życie. Jakie do tego celu obrać środki, niech inni mądrzejsi radzą. Ja, skoro mnie wezwano, przedstawię moje skromne propozycje:

Wezwać naszych społeczników, polityków, moralistów, bakałarzy, aby — tak samo jak bolszewicy zwracają nam nasze skarby sztuki — zwrócili, bodaj na jakiś czas, Mickiewicza literaturze.

Zburzyć wszystkie pomniki Mickiewicza, odlać z nich wielką armatę i nabić w nią pewną ilość jego komentatorów.

Odełgać życie Mickiewicza, zbadać na nowo jego tajemnice i zakamarki, nie pod kątem „krzepienia serc” i hipokryzji narodowej, ale pod kątem istotnej prawdy.

Napisać na nowo ten wrzuszający i patetyczny żywot, w którym poeta przez namiętności, upadki i mękę, błędząc i kajając się, i błędząc w samymże swoim kajaniu, szedł do świętości. Amen.

## UZUPEŁNIENIE DO ROZDZIAŁU *Mickiewicz*

W związku z artykułem *Mickiewicz a my* otrzymałem list od pani H. S., który przytaczam dla jednego charakterystycznego szczegółu. Pani H. S. pisze:

„(...) z młodości przypomniał mi ten artykuł jedno moje przejście z zasną moją ciocią starsuszką. Dowiedziałam się od niej pewnego razu, że p. Gorzeń-



ską, u której Mickiewicz przebywał w czasie powstania w Poznaniu, była jakąś krewną naszą — ciocia z pewnym rodzajem pogardy powiedziała raz: *ale z nią nikt blisko nie żył, bo ona była kochanką Mickiewicza...*”.

(Mowa tu właściwie o siostrze p. Gorzeńskiej, br. Łubieńskiej, co też korespondentka moja w następnym liście prostuje).



Było w tym trochę żartu i trochę prawdy. Dwaj „buntownicy”, Sichulski i Frycz, pozostali mimo to ulubieńcami mistrza i buńczucznie weszli w życie. Ale naprawdę osamotnionym z tych, którzy malowali „ludzkie figury”, był Witold Wojtkiewicz. I nie tylko malował „figury”, ale jakieś symbole, alegorie, bajki, co mocą zastarzałego przywileju dozwolone było Jackowi Malczewskiemu, ale tylko jemu! Nie wiedziano doprawdy, co myśleć o tych obrazach. Wiał z nich jakiś perwersyjny sentyment, liryzm pomieszany z groteską. Technika malarska zupełnie odrębna, bezceremonialne traktowanie rysunku, nie było to podobne absolutnie do niczego. Wojtkiewicz niepokoił, zaciekawiał, ale urzędowej konsekracji nie posiadał. Traktowano go z odcieniem pobłażliwości. Na nim to najbardziej ciążył groźny wówczas zarzut „literatury”; z czasem zrozumiano, że ta literatura była po prostu najszczerzą poezją. Wojtkiewicz był wielkim poetą, który wypowiadał się środkami doskonale malarskimi.

Młody artysta odczuwał to. Dotknięty nieuleczalną chorobą, zgadując może instynktem, że nie stanie mu czasu na powolne zdobywanie sobie miejsca, bardzo inteligentny przy tym i świadomy swego artystycznego ideału, czuł się boleśnie osamotniony; stał się drażliwy, gorzki. To uczucie osamotnienia zaledwie łagodziła mu wiara garstki kolegów i bliskich przyjaciół.

Otóż w r. 1907 czwórka młodych malarzy (Gotlieb, Jakimowicz, Wojtkiewicz i Hoffman) zdobyła salkę dla urządzenia wystawy w Berlinie. Na tej wystawie znalazł się przypadkowo bawiący tam przejazdem André Gide. Wrażenie, jakie uczyniły na nim płótna nieznanego mu zupełnie polskiego malarza, musiało być niezwykle, skoro zakupił natychmiast parę jego obrazów, wysłał do Krakowa do Wojtkiewicza entuzjastyczny list, zaprosił go do Paryża, gdzie mu urządził wystawę, i napisał do katalogu tej wystawy słowo wstępne. To są rzeczy zdarzające się dość rzadko, aby je warto było zanotować lub przypomnieć.

Ale dajmy głos francuskiemu pisarzowi:

Nie taję, iż jest to odwagą ze strony literata przedstawić publiczności nowego malarza, którego malarze jeszcze nie znają. Mimo to przyjmuję z radością ten obowiązek, nałożony mi poniekąd przez szczęśliwy traf, który postawił na mojej drodze obrazy Witolda Wojtkiewicza. Ujrzałem je tej zimy w Berlinie: podróżowałem z Mauricem Denis, i błogosławiłem los, że miałem za towarzysza podróży tego przyjaciela o tak otwartej i bystrej inteligencji artystycznej: dzięki temu jego wzruszenie, rywalizując z moim, pozwoliło mi umocnić się w odniesionym wrażeniu.

Obchodząc galerie, zajrzeliśmy do ustronnej sali, gdzie raczej ukryto niż pokazano wystawę malarzy polskich. Wyznaję mą nieświadomość co do tego, co nie wiem, czy można nazwać „szkołą polską”. Wiem, oczywiście, że niemożliwe jest, aby artysta taki jak Wojtkiewicz mógł powstać sam z siebie (zostawiam innym trud wyszukania jego poprzedników), ale ta wystawa pozwoliła przypuszczać, że u siebie w kraju musi on być dosyć odosobniony. To się rzucało w oczy.

Wystawa ta skupiła dzieła może niepozbawione wartości, ale niedające nic tak dalece nowego; rzeczy, wobec których — ot, śpieszący się podróżni — mieliśmy przejść mimo, kiedy zatrzymała nas zdumiewająca wymowa kilku płócien. Rozświecały one ciemną nieco salę, nie jaskrawością barw — w oczach bowiem profana mogłyby się wydać szare — ale dziwną harmonią tonu, bolesną fantazją rysunku, patetyczną i pełną wzruszenia grą kolorów.

Z pewnością czuje się — a w miarę jak talent jego będzie tężał, będzie się czuło jeszcze bardziej — jak głęboko Wojtkiewicz tkwi w swoim kraju, w swojej niezmożonej rasie, której dusza, dumna zarazem i smętna, namiętana i rozdarta — ale nigdy niema, — znajduje w nim nowy wyraz, zdobyty wprzód w muzyce i w poezji. Ale mimo całej odrębności — powiedziałbym: egzotyczności jego sztuki — niepokojącej i osobliwej mieszaniny naturalizmu, impresjonizmu i groteski — jest Wojtkiewicz spowinowacony z naszą młodą szkołą francuską, tak iż pośród takich artystów jak Daumier, Degas, Toulouse Lautrec, Bonnard, znajdzie się jak między swymi. Powiadam, że

jest spowinowacony, a nie że od nich jest zależny, bo dotąd Wojtkiewicz mieszkał kolejno w Krakowie i w Warszawie, nigdy nie opuściwszy Polski poza krótką podróżą do Rosji, i nie mógł widzieć — chyba w reprodukcji — żadnego z tych dzieł, które przytoczyłem.

Wojtkiewicz urodził się w Warszawie, w r. 1879. Oby Paryż, który tak wielkodusznie przygarnął wielkich wygnańców jego narodu, Mickiewicza, Chopina, zechciał uśmiechnąć się do tego przybysza.

Tak pisał André Gide w swoim wstępie do katalogu wystawy Wojtkiewicza.

Znaczenie tej paryskiej wystawy, która odniosła sukces, było w życiu Wojtkiewicza ogromne. Był to w jego karierze pierwszy uśmiech losu; dodało mu to wiary w siebie, śmiałości; pobyt w Paryżu — mimo iż krótki, ledwie paromiesięczny — rozszerzył jego horyzonty, dodał jego nowym płótnom słońca i koloru. Zarazem w kraju, po tym berlińskim epizodzie, który w ówczesnym Krakowie był czymś dość fantastycznym, innymi oczami zaczęto patrzeć na młodego artystę. Obrazy, które jeszcze namalował, rozchwytano, nauczono się na nie patrzeć; dwie wystawy, które potem urządził, zyskały ogromne powodzenie. Talent jego rozkwitł nowym blaskiem, mimo że Wojtkiewicz ani na trochę nie zmienił drogi, którą szedł od początku. Ale były to ostatnie błyski; ciężka wada serca powaliła go niebawem, po długiej chorobie zmarł w czerwcu r. 1909, licząc niespełna lat 30.

Ta sama odrębna indywidualność, która bije z jego obrazów, zaznaczała się i w osobie Wojtkiewicza. W dobie rozwichrzonej cyganerii i jej sławnych „peleryn”, on reprezentował wytworny dandyzm: staranny w stroju tak, że koledzy żartowali zeń sobie, iż nosi w kieszeni ściereczkę do butów, tak dalece nie znosił na nich najmniejszego pyłku. Te same cechy miał umysłowo. Dowcipny, wykształcony, ironiczny, nieprzystępny, krył pod tymi pozorami naturę głęboko i boleśnie wrażliwą, uczuciową, przepojoną smutkiem. Był to smutek chorego dziecka, smutek poety niepokodzonego z życiem, czującego się zresztą przelotnym gościem na ziemi.

Sądzę, że interesujące będą dla czytelników wyjątki z jego listów, pisanych z Paryża do p. Elizy Pareńskiej, z której całym domem był serdecznie zaprzyjaźniony:

*Paryż 27 kwietnia 1907*

Łaskawa i dobra Pani! Wczoraj rano odebrałem w ogóle pierwsze wieści z kraju, otrzymałem list z domu rodzicielskiego, a z nim drugi Pani, z przybranej krakowskiej ojczyzny.

Wyobrażam sobie, jak mnie brak w Krakowie, jak mnie brak szczególnie w domu Państwa! Zjawiałem się, omal że nieproszony, dniami i nocami byłem co dzień i co tydzień, bywałem w wilię święta, jak i święta również nie opuszczałem, mało tego, pojękiwałem jak jedynak psuty przez ciotki, skarżyłem się jak piękna histeryczka, obnaszałem się ze sobą jak paw, przykry dla niejednych, nieciekawym dla drugich, ponury dla trzecich, niewidziany przez wybranych...

Po wyjeździe takiego pana można odetchnąć, nawet oddychać tak szeroko, by móc powiedzieć: co za sympatyczny chłopiec, jaka szkoda, że go nie ma.

Jest się miłym, lecz miłszym łącznie z nieobecnością.

Pani zaś w swoim czasie przeceniła mnie i dzisiaj z wrodzonej dobroci i grzeczności ponosi konsekwencję.

Do tej pory osamotniam się trochę rozmyślnie: mam (znowu!) zapalenie prawdopodobnie gardła i zakatarzony jestem ciągle, dokucza mi to razem bardzo: nie wiem, jak sobie na to radzić, czy chodzić dużo i w futrach, lub bardzo mało i letnio, w ogóle roku, który by mię tak przeziębził i trzymał w swoich lodowatych łapkach jak ten, nie pamiętam.

PS

W Berlinie sprawę sprowadzenia moich malunków do Paryża obgadałem, wobec tego w Düsseldorfie się nie zatrzymywałem. Tutaj protektor mój na Francję André Gide poradził mi wystawić prywatnie u niejakiego Drueta, gdzie pono wystawiają najoryginalniejsi, a tym samym najniemożliwsi. Ciekaw jestem, czy to do skutku dojdzie: mam wystawić 13 maja, nie wiem, czy obrazy bez kłopotu dojdą na czas, przedwstępne historie załatwiłem.

*Paryż, piątek, 10 maja 1907*

Powracam do siebie, zdrow jestem obecnie zupełnie, pięknej cery, zręcznego chodu, wyniosłego spojrzenia i cichej wzdargy dla siebie, iż ciągle martwić siebie i drugich sobą nie mogę. Wiosna w całym rozkwicie dopiero pokazała mi Paryż cudownym: godzinami siedzę w ogrodzie Luksemburskim i zachłannie patrzę w życie miliona istot, rozkwit kwiatów, cuda natury, lichosc natury i inność natury. Dochodzę do wniosku, iż jestem więcej malarzem, niżeli przypuszczałem: lepiej widzę wszystko, gdy sobie myślę wnet, jak by to pomalować, pokrzywić i znamieniem swego kapryśnego talentu ozdobić.

Widzę masy dzieci, które bawią się jak nigdzie na świecie chyba, szczególnie dziewczynki: zręczne kobietki, prawie aż zmęczone życiem w wieku lat 10, 12, rzucają wejrzenia na dorosłych mężczyzn na przemian z piłką i odchodzą bez żalu i obawy, iż niejeden św. Antoni do łez wzruszony ich przedwczesną dojrzałością. Pełno teatrzyków, karuzeli, klombów kwiatowych, mamek pokracznych, dzieci upozowanych wprost do malowania mojego, tak iż ciągle się człek niecierpliwi, iż nie jest maszyną do malowania, wieszania i sprzedawania.

Wierzę, iż odżyć można tutaj, tym bardziej gdy podpada wszystko, co widzę, pod mój kąć patrzenia „mizerny, ale uparty”. Radzą mi zostać Francuzem, wyrzec się ojczyzny, „uznania w kraju” i brać pełną ręką bogactwo przybranej ojczyzny na wieki lub... chwilę. Panuje dzisiaj w malarstwie francuskim, z nadmiaru kultury, dzieł wysokiej wartości i nadprodukcji sztuki prawdziwej, pogoń za sensacją zgnilizny, pseudopoza, przeszarżowaniem, słowem, za czymś, z czego nigdy nic wykluczyć się doskonałego nie może.

Wpadłem w ręce paru sterników zła przygodnego i sztuki przyszłości bez cienia terażniejszości.

Mój wierny i na gruncie paryskim André Gide pisze podobno mi *préface*, wzmiankę tak pewną siebie o mojej niezachwianej wartości i nowatorskich dążeniach, iż po powrocie do kraju powiesić plód wyobraźni w Muzeum Narodowym będzie dla mnie banalną przygodą dnia.

(...) o ile dojdzie do skutku [projektowana wystawa 16 maja], to prześlę ten reklamowy katalog; to będzie najlepiej; cóż ja napisać dobrego mogę o sobie: owszem, cenię się bardzo, bo cenić się trzeba z konieczności życia, i zbieram „sławę” przygodną i pochlebstwa jak nędzarski z dziurawą kieszenią obficie zasilany jałmużną po drodze krwawej i żmudnej swej wędrówki. Tak, efektownie i pokornie...

Chciałbym nareszcie wyrwać się z zamętu, dostać się choćby niesłusznie na czoło i móc moim bojownikom na teźże niwie co i ja pokazać, iż dojsz do wrót sztuki i nie być odegnanym, przeciwnie, jak dzisiaj być wysłuchanym (i niezrozumianym) przez wybrańców i w poczet ich przyjętym, jest niczym wobec...

Melancholia gotowa mi podszeptać znowu swoje uparte: „martw się dotąd, dopóki smutek nie zeżre serca i łzy nie zatopią nikłego ciała”...

Tak, chciałoby się sławy dla możności odrzucenia jej; chciałoby się złota dla jak najpodlejszego użycia i chciałoby się wytrwania dla pokazania życiu, jak niewarte tego.

Dużo patosu, ale to z wiosną przychodzi, wybaczy mi więc Pani te okrzyki bez głosu i rwanie się bez ruchu: wybaczy mi Pani, jak dziecku wybacza się zepsucie choćby najkosztowniejszej zabawki.

---

Obecnie rozmalowałem się jak ordynarny malarz i kradnę Paryż jak... szczęście.

*Paryż, 21 maja 1907*

Łaskawa i dobra Pani!

Jako cichy zwolennik szumnej reklamy i przesadnych wieści o sobie do-  
czekałem się wreszcie w małym zakresie tu 3-dniowej sławy i drukowanych  
miałem o sobie i dla siebie słów i słówek jak również słóweczek.

Dotrzymuję miłe przyrzeczenia i te patetyczne słowa posyłam Pani, by  
dołączyć do słów „grzecznych” Pani o mnie — i w połączeniu wywołać do-  
piero niesmak przesady i hałasu.

Zareklamował mnie André Gide jako we zwyczaju we Francji: na „Pol-  
skę” krakowską zdaje mi się, iż zaszkodził mi srodze. Jestem jednakże teraz  
dopiero w swoim żywiole: przesada okrutna — to moja kochanka ducho-  
wa, umazana jaskrawymi przesadnymi kolorami, umądrzona moim stylem  
mętnie kwiecistym i perfumowana łzami złości melancholika-egoisty.

Do cichego Krakowa ślę me imię drukowane rudą barwą (słusznie fał-  
szywą), by dodać i fałszywego splendoru tej Polsce, którą stać na „wszystko”.

Jestem również kontent, iż nie zawiodłem (na tydzień lub dwa) nadziei  
łaskawej Pani o mnie i godnie (nie przykładając do tego ręki) zareklamowa-  
łem sztuczkę polską o cudzoziemskim smaczku we Francji. *Vive la Pologne!*

Na tym okrzyku kończę śpiew łabędzi.

---

Mnie czasami tłucze nostalgia za krajem, trochę za bardzo, zważywszy  
wiek: mam naturę widocznie mazgajowatą, i to mi ciągle naprowadza prze-  
żyte chwile i chwile przyzwyczajenia. Na nowe patrzę zawsze jak Judasz ze  
złością, podejrzeniem, i przyjmuję niechętnie.

Czasami chciałoby się być chociażby chłopkiem na roli, nie mieć męki  
i zgrzytot, do tego jeszcze imaginacją powiększonych.

Dzisiaj, mam wrażenie, iż się to jeszcze piętrzyć będzie, męczyć będę  
siebie ciągle bez ustanku i drugich, o ile ze mną stykać się będą. Źle, źle,  
o źle... Kiedy mi będzie dobrze? Wtedy, kiedy już nie będę mógł odróżnić  
dobrego od złego może?

*Paryż, 31 maja 1907*

Łaskawa i dobra Pani! bardzo mię zmartwił ostatni list Pani, w którym  
pokłada Pani we mnie nadzieje i rada by dla mego dobra widzieć mię przez  
parę lat nie w kraju.

Po tym wstępie powiedziała sobie Pani zapewne: typowy Wojtkiewicz.

Tęskno mi rzeczywiście za krajem, jak wielkiemu patriocie na wygnaniu,  
i nic dziwnego przecież w tym być nie powinno.

Z natury jestem odludek, wstydlivy (i jak!) i między obcymi, z Polakami  
tutejszymi mało mię co wiąże lub nic, i zbliżenie do nich rozdrażniłoby mię  
jeszcze więcej.

I nigdy co prawda nie umiałem wyjeżdżać bez rozpacz i strachu omal  
że nie dziecka. Trudno mi bardzo przychodzi zaaklimatyzować się choć na  
krótko: zdaje mi się, iż obowiązkiem człowieka jest zająć jeden kąt i wytrwać  
w nim do śmierci, nic więc dziwnego, iż z takimi pojęciami muszę uczuwać  
trochę dotkliwie zmianę warunków i otoczenia.

A tylu ludziom byłoby tu dobrze i miło: toteż nienawidzę podróżujących i zmieniających kąty, a nawet im współczuję.

Z Petersburga 5 lat temu uciekłem po 8 dniach racjonalnego kształcenia się, a miałem zamiar zostać 2–3 lata.

Pierwsze pół roku w Krakowie szalałem, najlepiej lubiłem chodzić w stronę dworca, i ludzie wracający do swoich lub domu byli dla mnie uosobieniem szczęścia. To wszystko we mnie pokutuje, w przeciwstawieniu do sztuczki mojej malarskiej, która wymaga ruchu, blagi, świata, życia, użycia, a ja jestem tylko prowincjonalnym chorym i wiecznie zmartwionym sobą lub innymi, niedołągą lub „konserwatystą”.

Trzeba jednakże dać dobrej i łaskawej tak dla mnie Pani parę treściwych odpowiedzi. Wystawa, można już teraz powiedzieć, skończyła się powodzeniem literackim (według mnie); rzecz prosta, iż po napisaniu szumnej tyrady Gide’a oglądały różne literaty i artyści, i zaproszone gady te moje mazaniny, i to ma tę dobrą stronę na razie, iż łatwiej mi będzie teraz na jakiej większej solidniejszej wystawie, np. *Salon d’Automne*, coś wystawić i być przyjętym.

Na otwarciu nie byłem, zaziębiłem się „straszliwie” wówczas, no i przez wrodzoną skromność. Malarze francuscy, jako ludzie pogodni i z humorem, oglądali moje malunki prawdopodobnie jak krepę zrudziałą...

W przeddzień otwarcia widziałem się z jednym z nich, którego obszedł salkę, popatrzył na obrazki, bez namysłu podszedł do mnie i powiedział: „Bardzo smutne”.

Nie wiem, czy obrazy z treści czy z wykonania natchnęły go tą uwagą.

Niejaki dr K. (wyreklamowany zresztą w katalogu!?) przed otwarciem jeszcze wystawy kupił do swych zbiorów (psychiatra) i moich *Wariatów*. *C’est tout*.

Dużo się traci pod każdym względem, nie znając języka dobrze. Mimo woli jest się podróżującym Anglikiem. Po powrocie do Krakowa sumiennie będę musiał sfrancuzieć i wtedy dopiero może wybiorę się na dłużej tutaj.

Chociaż paru lat nie wytrzymałbym może, za wielkie miasto, „za urządzone”, powiedziałbym, dla mnie środowisko: korzyść wielką odnieść można, ale wyżyć może by było trudno z moim usposobieniem. Oczy malarzowi otwierają się na wszystko, ale też i nie wie się czasem, co brać, a co odrzucić. Trzeba czasu i refleksji.

No i nerwy trzeba mieć spokojne.

Moje potargałem trochę sam, trochę życie, a właściwie nieżycie.

Latem będę latał zdrowie, a właściwie usposobienie.

Bardzo już wzdycham do wsi i do swoich. Ja osobiście dom Pani traktuję jak i trochę mój, i nie powinno Pani być przykro zbyt z powodu mej czelności, która ma pozory dobroci i uczciwości. Mnie zresztą wybaczają Pani wszystko, przynajmniej w moim pojęciu.

---

*Paryż, 13 czerwca 1907*

PS

Wstawa już przeszło tydzień temu zwinięta; materialnie poszła średnio: suma sumarum, łącznie z obrazami zakupionymi przez Gide’a, otrzymałem 1400 fr. (2 Gide’owi, 1 niejakiemu Kellerowi, 1 obcemu gadowi i 2 szkice). Po zapłaceniu procentów marchandowi i kosztów katalogów, urządzenia i sprowadzenia (400 fr.), wyrwałem na razie (za pierwszym pobytom) Francuzom okrągły tysiąc. Jedni mówili, że za duże ceny naznaczyłem, będąc nieznanym (zatrzymałem dawne), drudzy iż na pierwszy raz sukces dostateczny, inni całymi latami czekają itp. Gide, łącznie z grupą znajomych malarzy, przyrzekł lansować mię na *Salon d’Automne*, na który przyrzekłem przysłać ze dwa

wielkie płótna. Trzeba będzie teraz starać się utrzymać na poziomie człowieka walczącego o coś więcej niż się ma w naturze. W prasie francuskiej nie piszą krytyk z wystaw prywatnych. Przedruk *préface* Gide'a zamieściła „Art Moderne”.

Już tych kilka listów pozwala przypuszczać, że wśród nieziszczonych możliwości przedwcześnie zgasłego artysty, był może i ciekawy talent literacki? Byłbym szczęśliwy, gdyby to moje wspomnienie pobudziło do skupienia wszystkiego, co może utrwalić fizjognomię Witolda Wojtkiewicza.



# ARTUR I WŁADEK

## ARTUR I WŁADEK (NA MARGINESIE *Artura i Wandy*)

Czas, Książka

Znowu miałem atak czytania. Pochłonąłem jednym tchem ostatnie dwa tomy Prousta, *Le temps retrouvé*, stanowiące zamknięcie owej przedziwnej epopei cieniów, i przeszedłem do *Artura i Wandy: dzieje miłości Artura Grottgera i Wandy Manné; listy-pamiętniki; podali do druku Maryla Wolska i Michał Pawlikowski*. Przejmująca książka. Utonąłem w tej lekturze na całe dwa dni. I o dziwo, przeniósłszy się w ten tak inny na pozór świat, miałem, siłą jakiegoś urzeczenia, uczucie, że ja w dalszym ciągu czytam to samo. Zmieniły się osoby, zmieniła się rama, ale pozostało to, co jest istotą Prousta, a co powionęło ku mnie z każdej karty tych starych listów: — *magia czasu*; tego czasu, który, zależnie jak na niego spojrzeć, zdaje się czymś najmniej realnym, to znów jedyną realnością świata; czasu, który przepaja wszystko jak eter, który jest grą światła i cieni owego obrazu rzuconego na ekran naszej świadomości, a który nazywamy rzeczywistością. I w końcu przestałem rozróżniać: Swann czy Elstir spokrewnili mi się z Grottgerem, muzyk Vinteuil z moim ojcem, wszystko stopiło się w jedno, w mgliste królestwo *czasu*...

Bo moje wrażenia przy czytaniu tej książki musiały być inne niż wrażenia zwykłych czytelników. Raz po raz spotykałem w niej nazwiska ludzi, których znałem lub o których słyszałem w rozmowach rodziców; znałem tę młodzież jako ludzi starych — starych dla dziecka, którym byłem. I dziś ta przeszłość, widziana przeze mnie przez pryzmat innej przeszłości, wydobyta pierwszy raz na jaw, staje przed moimi oczyma, przed oczyma człowieka, który rychło sam stanie się przeszłością... Oto gra czasu, oto wszystkie jego warstwy, interferencja fal życia. I jakby symbol: znałem i widywałem często siostrę Artura Grottgera, słynną z urody panią Marię Sawiczewską, jeszcze piękną w latach pięćdziesięciu, gdy byłem wyrostkiem; flirtował z nią mój siedemnastoletni wówczas starszy brat, którego „śmiałość do kobiet” była przedmiotem mego podziwu i zazdrości. Dogadali się w tłoku na pogrzebie Mickiewicza. Tak oto chwila rzuca tęczowe mosty między pokoleniami, spina pajęczynową kłamrą przeszłość z przyszłością... Cienie, wszystko cienie...

Od dziecka wychowałem się w kulcie Grottgera. Ojciec mój był jego najbliższym przyjacielem z owego paryskiego roku, w ciągu którego rozegrał się dramat życia artysty. Z ciekawością dziecinną oglądałem twarz ojca utrwaloną na kartonach *Wojny*; ozdobą ojcowskiego gabinetu były dwa rysunki Grottgera — dwa jego arcydzieła, portret mego ojca i skrzypaczka uliczna — które w tej chwili patrzą ku mnie ze ściany. Ale pozytywnie wiedziałem o Grottgerze niewiele. Ojciec, żyjący teraźniejszością i przyszłością, niewiele oglądał się w dawniejsze lata, mówił o nich dość rzadko. Czasem jakaś anegdota, z której bił rozmach tego cudownego artysty, jakim był Grottger. Ale dziecka też wiele nie obchodzi „historia”; potem pochłania walka o własne życie; a potem, kiedy się chętniej patrzy w przeszłość, nie ma już tych, którzy by o niej mogli żywym słowem opowiedzieć...

Toteż te listy Artura były dla mnie rewelacją. Ukazały mi nowego Grottgera, o ileż szlachetniejszego niż ów tradycyjny szalawiła, o którym się słyszało; odsłoniły mi zarazem głęboki charakter przyjaźni, jaka łączyła Grottgera z moim ojcem. Była ona wzajemna. „Poszedłem do *Grand Café*, aby się widzieć z poczciwym Żelem, który mówi, że tęskni za mną jak za kochanką”, pisze Grottger do narzeczonej z Paryża. A kilka miesięcy wcześniej, przed wyjazdem, w r. 1866:

Dzieciusiu mój najdroższy, poczciwy Władek Żeleński był dziś w Porębie i cały wieczór grał i śpiewał nam pieśni i większe utwory swoje. Podziwialiśmy to genialne chłopczysko, pełne fantazji, życia i ognia, a przy tym tak głębokiego poczucia wszystkiego, co najszlachetniejszą częścią stworzenia naszego, co serce nasze bliżej obchodzi i porusza... Ach, Wandusiu, przyznam Ci się, że mnie jeszcze żaden z muzyków tak nie poruszył aż do głębi duszy, a zarazem porwał i uniósł gdzieś pod niebiosy... Szczęśliwy jestem, że to krew polska — że tak z rodu jak z utworów swójak, jest on wszędzie Polak, pełen siły, miłości i najwyższego uniesienia artystycznego. A jakież on oryginalny, swój własny, świeży w każdej najdrobniejszej myśli! Mogłabyś go słuchać całymi dniami, a nigdy ani przesyty, ani znużenia nie uczujesz...

Oto z tych kart wyziera ku mnie mój ojciec, na wiele lat zanim byłem na świecie. Czemuż nie mogłem znać go takim? Ale przesąd powagi rodzicielskiej stał między nami: ten uroczy artysta czuł się w obowiązku być srogim ojcem rodziny.

Artur i Władek dzielą razem życie paryskie. Są nierozłączni. Razem się niejako odgradzają od Paryża, do którego nie mogą się przyzwyczaić. „Od godziny siedzimy sobie przy kominku i gawędzimy, i staramy się nawzajem zapomnieć, że jesteśmy w fatalnym Paryżu”. Razem się gorszą Paryżem i Francuzami. Bo niespodzianką dla legendy grotterowskiej jest głęboka niewinność owego człowieka, który, znalazłszy się w tym „Babilonie”, żyje — jeśli wierzyć dosłownie tym listom — tylko myślą o dalekiej narzeczonej i przesyła jej w ciągu roku — roku wytężonej pracy, tysiącznych interesów i wreszcie choroby — parę tomów listów spowiadających się z każdego kroku. Ach, jak tam ten Paryż wygląda w tych listach, w początkach zwłaszcza:

„Byliśmy także w pałacu przyszłej wystawy i na balu maskowym. Dwa kolosy. Jeden do najwyższego punktu doskonałości posuniętej przemysłowości i umiejętności w budowaniu, drugi toż samo w swojej najokropniejszej korupcji moralnej, bo takiej, która już w krew i w ciało wrosła każdemu Francuzowi! Tu jest Francuz obrzydliwy szkaradnik — a całe jego nieszczęście, że już nic o tym nie wie, że jest taki. Widziałem tam kobiety, mające najprzeniewinniejsze twarzyczki — prawdziwe gołąbeczki na ulicy, które na takim balu maskowym do potworów moralnych są podobne, a i są nimi! Wszyscy mężczyźni i kobiety są szkaradniki szkaradne! Wiesz, Złoto drogie, chociaż już dużo bujności widziałem, to tą razą rumieniłem się ze wstydu za cały rodzaj ludzki”.

Tak mówi ów „szalawila”, nad którego nieładem życiowym ojciec mój, mówiąc o nim, nieraz ubolewał. Można stąd sobie wyobrazić, jak niewinnym był w owym Paryżu mój ojciec, wówczas, jak Grotter, mężczyzna trzydziestoletni. Znowuż posłuchajmy Artura:

Wczorajszy wieczór spędziłem u Władka. Nie wiem jak dla kogo, ale dla mnie jest on tak miłą bestią, że Ci tego wypowiedzieć nie mogę. Jeden z takich ludzi, w którego towarzystwie wydaje mi się nieraz, że jestem lepszy niż rzeczywistość — taki, którego towarzystwo robi na mnie wrażenie to samo, które odnoszę, rozmawiając z ząną, niewinną i rozumną kobietą... Jest to chłopak na duszy tak czysty, że może posłużyć za ideał prawdziwego kochanka cudownej swojej muzy.

I oto ironia losu: ten Władek, którego niewinność niespotykaną zaiste na świecie mogę poświadczyć, stał się przyczyną zdarzenia, które odbiło się echem plotek i zgorszenia w kraju, i które na jakiś czas oziębilo stosunek narzeczonej do Arthura. Posłuchajmy Grottera samego:

„(...) Wczorajszego wieczora nawet jakby na zakończenie karnawału, wyprawilem znajomym mały wieczorek, na którym się wszyscy dobrze bawili, a ja bardzo wesoły byłem (niby też to!). Zeszli się najbliżsi znajomi moi i kilku Francuzów, i ich znajome kobiety. Z początku zabawa była bardzo poważna, bo słuchano muzyki Władka Żeleńskiego, który grał jak zwykle prześlicznie — zachwycono się nawet, zamyśliwano i zadumywano, i wzdychano — tak że ja zbudowany byłem prawdziwie — gdy naraz filut pan muzyk ni stąd ni zowąd jakąś swoją nokturnę zakańcza prawdziwym szalonym kadrylem paryskim. Naraz jakby wszyscy nagle ze snu obudzeni, porywają się z siedzeń, odsuwają stoły i stolki, przewracają kilka gipsów i wazonów z kwiatami, kilka lichtarzy i filiżanek i w mgnieniu oka ustawiwszy się w pary, puszczają się w taniec! — Naturalnie na jednym się nie skończyło, przyszedł drugi, trzeci i dziesiąty, stosunkowo z przybywaniem coraz świeżo nalanej bowli ponczowej! Więc też śpiewano, tańczono i spijano kielich za kielichem tego karnawałowego napoju — że aniśmy się opatrzyli, kiedy piąta na zegarze uderzyła i przypomniała wszystkim, że dosyć tego dobrego. Za

chwilę improwizowano obozowisko cygańskie, porozkładano się po wszystkich kanapach, stołach i stołkach, a nawet na gołej ziemi i w pół godziny chrapano jak za dobrych czasów. I było naraz cicho — bo wszystko posnęło, a tylko ja jeszcze nie spałem, bo z Tobą rozmawiać chciałem (...)

Słyszałem raz opowieść o tej „szalonej nocy” z ust ojca. Musiała to być jedyna, skoro utkwiała mu w pamięci. I wyobrażam sobie dość dobrze, jak musiała wyglądać ta „rozpustna” muzyka, bo pamiętam ojca, jak czasem, od wielkiego święta, grając dla uciechy do tańca dzieciakom, z powolnego walczyka przechodził w szaloną galopadę. Ale echa tej nocy omal nie stały się groźne dla szczęścia Grottgera. Ten opis tak szczery i naiwny zmroził siedemnastoletnią dziewczynę, której wiarę w miłość i stałość artysty wytrwale podkopywała rodzina. Zwłaszcza, że, jak pisze komentarz do listów, „wersja o tej pracownianej wieczorynce, obfitsza jedynie, jak to bywa, w moc barwnych szczegółów, dociera z dziesiątych ust”... Długich trudów kosztowało Arthura odzyskanie ufności Wandy. I bądź tu cnotliwym, i bądź tu szczerym!...

W każdym razie nie zmąciło to harmonii Artura i Władka. Dzień nie upływa, aby się nie widywali. Władek działa kojąco na Artura: „w jego towarzystwie — pisze — zawsze odżywam, a przynajmniej zapominam o wszystkim, co boli”. Wieczorem jeden siada do fortepianu i gra, drugi rysuje albo pisze nieskończone listy do narzeczonej. Grottgera upaja muzyka: „Ach, Wando, Muzyka! Muzyka! cóż za wierne, za piękne to kochanie — takie wieczne, takie nigdy niezmienione, zawsze tak uszczęśliwiającej! Dlaczego ja nie rodziłem się dla niej?”. W ciężkich chwilach są sobie pomocą. Kiedy przychodzi wieść o chorobie, a później o śmierci ukochanej siostry Władka, Grottgerowi przypada zadanie złagodzenia mu ciosu. Dopełnia tego z kobiecą delikatnością. „Ach, gdybyś była widziała ten rzewny i smutnie piękny obrazek, kiedy ten biedak żalobną krepę na kapelusz sobie kazał uczynić, sam stał cicho i spokojnie na to patrzył, a tylko dwie duże łzy spływały mu na wąsy!”. To znów wesołe chwile, kiedy z kraju na święta nadejdą placki, wódka i kielbasa. Zdarza się, iż Władek ratuje Artura w jego chronicznych kłopotach finansowych (wedle wspomnień mego ojca, pieniądze przelatywały przez Grottgera jak przez sito...). „Na ramy jeszcze nie zapracowałem — pisze Artur — ale jestem na najlepszej drodze, a gdyby to do 8 dni dopisać nie chciało, to fundusz na to mam przyobiecany od Władka Żel..., który już o to do domu napisał”.

I wreszcie, kiedy choroba powaliła Artura, Władek telegrafuje do ciotki jego narzeczonej, wiedząc zapewne o jej wrogiem usposobieniu do tego związku:

*Arthur sérieusement malade à Pau chez Zamoyski épargnez lui les émotions soyez discrète...*

Widzę, że stało się to, co się stać musiało. *Arthur i Wanda* zmienili się dla mnie w „Artura i Władka”. Pochłonęła mnie ta książka przede wszystkim jako pamiątka pięknej i czystej przyjaźni łączącej dwóch niepospolitych ludzi, artystów. Stała mi się projekcją wspomnień dzieciństwa, niejako przedłużeniem wstecz własnego życia. To mi ją czyni tym bliższą, ale przesuwam proporcje tego sprawozdania. Uzupełnię je może innym razem. Ale będzie smutniejsze. Bo chwile spędzone wspólnie, przegawędzone, przemuzykowane z „Władkiem”, to dla Artura jedyne jasne chwile owego roku w Paryżu, który był rokiem pracy, walki, tęsknoty, zwątpienia i wreszcie choroby w tragicznie krótkim czasie przecinającej to młode życie, tę tak wspaniale rozpoczętą karierę artysty. I także piękną miłość *Arthura i Wandy*, której spadkobiercy tych listów i tradycji wystawili swym wydawnictwem trwałe pomniki.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boy-ludzie-zywi>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Ludzie żywi*, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa-Kraków 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0093-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.